

Sprzedawca marzeń udowadnia, że nawet najbardziej zagubiony człowiek może odnaleźć drogę na nowo. Nie mogę doczekać się kolejnych części tej trylogii!

Katarzyna Cichopek

RICHARD PAUL
EVANS

SPRZEDAWCĄ
MARZEŃ

CZASEM TRZEBA
UMRZEĆ DLA ŚWIATA,
BY ZACZAĆ ŻYĆ
OD NOWA

Nowa
seria
**Opowieści
sprzedawcy
marzeń**



RICHARD PAUL
EVANS

Sprzedawca marzeń



tłumaczenie
Hanna de Broekere

znak *litera
nova*

Kraków 2018

Jonathanowi Karpowi

Prolog

Gdy zaczynałem pisać tę powieść, myślałem, że wiem, o czym będzie. Myliłem się. Jako pisarz nieraz przekonywałem się, że niektóre opowieści są jak budowle: starannie projektowane, wznoszone i ozdabiane. Są też jednak historie, które podążają własną drogą, i pisząc je, czuję się jak ściskający kurczowo linkę narciarz wodny ciągnięty przez motorówkę.

Niniejsza powieść należy do tej drugiej kategorii. Zamierzałem pisać o zmieniającej się, może nawet zanikającej tożsamości amerykańskiej. Idealną metaforą tej zmiany jest ginąca autostrada, której nadano wiele nazw – autostrada Willa Rogersa, Główna Ulica Ameryki, Droga Matka – osławiona Route 66.

Myślałem, że właśnie o niej będę pisał. Jednak szlak, który wybrałem, zaprowadził mnie gdzie indziej. A mówiąc dokładniej, do kogoś innego. Pod koniec podróży spotkałem martwego mężczyznę.

*

Wróćmy do Route 66. Nie byłbym pierwszym pisarzem, który zainteresował się tą legendarną drogą. Napisano o niej setki, może nawet tysiące artykułów, a w gronie piszących znalazło się kilku wielkich, jak Steinbeck i Kerouac.

Autostrada była też tematem wielu filmów i piosenek. W serialu telewizyjnym *Route 66* (1960–1964) wystąpiło kilku największych aktorów tamtych czasów: Burt Reynolds, William Shatner, Tuesday Weld, James Caan, Robert Redford i Ron Howard.

Jeśli chodzi o muzykę, *Get Your Kicks on Route 66*, piosenka Bobby'ego Troupa z 1946 roku, znalazła się w repertuarze wielu muzyków, wśród których byli Nat King Cole, The Rolling Stones i Depeche Mode.

W czasach swojej świetności Route 66 była czymś więcej niż asfaltową szosą. Była drogą, którą pierwsi osadnicy podążali do świata nowych możliwości, urojonych lub prawdziwych. Była drogą do spełnienia amerykańskiego snu.

*

Wyruszyłem w podróż we wczesnojesienne piątkowe popołudnie. Mieszkałem wtedy w Chicago, skąd wychodzi Route 66.

Wcześniej sprawdziłem, że droga liczy prawie cztery tysiące kilometrów i biegnie przez kilka miast, więc wyjeżdżając tamtego dnia z domu, postanowiłem pokonywać czterysta kilometrów dziennie i zakończyć podróż po mniej więcej dziesięciu dniach. Nie miałem pojęcia, że Route 66 nie poddaje się tak łatwo, że trzeba ją tropić, czasami z wytrwałością detektywa. Są ku temu dwa powody.

Po pierwsze, nie ma jednej Route 66. W czasach, gdy z niej masowo korzystano, była wielokrotnie rozbudowywana.

Po drugie, odcinki pierwotnej drogi znajdują się teraz pod nowymi drogami, domami i budynkami. Niektóre metropolie, na przykład Chicago, St. Louis i Oklahoma City, rozrastając się wokół niej, przecinały ją nowymi drogami, tworząc z niej mozaikę małych fragmentów. Czasami jest to mylące. Czasami zdecydowanie absurdalne. W Albuquerque, w stanie Nowy Meksyk droga przecina sama siebie, można więc stanąć na rogu Route 66 i Route 66.

Nawet tam, gdzie Route 66 nie przebiega przez miejskie zabudowania, w odludnych i opuszczonych miejscach, nieużywana już droga zanikła i została pochłonięta przez przyrodę, a przez pęknięcia w asfalcie wyrastają rośliny.

Route 66 biegnie przez osiem stanów – Illinois, Missouri, Kansas, Oklahomę, Teksas, Nowy Meksyk, Arizone i Kalifornię – i każdy z nich ją szanuje (lub wprost przeciwnie) na swój sposób. Jej przebieg znaczą różne kolory – niebieski, brązowy, czarny i biały – a w niektórych miejscach władze stanowe, mając dość ciągłych kradzieży znaków drogowych dokonywanych przez nostalgicznych kolekcjonerów, malują znak z numerem autostrady po prostu na asfalcie.

Dotarcie do Needles, miasta na wschodnich krańcach pustyni Mojave, zajęło mi dwa tygodnie – cztery dni dłużej, niż zakładałem. Wtedy już nie przeszkadzały mi niedogodności Route 66. Czułem do niej sentyment, podobnie jak fotograf przyrody, który dokumentuje ostatnie dni ginącego gatunku. Ale wiedziałem też, że moja podróż dobiega końca, a ja nadal nie mam tematu powieści.

*

Needles było pierwszym kalifornijskim miastem, do którego trafiali Okies, mieszkańcy Oklahomy uciekający w czasach katastrofalnej suszy przed głodem do rajy, za jaki uchodziła Kalifornia. To tam znajdowało się

Carty's Camp, osiedle prowizorycznych szop opisane w *Gronach gniewu* Johna Steinbecka.

W położonym na zachodnim krańcu pustyni Mojave Needles, podobnie jak na Pustyni Śmierci, padają krajowe rekordy temperatury. W niektóre dni słupek rtęci przekracza pięćdziesiąt stopni Celsjusza.

Myślę, że właśnie dlatego zwróciłem na niego uwagę – na mężczyznę, który miał się stać bohaterem mojej opowieści. Siedział samotnie przy stoliku w barze Wagon Wheel, a obok niego stał duży zakurzony plecak, który świadczył o tym, że facet przeszedł przez piekło pustyni. Miał ciemną karnację, ale nie umiałem rozpoznać jego pochodzenia etnicznego. Był mocno opalony i nieogolony, zaniedbany, a mimo to przystojny – a może właśnie dlatego.

Jego ubranie było wilgotne od potu, liczne plamy soli dało się zauważyć na koszuli nie tylko pod pachami, ale również na klatce piersiowej i na brzuchu. Tego dnia temperatura wynosiła czterdzieści osiem stopni, zdecydowanie za dużo dla klimatyzacji w wynajętym przeze mnie samochodzie. Z ciekawości przed Needles opuściłem szybę. Poczułem się, jakbym jechał w piekarniku z termoobiegiem. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak można w takich warunkach iść z plecakiem. A właściwie iść z czymkolwiek oprócz wody.

*

Bar Wagon Wheel ma fasadę jak z czasów Dzikiego Zachodu. W środku, obok sklepu z upominkami zapchanego przedmiotami związanymi z Route 66 (znakami drogowymi, zegarami, podkładkami pod szklanki, ołówkami...), znajduje się duża jadalnia oświetlona żyrandolami z metalowych kół od wozu i pomarańczowego szkła.

Moja kelnerka, blondynka z grubą warstwą tuszu na rzęsach i w T-shircie z napisem Wagon Wheel, zaprowadziła mnie do stolika obok plakatu z Marilyn Monroe, z tym słynnym kadrem z podwiewaną sukienką ze *Słomianego wdowca*.

W barze nie było prawie nikogo – oprócz mojej kelnerki (oraz Marilyn Monroe) siedział w nim tylko wspomniany przeze mnie piechur, który starannie wycierał blat swojego stolika chusteczką antyseptyczną. Jego przepecone i pokryte kurzem ubranie nie świadczyło o tym, że facet jest bakcylofobem.

Gdy kelnerka podeszła do mnie ponownie, zamówiłem lemoniadę,

panierowany stek oraz kubek zupy z białej fasoli z kawałkami szynki. Ukradkiem spojrzałem na piechura. Skończył wycierać blat i równo ułożył sztućce. Czytał książkę.

Wszystko w tym człowieku było intrygujące. Jego staranny sposób bycia nie pasował do jego ubioru ani do tego baru. Ale moją uwagę zwróciła jeszcze jedna rzecz: mężczyzna wydawał mi się znajomy.

Nieoczekiwanie podniósł wzrok znad książki i nasze spojrzenia się spotkały. Skinął głową. Zrobiło mi się głupio, że przyłapał mnie, jak mu się przyglądam.

– Gorąco, prawda? – zapytałem.

– Tak. – Wrócił do lektury.

Odpisałem na kilka esemesów, sącząc lemoniadę. Gdy podeszła kelnerka z dolewką, zapytałem:

– Gdzie jest łazienka?

– Tam – odpowiedziała, wskazując kąt w tylnej części sali.

Gdy wróciłem do stolika, przed mężczyzną stał talerz z jedzeniem – dużym panierowanym stekiem, purée ziemniaczanym i sosem pieczeniowym. Nieznajomy spojrzał na mnie i zapytał:

– Jest pan z Chicago?

Popatrzyłem na niego zaskoczony. Jego głos i wymowa były staranniejsze, niż się spodziewałem.

– Jak się pan domyślił?

– Zapytał pan o „łazienkę”. No i pana akcent. Stawiałbym na wschodnią dzielnicę.

– Jestem z Lakeshore East – odparłem. – Pan też jest z Chicago?

– Zgadza się.

– Z której części?

– Oak Park.

Jego odpowiedź mnie zaskoczyła. Miejsce, z którego pochodził, też do niego nie pasowało. Oak Park to ekskluzywna podmiejska wieś na zachód od Chicago. Zawsze uważałem, że musi być coś szczególnego w tamtejszej wodzie, ponieważ urodziło się tam lub mieszkało zaskakująco wielu wielkich tego świata, zarówno sławnych, jak i niesławnych. Pisarze Ernest Hemingway i Edgar Rice Burroughs, architekt Frank Lloyd Wright oraz ludzie biznesu: Ray Kroc, założyciel sieci McDonald's, Richard Sears, założyciel sieci sklepów Sears, Roebuck & Company, a nawet James Dewar, twórca ciastka twinkie.

Mieszkały tam też osobistości z radia i telewizji, między innymi Betty White, Paul Harvey, Bob Newhart, Hannah Storm i Peter Sagal. Wśród niesławnych mieszkańców byli szefowie mafii chicagowskiej Joseph Aiuppa i Sam Giancana.

– Ładna dzielnica – skomentowałem.

Mężczyzna nic nie powiedział, więc dodałem:

– Jest pan daleko od Oak Park.

Na jego ustach pojawił się zagadkowy uśmiech, ale powiedział tylko:

– Dalej, niż potrafi pan sobie wyobrazić.

– Tylko wariat może iść w tym upale – stwierdziłem.

Upił łyk wody.

– Nie ustawiłem termostatu.

– Ludzie zatrzymują się, żeby pana podwieźć?

Pokręcił głową.

– Nie zależy mi na podwieszeniu. Na wodzie czasami tak, ale na podwieszeniu nie.

– To chyba niebezpieczne.

– Życie jest niebezpieczne.

Ponownie odniosłem wrażenie, że skądś go znam.

– Skąd pan wyruszył? – zapytałem.

– Z początku.

– Początku czego?

– Route 66.

– Przeszedł pan całą drogę z Chicago?

– Wyruszyłem z Jackson Street, naprzeciwko Fasolki.

„Fasolka” to Cloud Gate, niebiańskie wrota, w parku Millennium w centrum Chicago. Wyruszyłem dokładnie z tego samego miejsca.

– Przeszedł pan pieszo całą tę drogę?

– Zgadza się.

– Dlaczego?

– Dobre pytanie – stwierdził, zamiast odpowiedzieć. – A pan? Co pana sprowadza do Needles?

– Piszę książkę o Route 66. Jestem pisarzem.

– O czym jest pana książka?

– Chciałem napisać coś nostalgicznego o zmieniającej się Ameryce, coś w rodzaju *Podróże z Charleyem* w stylu Garrisona Keillora. Ale teraz wiem, że na pewno nie zmierzam w tym kierunku. – Patrzyłem na niego

zaciekawiony. – A jaka jest pańska historia? Dlaczego facet przemierza na piechotę cztery tysiące kilometrów?

– Jak pan myśli?

Zawahałem się przed udzieleniem odpowiedzi.

– Szczerze mówiąc, moja pierwsza myśl była taka, że jest pan trochę szurnięty.

Roześmiał się.

– Nie jest pan pierwszym, który tak pomyślał.

– Ale ponieważ nie jest pan szurnięty, domyślam się, że pan przed czymś ucieka – powiedziałem.

– Ciepło, ciepło – stwierdził. – Jak masz na imię?

– Richard.

– A dalej?

– Moje pisarskie nazwisko brzmi Richard Paul Evans.

– Słyszałem o tobie. Napisałeś książki o Bożym Narodzeniu.

– Kilka. Boże Narodzenie było tematem mojej pierwszej powieści.

– Jaki gatunek uprawiasz?

– Księgarnie mają ze mną kłopot. Widywałem swoje książki na półkach z literaturą, w działach poradników, romansów, religijnym... – Umilkłem. – A ty jak się nazywasz?

– Charles. – Zawahał się na moment, po czym dodał: – Charles James.

– Nosisz sławne nazwisko.

– Kogoś, kogo powinienem znać?

– Oby nie – odparłem.

– Dlaczego?

– Bo był bezwzględny oszustem. Zarobił miliony, wciskając łatwowiernym ludziom kit o szybkim wzbogaceniu się. Zginął w zeszłym roku w katastrofie lotniczej na O'Hare. Lot numer 227. – Nagle przypomniałem sobie, co gazety pisały o miejscu zamieszkania Jamesa. – On też mieszkał w Oak Park. Na pewno go znałeś.

Bez mrugnięcia powieką odparł:

– Myślałem, że znam.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie. Potem pod opalenizną, brodą i długimi włosami rozpoznałem swojego rozmówcę. Najwyraźniej zdał sobie z tego sprawę, ponieważ na jego ustach pojawił się nieznaczny uśmiech.

– Tak? – rzucił zaczepnie.

– Podobno zginąłeś – powiedziałem.

– Zginął Charles James.

Wpatrywałem się w niego przez dłuższą chwilę.

– Opowiedz mi swoją historię – poprosiłem.

– Skąd pomysł, że chcę ją opowiedzieć? – Napił się i zabrał do jedzenia, jakby skończył ze mną rozmawiać.

Przyglądałem mu się przez minutę, po czym powiedziałem:

– Myślę, że chcesz.

– Dlaczego?

– Bo podałeś mi swoje pełne nazwisko.

Podniósł wzrok i na jego ustach ponownie pojawił się uśmiech.

– Myślałem o tym. Prawdę mówiąc, zacząłem spisywać swoją historię. Pisanie nie jest mi obce. Wydałem trzy książki. Jedna z nich przez parę tygodni była na liście bestsellerów „New York Timesa”.

– Przypominam sobie. Chyba *Jak zostać milionerem*.

– *Jak obudzić w sobie milionera* – poprawił mnie.

– Zgadza się. Więc jesteś pisarzem jak ja.

– Nie jak ty. Między nami jest wielka różnica. Ja piszę literaturę faktu, ty literaturę piękną. Ja piszę prawdy, które kłamią. Ty piszesz kłamstwa, które mówią prawdę.

Uśmiechnąłem się.

– Zacząłeś pisać książkę o sobie? – zapytałem.

– Dwa razy. Ale nic mi z tego nie wyszło. Myślę, że, jak to mówią, jestem za blisko żołędzi, żeby widzieć las. Czy to brzmi sensownie?

– Jak najbardziej.

– Potrzeba pewnej... wrażliwości, aby napisać romans. Bo moja historia jest w istocie romansem. Gdy zacząłem pisać, nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale teraz już jestem tego pewien.

– Złamane serce jest powodem większości podróży – powiedziałem. – Od Beowulfa po Odyseusza.

Przyglądał mi się przez chwilę, po czym zapytał:

– Więc sądzisz, że jesteś typem pisarza, który mógłby opisać moją historię?

– Możliwe. Jeśli nie, szybko się o tym przekonamy.

Pokręcił głową

– Jak już mówiłem, dużo o tym myślałem. Gdybym, podkreślam, gdybym pozwolił ją ci opisać, postawiłbym warunki. Które ci się nie spodobają.

– Przekonaj się.

– W porządku. Po pierwsze, nikt nie może zobaczyć książki ani nawet dowiedzieć się, że żyję, dopóki ci na to pozwolę. Może to trwać miesiąc, może dziesięć lat. Historia jeszcze się nie zakończyła i wciąż nie wiem, jaki będzie miała finał. Gdyby ktoś się dowiedział, wszystko ległoby w gruzach.

– Zgoda – powiedziałem.

Spojrzał na mnie trochę zaskoczony. Pewnie myślał, że zniechęcą mnie już same warunki czasowe. Tak się nie stało. Są opowieści, na które warto zaczekać.

– Po drugie, napiszesz tak, jak będę ci opowiadał. Jako relację w pierwszej osobie.

Pokiwałem głową.

– Wolę pisać w pierwszej osobie.

– Po trzecie, wątpliwości będziesz rozstrzygać na moją korzyść.

– To znaczy?

– Możliwe, że nie uwierzysz w to, co będę ci opowiadał. Właściwie jestem tego pewien. Nie przeszkadza mi to. Pod warunkiem, że będziesz wierzyć, że ja wierzę w to, co ci opowiadam.

– To też mogę zrobić.

– I ostatni warunek: spisziesz całą moją opowieść. Łącznie z historią mojego wczesnego życia. Nie można zrozumieć końca, jeśli się nie zna początku. Zaufaj mi, tak będzie dla ciebie lepiej. Nic tak nie gwarantuje fiaska opowieści jak niesympatyczny główny bohater, jakim jestem. A przynajmniej kiedyś byłem. Może nadal jestem.

– A jeśli akceptuję twoje warunki?

– W takim razie przyjdź do mojego stolika. Zamówię ci jeszcze jedną lemoniadę albo to, co tam teraz pijesz.

Rozmawialiśmy prawie cztery godziny. Właściwie to mówił głównie on. Raz czy dwa poprosiłem o wyjaśnienie, ale dobry pisarz wie, kiedy się zamknąć i słuchać. Zostaliśmy na obiad. Było już ciemno, gdy zawiozłem zmarłego Charlesa Jamesa do Best Western w centrum Needles.

– Jak mam się z tobą skontaktować? – zapytałem.

– Daj mi jakąś kartkę.

Wręczyłem mu swój notes, a on coś w nim zapisał.

– To mój adres mailowy.

– Dzięki.

Uśmiechnął się.

– Powiedz to samo po wydaniu książki.

*

Po tamtym spotkaniu odbyliśmy wiele rozmów. W sumie ponad pięćdziesiąt. Pisanie ułatwiło mi to, że Charles prowadził dziennik i skrupulatnie opisał w nim wszystkie swoje przeżycia. Potem musiałem tylko poczekać trochę ponad trzy lata, aby móc opublikować jego historię.

To historia Charlesa Jamesa opowiedziana jego słowami. Pozornie jest to opowieść o człowieku, który wyrzekł się wspaniałej kariery i majątku. W rzeczywistości to coś więcej. To opowieść o dążeniu pewnego człowieka do odkupienia win oraz o tym, co zrobił, gdy dostał szansę, aby zacząć życie od nowa.

Historia Charlesa Jamesa

Rozdział 1

Studnia, z której czerpiemy łaski, jest pełna tylko wtedy, gdy dzielimy się nią z innymi.

Z dziennika Charlesa Jamesa

Niedziela, 24 kwietnia (cztery lata wcześniej)

St. Louis, Missouri

Nazywam się Charles James. Stoczyłem zacieklą wewnętrzną walkę o to, czy opowiedzieć swoją historię czy nie – siedzący na moim ramieniu diabeł mówił, że przyczyni się ona tylko do upokorzenia mnie. Siedzący na drugim ramieniu anioł przekonywał, że moja opowieść może pomóc innym. Czytacie te słowa, więc wygrał anioł – choć nie obeszło się bez ran i siniaków.

Nie znaczy to, że mnie polubicie. Wątpię. Niektórzy z was mnie znienawidzą. Nie będę miał o to do nikogo pretensji. Przez długi czas nienawidziłem sam siebie. Proszę was jednak, abyście byli choć tak mili, by poznać moją historię. Nie po to, abym mógł się usprawiedliwić z tego, co zrobiłem – na to nie ma usprawiedliwienia – ale żebyście mogli się przekonać, że nawet ktoś tak zagubiony jak ja może się odnaleźć. Kto wie? A nuż pomoże to wam w waszych zmaganiach z losem. Możliwe, że nawet pomoże wam przebaczyć samym sobie.

Założmy, że moja podróż zaczęła się w dniu, w którym umarłem dla świata. W rzeczywistości jednak zaczęła się znacznie wcześniej. W dniu mojej śmierci, we wtorek 3 maja, moje życie wskoczyło na nowe tory. Swoją opowieść zacznę mniej więcej tydzień wcześniej.

*

Był deszczowy wieczór w St. Louis, w stanie Missouri. Robiłem to, co zwykle – głosiłem ewangelię bogactwa przed audytorium złożonym z pełnych nadziei i ufnych słuchaczy. Tamtego wieczoru na widowni siedziało około tysiąca dwustu osób, a każde miejsce zostało opłacone przez reklamę. Numerki i cena za każdego uczestnika miały psychologiczne uzasadnienie – 327 dolarów za każdy tyłek na krześle.

Pociągnąłem ostatni łyk napoju energetyzującego w puszcze. Prowadzący

huknął:

– Panie i panowie, nadeszła chwila, na którą czekacie. Oto bohater dnia, potomek w prostej linii legendarnego bandyty Jessego Jamesa, niezrównany... Charles James!

Ryknęła ogłuszająca muzyka i wyszedłem zza kurtyny z dłońmi wzniesionymi w geście triumfu. Towarzyszyła mi stosowna piosenka *Everybody Wants to Rule the World** śpiewana przez Tears for Fears.

Stałem na środku sceny. Wziąłem mikrofon i patrzyłem ponad minutę na rozentuzjasmowany tłum, czekając, aż umilkną oklaski. Gdy wyczułem, że wrzawa opada, uniosłem dłoń.

– Dziękuję. Dziękuję, jesteście bardzo mili, ale już wystarczy. Proszę o spokój. Czas jest ważny. Mamy wiele tematów do omówienia. Ważnych tematów. Istotnych.

Gdy tłum ucichł, powiedziałem:

– Henry David Thoreau napisał: „Wiele osób żyje w cichej rozpacz”***. Jest jedna wielka prawda, która przesądza o tym, czy wasze życie będzie sukcesem czy cichą rozpaczą. – Uniosłem palec wskazujący. – Tylko jedna. Chcecie poznać tę prawdę?

Umilkłem w oczekiwaniu na odpowiedź. Po ponad siedmiuset wystąpieniach wiedziałem, jak zareagują moi słuchacze. Zawsze wiedziałem. Zobaczyłem, jak niektóre głowy kiwają. Potem kilka odważnych osób krzyknęło:

– Tak!

Oraz:

– Powiedz nam!

Popatrzyłem na widownię z udawanym rozczarowaniem, stukając mikrofonem w brodę.

– To mało obiecujące. Zapytaaałem – przeciągnąłem jak telewizyjny kaznodzieja – czy chcecie znać prawdę. Bo nie chcę rzucać pereł przed stado wieprzy. Nie tutaj. Nie teraz. Nigdy. Niech wszystkie wieprze wyjdą teraz z sali.

Jak się spodziewałem, nikt nie wstał. Ktoś z tłumu krzyknął:

– Chrum, chrum!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Świetnie. Zaczekałem, aż widownia się uspokoi. Potem, ciszej niż poprzednio, zapytałem jeszcze raz:

– Chcecie usłyszeć jedną wspaniałą prawdę?

– Tak! – ryknęła sala. – Powiedz nam!

Zaczerpnąłem głęboko powietrza, udając rozczarowanie.

– Jeśli potraficie się zdobyć tylko na taki entuzjazm, chcąc poznać jedną wielką prawdę o życiu, równie dobrze możecie teraz wyjść. Właściwie to możecie teraz umrzeć, bo wasze życie zmierza donikąd. – Patrzyłem na nich przez kolejne trzydzieści sekund, potęgując napięcie w sali. Potem powiedziałem: – W porządku, zrobmy to jeszcze raz. Ostatnia szansa. Chcę usłyszeć zwycięzców, nie mięczaków. Czy. Chcecie. Poznać. Jedną. Wielką. Prawdę. Tak czy nie?

Odzew był ogłuszający.

– Tak!!!

– W takim razie w porządku – stwierdziłem, opuszczając dłoń. – W porządku. Wiedziałem, że dacie radę. Tym razem odpowiedzieliście jak zwycięzcy. – Podeszedłem do krawędzi sceny, patrząc w oczy osobom siedzącym w pierwszym rzędzie. Przyklęknąłem na jedno kolano i ściszyłem głos. – Oto jedna wielka prawda.

W sali zapadła absolutna cisza. Można byłoby usłyszeć, jak spada karta kredytowa.

– W życiu jesteś albo rzeźnikiem, albo baranem. Nie ma trzeciej możliwości.

Odczekałem chwilę, po czym się podniosłem.

– Jesteś albo rzeźnikiem, albo baranem! – krzyknąłem. – Kim wy jesteście? Czy mówię do sali pełnej baranów? – Rozejrzałem się. – Każdy, kto jest baranem, ma teraz wstać i wyjść. Nie marnuję czasu na świnie i barany. Jeśli nie jesteście wystarczająco silni, jeśli nie zależy wam wystarczająco mocno na własnym życiu, aby chcieć zostać naczelnym drapieźnikiem, wojownikiem, to wyjdźcie i przyłączcie się do milionów baranów na zewnątrz tego centrum kongresowego. W stadzie zawsze jest dużo miejsca. Idźcie, zaczekam.

Ponownie, zgodnie z moim przewidywaniem, nikt nie wstał. Nigdy nikt nie wstawał.

– W takim razie w porządku. Chcecie być drapieźnikami. Chcecie być lwami. To dobrze. Ale nawet lwy muszą się nauczyć sztuki zabijania. Muszą być przygotowane i sprawdzone. Lwy mają jednak nad wami przewagę. Zostały wychowane, aby być lwami. Natomiast wy zostaliście wychowani przez społeczeństwo, aby być baranami. Być nieśmiały i słabymi. To nie wasza wina. Społeczeństwo boi się lwów. Panowanie nad światem lwów jest

niemożliwe. Rzeź jest niemożliwa. Natomiast światem baranów łatwo jest rządzić, łatwo jest je zaprowadzić na rzeź. Wielu z was przyszło tu dziś jako barany. Dobra wiadomość jest taka, że jeżeli będziecie mieli odwagę zwyciężać, wyjdziecie stąd jako lwy. Mówię o zmianie. Głębokiej, osobistej zmianie. – Uderzyłem się pięścią w brzuch. – Wewnętrznej zmianie. A zmiana przychodzi, czy tego chcecie czy nie. Czasami możecie ją wyczuć w taki sam sposób, jak starzy ludzie czują w kościach zmianę pogody. Zmiana zawsze przychodzi. Nic nie jest bardziej niezmiennie od zmiany, tak jak nic nie jest pewniejsze od niepewności.

Popatrzyłem na swoich słuchaczy, których twarze ledwo dało się dostrzec, ponieważ wszystkie reflektory były skierowane na mnie.

– Rozejrzyjcie się. Fala już nadchodzi. I nie jakaś tam fala, ale tsunami. Popłyniecie na niej czy pozwolicie, aby was zalała i zatopiła?

*

Był to idealny wstęp do opowieści o moim przeżyciu z pogranicza śmierci. Każdy znany mi mówca miał w repertuarze relację o swoim „otarciu się o śmierć”, nawet jeśli musiał ją zmyślić. Ja nie musiałem. Jedynie ją upiększyłem.

Dziewięć miesięcy wcześniej ze swoją już teraz była dziewczyną spędziłem dzień na plaży Flamands w St. Barths, gdzie piasek jest nieskazitelnie biały i gdzie piękni ludzie opalają się pod niebem tak turkusowym jak woda w morzu, a ubrani na biało kelnerzy biegają od fotela do fotela i przyjmują zamówienia na drinki.

Przez kilka godzin pływałem i surfowałem. Gdy zamierzałem wrócić na brzeg, zobaczyłem, jak nadciąga potężna fala. Postanowiłem ją złapać i wskoczyć na jej grzbiet. Szybko się zorientowałem, że to nie ja złapałem falę, ale ona złapała mnie. Woda miotła mną, jakbym był skarpetką w wirówce. Wirowanie skończyło się gwałtownie, gdy uderzyłem o grunt.

– Usłyszałem głośnie trzaśnięcie – powiedziałem do widowni. – Jakby ktoś złamał gałąź. W pierwszej chwili pomyślałem, że złamałem kark. To znamienne, jak szybko biegną myśli, gdy stanie się coś tragicznego. „Więc tak wygląda moja śmierć”, pomyślałem. „Tu, teraz, pod wodą, niewidziany przez nikogo”. Wyobraziłem sobie swoje martwe ciało wyrzucone na brzeg.

Byłem zły. Śmierć nie znajdowała się na mojej liście spraw do załatwienia tamtego dnia. Ani żadnego innego. Ale żyłem i wiedziałem, że mam wybór. Wiedziałem, że jestem połamany, ale nadal mam wybór.

Mogłem się poddać albo żyć.

Wybrałem życie. Pomimo bólu, pomimo szoku zacząłem młócić wodę rękami i kierować się do brzegu. Zemdlałem, gdy tylko wydostałem się z wody.

Obudziłem się w karetce. Zawieziono mnie do małej kliniki, gdzie nikt nie mówił po angielsku. Miałem złamaną łopatkę i pęknięte wszystkie żebra. Obandażowano mnie i nie dano nic przeciwbólowego oprócz tylenolu. Wieczorem przetransportowano mnie samolotem na oddział ratunkowy szpitala Northwestern Memorial. Nigdy nie zapomnę lekarza, który wszedł do pokoju z moimi zdjęciami rentgenowskimi. „Pan nie powinien żyć”, powiedział. „Ma pan najpaskudniejsze złamanie, jakie kiedykolwiek widziałem u żywego człowieka”.

Widownia słuchała mnie z przejęciem. Nie miało znaczenia, że historia nie była prawdziwa. A przynajmniej nie całkowicie. Surfując w St. Barths, złamałem rękę. I to wszystko. Prawda nie miała jednak znaczenia, liczyło się tylko to, co opowiadam.

– Albo żyjecie, albo umieracie – powiedziałem cicho. – W codziennym życiu zmagacie się z falami finansowych potrzeb. Za każdym razem, gdy myślicie, że wasza sytuacja się poprawi, fale was przygniatają. Chcecie żyć czy umrzeć? Na to pytanie tylko wy potraficie teraz odpowiedzieć. – Nabrałem głęboko powietrza. – Tych z was, którzy chcą być wojownikami i naczelnymi drapieżnikami, tych, którzy chcą żyć, nauczę, jak okiełznać te fale. Nie mówię o młóceniu wody. Mówię o surfowaniu w kierunku pokrytych białym piaskiem plaż. Nauczę was, jak zarabiać pieniądze podczas snu. Kto jest ze mną? Gdzie są moje lwy?

Wybuchnęły huczne brawa. Pół godziny później ludzie ustawili się w kolejce ze swoimi kartami kredytowymi, książeczkami czekowymi i nadziejami.

* Każdy chce rządzić światem (ang.). Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki.

** H.D. Thoreau, *Walden, czyli życie w lesie*, tłum. H. Cieplińska, Poznań 2017.

Rozdział 2

Czasami najciemniejsze chwile naszej przeszłości wracają do nas w ludzkiej postaci.

Z dziennika Charlesa Jamesa

Po wystąpieniu zmieniłem marynarkę od garnituru na czarny golf i włożyłem ciemne okulary. Zawsze tak robiłem, żeby uniknąć rozpoznania przez fanów lub wrogów.

Wychodziłem tylnym wyjściem, aby dojść do swojego pokoju, gdy usłyszałem czyjś głos:

– Hej, Gonzales!

To imię znało niewiele osób i jeszcze mniej go używało. Obróciwszy się, zobaczyłem idącego w moim kierunku krępego siwowłosego mężczyznę. Miał na sobie obszerną jedwabną koszulę Tommy’ego Bahamy i luźne spodnie. Choć nie widziałem go ponad dziesięć lat, rozpoznałem natychmiast. McKay Benson, człowiek, który wprowadził mnie do biznesu.

Ostatnio miałem z nim styczność w sądzie, gdy wytoczył mi proces i przegrał. Od tamtej chwili nie rozmawialiśmy. Nienawidził mnie i ja też miałem powody, aby go nienawidzić. Nie miałem pojęcia, czego mógł chcieć.

– O wilku mowa – powiedziałem.

– A wilk tu – dokończył McKay. – Dobra robota. Nadal jesteś w tym świetny. Panowanie nad umysłami mas w najlepszym wydaniu.

– Uczyłem się od mistrza.

– Zgadza się.

O dziwo, wyciągnął do mnie rękę. Nie uścisnąłem jej, i powodem nie był tylko mój chorobliwy lęk przed bakteriami. Po tym, co przeszliśmy, nie byłoby to naturalne. McKay cofnął dłoń. Nie wyglądał na zdziwionego ani urażonego.

Nasze spotkanie było surrealistyczne. McKay bardzo się zmienił. Był opalony – w tym akurat nie było nic dziwnego, bo mieszkał teraz na Florydzie – poza tym jednak całkowicie osiwiiał i przytył około piętnastu kilogramów.

Był wysoki, miał metr dziewięćdziesiąt, ale na scenie zawsze wydawał mi się większy, niczym bohatera wersja samego siebie. Tak jednak było w przeszłości. Teraz wyglądał jak zwykły śmiertelnik – stary i nieco przygarbiony.

Był ode mnie starszy prawie o trzydzieści lat. Poznałem go, gdy miałem dwadzieścia jeden. Był nie tylko moim mentorem, ale również jednym z pionierów seminariów sprzedażnych, mówcą, którego wszyscy naśladowaliśmy. Marzyliśmy, aby kiedyś być tacy jak on. Media nadały mu przydomek Orator Sprzedaży. To on namówił mnie, abym wykorzystywał swoje pokrewieństwo z Jessem Jamesem.

Wszystko to jednak wydarzyło się, zanim doszło między nami do rozłamu. McKay stracił firmę i przegrał proces, wcześniej jednak zdążył zarobić grube miliony i zamiast zaczynać od nowa, przeszedł na emeryturę. Kupił apartament na Florydzie, miał trzydziestosześcioletnią żonę (była cheerleaderką Denver Broncos) oraz dwudziestometrową łódź motorową, którą nazwał Reel Living i cumował niedaleko Hollywood na Florydzie. A przynajmniej tak słyszałem. Podobno miał też dwóch synów.

– Co tu robisz? – zapytałem.

– Przyjechałem, żeby zjeść z tobą kolację.

– Dzięki, ale jestem wykończony. Właśnie idę do swojego pokoju.

– Przyleciałem aż z Florydy, żeby się z tobą zobaczyć. Możesz poświęcić godzinę staremu kumpłowi. Już zarezerwowałem dla nas stolik w Ruth's Chris w Hyacie.

– Nie rozmawialiśmy od ponad dziesięciu lat, a ty rezerwujesz stolik na kolację?

– Znasz moją mantrę: chcę i biorę.

Muszę mu oddać, że nie tylko głosił tę zasadę, ale również według niej żył.

– W porządku. Kiedy?

– O wpół do ósmej. Obliczyłem, że będziesz miał dość czasu, aby wrócić do pokoju i odpocząć. Albo zwać z miasta.

– Widzimy się o wpół do ósmej – rzuciłem. Odwróciłem się i poszedłem do swojego pokoju. O wilku mowa...

*

Restauracja Ruth's Chris w St. Louis mieściła się w holu Hyatt Regency, niedaleko słynnego Łuku Wjazdowego. W sali panował tłok, hostessa

poprowadziła mnie obok zajętych stolików do tylnej części sali. McKay siedział przy narożnym stoliku oświetlonym jedną świecą. Gdy się zbliżyłem, wstał.

– Dziękuję, że przyszedłeś – powiedział. – Obstawiałem pięćdziesiąt do stu, że się pojawisz.

– A powinieś raczej trzydzieści. Ale jestem. – Usiadłem, przyglądając się badawczo jego twarzy. – Jak żyjesz, McKay?

– Doskonale.

– Jak Floryda?

– No wiesz. Nigdy nie chciałem się tam przenieść, ale skończyłem sześćdziesiątkę i taka jest zasada.

Zdusiłem uśmiech.

– Świetnie wyglądasz – rzuciłem.

– Jeśli przez świetnie rozumiesz siwy i grubszy, to masz rację. A co u ciebie?

Zaskoczył mnie swoim przyjaznym nastawieniem. Biorąc pod uwagę, jak się rozstaliśmy, spodziewałem się konfrontacji.

– Jeśli chodzi o zdrowie, czuję się świetnie. Zawsze.

– Możesz za to dziękować Bogu.

– Dziękuję nauce i ćwiczeniom.

– Jak chcesz. – Pochylił się nad stolikiem i nalał mi wina. – Zamówiłem chianti z włoskiego Greve. Zawsze lubiłeś włoskie wina.

– Jestem zaskoczony, że pamiętasz.

– Dużo pamiętam na twój temat – powiedział. – Włoskie wina, włoskie kobiety. Jak jej było... Sofia.

– Sofia. Sonia zresztą też. Obie były jak wino: pikantne, oszalamiające, drogie i szybko się ulotniły.

Uśmiechnął się rozbawiony i uniósł swój kieliszek.

– W takim razie za włoskie wino. Przynajmniej tego zawsze możesz kupić więcej.

Stuknęliśmy się kieliszkami i upiłem łyk. Denerwowało mnie, że nie wiem, co McKay kombinuje. Był bystry i rozstawiał ludzi jak pionki na szachownicy. Jedynym sposobem na pokonanie go było wykonanie ruchu szybciej od niego, tak jak kiedyś zrobiłem z jego firmą.

– Po co tak naprawdę tu przyjechałeś?

– Najpierw zamówmy, potem pogadajmy.

Dał znak kelnerce, która zaraz do nas podeszła.

– Co panom podać?

– Zamawiaj – zachęcił mnie McKay.

Odłożyłem kartę dań.

– Poproszę o stek, średnio wysmażony, surówkę z sałaty i waszą zapiekankę ze słodkich ziemniaków.

– Doskonale. A pan?

– Ja też poproszę o stek – powiedział McKay. – Też średnio wysmażony. Do tego małą porcję surówki z siekanych warzyw i waszego homara z makaronem i serem.

– Coś jeszcze?

– Lepiej nie – odparł McKay. – Kalorii wystarczy na dziś i na jutro.

– Zaraz podam.

Gdy odeszła, McKay zwrócił się do mnie:

– Odpowiadam na twoje pytanie po raz trzeci: przyjechałem się z tobą zobaczyć. Na pewno nie chodziło mi o pogodę. Mamy kwiecień, a wydaje się, jakby to była zima.

Patrzyłem na niego znacząco.

– Wciąż nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Uśmiechnął się i upił łyk wina.

– Więc nadal pracujesz, żeby zarobić na życie.

– A ty nadal grasz, żeby zarobić na życie?

– Nie mam pojęcia, jak znajdowałem czas na pracę. Marissa ciągle wymyśla mi zajęcia. Zbyt wiele zajęć. Nigdy nie żeń się z kobietą dziesięć lat młodszą, bo odczujesz to w stawach. Teraz każe mi ćwiczyć pilates.

– Tylko o dziesięć lat młodszą?

– No dobrze... Dwadzieścia pięć.

– Tęsknisz, co?

Zmarszczył czoło.

– Za czym?

– Za występianiami. Wiwatami tłumu. Przyływem adrenaliny na scenie.

Upił kolejny łyk i odparł:

– Nie.

Wpatrywałem się w niego, zastanawiając się, czy mu wierzyć czy nie.

– Mówię prawdę. Za niczym nie tęsknię. Ani za napięciem, ani za widownią. Za niczym. Myślałem, że będzie mi tego brakować. Ale nie brakuje.

Przemawia przez niego zazdrość, pomyślałem.

– To co cię budzi rano?

Uśmiechnął się.

– Zwykle dzieciaki. Założenie rodziny w moim wieku...

– Faktycznie. Powiedziałbym, że to trochę szalone.

– Bo tak jest. Ale to przyjemne szaleństwo. Żałuję tylko, że nie zdobyłem się na ten krok wcześniej. – Uśmiechnął się szeroko. – Powinieneś być ukraść mi firmę wcześniej.

Musiałem się mocno pilnować, żeby nie wybuchnąć.

– Ojciec chrzestny został udomowiony. Czy to może syndrom sztokholmski?

– Dobrze! – przyznał, parszkając śmiechem. – Syndrom sztokholmski. Wyglądasz na zaskoczonego.

– Bo jestem. Nie bez powodu mówią, że obrączki są bardzo podobne do kajdanek.

– Wiesz, małżeństwo to praca. Wszystkie związki wymagają pracy. Ale efekty są warte wysiłku. Ja wspieram ją, ona wspiera mnie. W naszym świecie, gdzie ludzie idą po trupach do celu, to niebagatelna rzecz. – Na jego twarzy pojawił się uśmiech błęgiego zadowolenia. – A ty? Masz kogoś?

Już chciałem odpowiedzieć, ale zjawiała się kelnerka z naszymi sałatkami i postawiła je na stole.

– Mielonego pieprzu? – zapytała.

– Dziękuję, nie – odparłem.

– A ja poproszę – powiedział McKay. – Wystarczy kilka obrotów.

Kelnerka delikatnie doprawiła jego sałatkę, po czym odeszła.

– Nie mam teraz czasu na związek – odpowiedziałem.

– I nie będziesz miał, dopóki nie przestaniesz.

– Miałabym przestać? Ja się dopiero rozkręcam. O co ci właściwie chodzi? Próbujesz odzyskać swoją firmę?

Parsknął śmiechem.

– Nie przyjąłbym jej, nawet gdybyś chciał mi ją oddać. Jesteś pewien, że jest warta tych pieniędzy?

– Czy moja firma jest warta tych pieniędzy?

– Nie. Samotność.

– Samotność to nie problem. Problemem jest ucieczka przed tłumem.

– Najsamotniejsze miejsce, jakie istnieje – powiedział. – Tłum.

– Nie chodzi o pieniądze. Mam ich więcej niż sam Pan Bóg. Nie potrzebuję ich więcej.

McKay wyglądał na rozbawionego.

– Świetnie. Więc zaczniesz rozdawać swoje pakiety?

– Teraz się nabijasz. – Zjadłem kilka kęsów sałatki. – Kiedyś myślałem, że pieniądze są celem. Ale tak nie jest. Stan konta to tylko informacja o wyniku.

– Jeśli pieniądze nie są celem, w takim razie co?

– Zwycięstwo. Przerzucenie piłki za linię, gdy wszyscy próbują cię zatrzymać. Że moja wola się stanie, nie twoja*. To sedno każdej rywalizacji. Sedno życia w społeczeństwie. Celem jest dominacja nad drugim człowiekiem.

– Na przykład nade mną?

Spojrzałem na niego gniewnie. Już chciałem się odciąć, gdy McKay uśmiechnął się i machnął ręką.

– Przepraszam. To była tania złośliwość. – Upił kolejny łyk. – Możliwe, że masz rację. Nie twierdzę, że to właściwe, ale możesz mieć rację.

– Oczywiście, że mam. Chodzi wyłącznie o to, by wygrać. A żeby ktoś wygrał, ktoś musi przegrać. Ty mnie tego nauczyłeś. Jak to ująłeś? Frajerzy przegrywają. Taki ich los. Dlatego wymyślono dyplomy za uczestnictwo.

Westchnął ciężko.

– W tamtych czasach mówiłem wiele głupich rzeczy. Których dzisiaj się wstydzę.

Jego pokora mnie zaskoczyła. To zdecydowanie nie był ten McKay, dla którego kiedyś pracowałem.

– Jesteś szczęśliwy? – zapytał.

Głośno się roześmiałem.

– A co to za pytanie?

– Dobrze – odparł.

– Dlaczego nie miałbym być szczęśliwy? Jestem u szczytu kariery. W zeszłym roku sprzedaż wzrosła o ponad pięćdziesiąt procent, jeszcze nigdy w historii rozpoznawalność marki nie była tak duża, a moja ostatnia książka trafiła na listę bestsellerów „New York Timesa”.

– Widziałem. Gratulacje.

– I właśnie kupiłem astona martina.

– Którego?

– Vanquisha.

– To nie samochód, to dzieło sztuki – stwierdził McKay. – Kobaltowego?

– Skąd wiesz?

– Znam cię. Wciąż jednak nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Jesteś szczęśliwy?

Patrzyłem na niego zdezorientowany.

– Po co tak naprawdę przyjechałeś do St. Louis, McKay?

Nieco wyprostował się na krześle.

– W porządku, powiem ci. Po pierwsze, chciałem ci powiedzieć, że ci wybaczam.

Nie spuszczałem z niego wzroku.

– Nie prosiłem o wybaczenie.

– To prawda, ale i tak ci wybaczam.

Nie wiem, jak sobie wyobrażał moją reakcję, ale jego słowa nie zrobiły na mnie wrażenia.

– Ale ja nie wybaczyłem tobie – odparłem.

– Wiem. Mam nadzieję, że pewnego dnia to zrobisz. Nie ze względu na mnie, ale ze względu na siebie. – Podrapał się po brodzie, po czym ciągnął: – Drugi powód jest trochę bardziej niejasny. Nawet dla mnie. Czuję się odpowiedzialny za to, jaki jesteś. W końcu to ja cię stworzyłem.

– Mówisz jak doktor Frankenstein.

– Gdyby elektrody pasowały – zażartował.

Roześmiałem się i napiłem wina.

– Ten potwór nie zamierza zniknąć.

– Nie, nie spodziewam się tego. – Jego głos trochę ścichł. – Ale mam nadzieję, że z tym skończysz.

Patrzyłem na niego z niedowierzaniem.

– Dlaczego?

– Obaj skrzywdziliśmy mnóstwo ludzi. Dobrych ludzi. Ludzi, którzy wierzyli w człowieczeństwo. Ludzi prostej wiary.

– Przebudziliśmy ich – powiedziałem. – Uratowaliśmy ich przed ich „prostą” wiarą.

– Nie mieliśmy do tego prawa.

– Podsumujmy. Przyjechałeś do St. Louis, bo uważasz, że stworzyłeś potwora i chcesz go powstrzymać.

– Nie. – Pokręcił głową. – Przyjechałem ci pomóc, Charles. Odwdzięczyc ci się.

Roześmiałem się ponuro.

– Odwdzięczyc się? Masz na myśli zemstę?

– Nie. Na to jestem za stary. O wiele za stary. Chodzi mi o to, że oddałeś

mi przysługę. Wiem, że początkowo tego tak nie widziałem. Byłem wściekły. Szalałem z wściekłości. Ukradłeś mi mój świat. Spaliłeś mój dom. Dlaczego nie miałbym być zły?

– Pozwól, że ci przypomnę: w odwecie ty spaliłeś mój dom – zauważyłem.

– Pozwól, że ci przypomnę: to ty zapaliłeś zapałkę – powiedział McKay. – Ale odbiegamy od tematu. Przez wiele lat byłeś diabłem wcielonym, bezbożnym zdrajcą. Aż nagle któregoś dnia zobaczyłem, jak Marissa buja Treya, mojego starszego syna, na huśtawce, i coś poczułem. Coś, czego nie czułem nigdy wcześniej.

– Nudę?

– Radość. Wtedy to do mnie dotarło. W tamtej chwili pojąłem wartość tego, co mam, i ku swemu zaskoczeniu poczułem do ciebie wdzięczność. Gdyby nie ty, nadal bym przemawiał do tłumów, tęskniąc za wszystkim, co się liczy w życiu albo może przynieść prawdziwą radość. Nie miałbym dwóch synków. Zawdzięczam to tobie.

Spojrzał mi w oczy.

– Zapomniałem, co daje człowiekowi prawdziwe szczęście. Zapomniałem, czym jest prawdziwa radość. Błędnie zakładamy, że będziemy szczęśliwi dzięki dobrom materialnym, i tak się wplątujemy w gąszcz swoich pragnień, że zapominamy, że szczęście to coś więcej niż luksusowy samochód i gruby portfel.

– Gąszcz to odpowiednie miejsce dla ludzi takich jak my.

– Nieprawda. Możesz mi wierzyć.

Nagle się roześmiałem.

– Co cię tak śmieszy? – spytał McKay.

– Już wiem, co mi to przypomina. *Opowieść wigilijną*. Odwiedziny ducha Marleya.

McKay uśmiechnął się, rozbawiony porównaniem.

– Dokładnie tak jest.

– Więc chcesz mi powiedzieć, że gdybyś mógł ponownie wybierać, tobyś postąpił inaczej? Że byłbyś szczęśliwy, mając pracę od dziewiątej do piątej, całując szefa w tyłek, jeżdżąc chevroletem malibu i ciułając na jedyne w życiu wakacje na Hawajach? Nie sądzę.

– Dobrze pytanie – przyznał, kiwając głową. – Wiele zawdzięczam swojej pracy: pieniądze, kontakty, rozwój osobisty. Nawet Marissę poznałem dzięki pracy. Więc, podchodząc do tego uczciwie, jak mógłbym oddzielić pracę od

swojego życia? Jednak wszystko ma swoją cenę. Żałuję wielu rzeczy. Żałuję, że zwlekałem z korzystaniem z życia i założeniem rodziny. Żałuję, że zraniłem wiele osób. Żałuję, że rozbiłem wiele małżeństw.

Ścisnąłem swój kieliszek tak mocno, że mógł zaraz pęknąć.

– Mów dalej.

Miał przynajmniej tyle przyzwoitości, by wyglądać na zawstydzonego.

– Jak powiedziałem, żałuję wielu rzeczy. Mam na myśli to, co robiliśmy. Gdy ludzie tracą pieniądze, tracą nadzieję. A gdy gaśnie nadzieja, to samo dzieje się z małżeństwami. Czasami z życiem ludzkim. Bez nadziei świat jest pusty. Moja scheda po tamtych czasach to pamięć o ofiarach naszej chciwości. Ta scheda nie pozwala mi zasnąć w nocy.

– Zapominasz o ludziach, którym pomogliśmy.

Uśmiechnął się cynicznie.

– Pomogliśmy? Tylko sobie. I garstce klientów. Małej garstce. I gdy tylko zdarzyła się taka sytuacja, rozgłaszaliśmy ją wszem wobec jako dowód naszej wiarygodności, obaj jednak wiedzieliśmy, że to wyjątek. Połowa z tych ludzi, którym pomogliśmy się wzbogacić, nigdy nie skorzystała z owoców sukcesu, za który zapłaciła pięć tysiąków. Prawie nikt nie dostaje zwrotu pieniędzy. Godzą się na płacenie nowej opłaty miesięcznej.

– Frajerzy tracą – skwitowałem. – Taki ich los.

Potrząsnął głową i upił wina.

– Żałuję wielu rzeczy.

– I po to przejechałeś taki kawał drogi? Żeby mi powiedzieć, że czegoś żałujesz?

– I żeby dać ci radę.

– Kolejna rzecz, o którą nie prosiłem.

– Mimo to chcę, żebyś ją ode mnie dostał tak samo jak przebaczenie, jeśli pozwolisz.

Machnąłem ręką.

– Proszę bardzo.

– Przekonałem się, że im bardziej zrywam z dawnym życiem, tym bardziej poznaję prawdziwego siebie. I coraz bardziej się lubię. To jak u Aborygenów: kiedy osiągną pełnoletniość, opuszczają swoje plemię i wyruszają do buszu, aby poznać prawdziwych siebie. Nazywają to pieśnią serca, ścieżką przodków. I podczas tej wyprawy, oderwani od wszystkiego, co stałe i znajome, poznają siebie, odkrywają, kim są na tym świecie i co muszą poświęcić.

Żałuję, że tak nie postąpiłem. Uważam, że każdy powinien zrobić coś takiego. Problem polega na tym, że my, mieszkańcy Zachodu, jesteśmy unoszeni przez prąd życia niczym przez prąd rzeki i tak bardzo zabiegamy o to, by utrzymać głowę nad wodą, że nie zadajemy sobie pytania, dokąd porywa nas nurt. – McKay pochylił się nad stołem. – Myślałeś kiedykolwiek o tym, aby zacząć wszystko od początku? Zerwać z przeszłością i stać się kimś innym?

– To niemożliwe – powiedziałem. – Przeszłość nigdy nas nie opuszcza. Ona jest nami.

– Przeszłość nas nie opuszcza, ale my możemy opuścić ją. Nasza przeszłość nie jest nami bardziej, niż my jesteśmy drogą, którą tu przyjechaliśmy. Jest skończona, istnieje tylko tu. – Postukał palcem w prawą skroń. – Ale tak naprawdę nie mówimy o uwolnieniu się od przeszłości, tylko o uwolnieniu się od przyszłości. To nie przeszłość nas zniewala, tylko przyszłość, która jest z nią połączona. Biorąc do ręki kij, podnosisz jego oba końce. Czasami trzeba po prostu odrzucić kij. – Spojrzał mi głęboko w oczy. – Dlaczego nie miałbyś tego zrobić? Przecież nie chodzi ci o pieniądze, których masz więcej niż Pan Bóg.

– Nigdy o tym nie myślałem – odparłem. – Chyba jestem zbyt wplątany w gąszcz, jak to określiłeś.

– To nie jest takie skomplikowane. Wycofaj się, zanim będzie za późno.

Upiłem łyk wina.

– Pomyślę o tym – powiedziałem.

Wpatrywał się we mnie w milczeniu. Po chwili kąciki jego ust uniosły się wolno i ułożyły w uśmiech rozbawienia.

– Nieprawda. Pomyślisz, dopiero gdy będziesz stary, siwy i gruby jak ja. Kiedy ten dzień nadejdzie, przypomnisz sobie naszą dzisiejszą rozmowę, napijesz się i zastanowisz: Jak się nazywał ten facet? – Dolał mi wina i ponownie napełnił swój kieliszek.

– Przeleciałeś taki kawał drogi tylko po to, aby mi to powiedzieć?

– Tylko? – Pokiwał głową. – Obawiam się, że tak.

– W porządku. Przekazałeś, co miałeś do przekazania. Twoje sumienie może spać spokojnie.

– Nie chodzi o moje sumienie.

– O moje też nie.

Nabrał głęboko powietrza, po czym zmusił się do uśmiechu.

– Niech tak będzie. Niech tak będzie.

Staralem się nie pokazać po sobie żadnych emocji.

– To co teraz szykuje potomek Jessego Jamesa?

– W przyszłym tygodniu wyruszam w nową trasę. Z pakietem *Złoty internet*. A ty? Zmieniasz pieluchy?

Patrzył na mnie przez chwilę, po czym odparł:

– Umieram.

Powiedział to tak bezbarwnym tonem, że w pierwszej chwili wziąłem jego słowa za żart. Jednak jego oczy mówiły coś innego.

– Mówisz poważnie?

– Tak poważnie jak poważne jest czwarte stadium raka trzustki. – Wolno wypuścił powietrze z płuc. – Szkoda. Moi śliczni synkowie dorosną, nigdy tak naprawdę nie poznawszy swojego ojca. I to dopiero jest powód do żalu.

– Przykro mi – powiedziałem. – Naprawdę.

– Mnie też.

– Więc dlatego przyjechałeś do St. Louis.

– Musiałem załatwić pewne sprawy, zanim... – Urwał. – Nieważne. Nic nie jest ważne oprócz Marissy i naszych dwóch chłopców. Nic.

Milczeliśmy obaj do czasu, aż poczuliśmy się skrępowani.

– Zapłacę rachunek – powiedziałem.

– Nie będę się sprzeciwiał. Muszę opłacić edukację synów w college'u, a ty masz więcej pieniędzy niż Pan Bóg.

* Trawestacja słów Łk 22, 42.

Rozdział 3

Ciągle śni mi się ten sam przerażający sen. Jeśli mam przeżywać w snach powtórki, dlaczego moja podświadomość nie podsuwa mi czegoś, z czego nie chciałbym się budzić?

Z dziennika Charlesa Jamesa

Poniedziałek, 25 kwietnia

Nie spałem dobrze, co ostatnio zdarza mi się bardzo często. Spotkanie z McKayem i wiadomość o jego rychłej śmierci jeszcze bardziej utrudniły mi zasypianie. I nawet po zaśnięciu nie zaznałem spokoju. Śni mi się ten sam przerażający sen. W ostatnich miesiącach zdarzyło się to kilka razy.

W tym śnie idę długą, nierówną drogą o popękanej nawierzchni prowadzącą przez środek pustyni. Zmierzam na zachód, w stronę zachodzącego słońca. Jestem przekonany, że idę Route 66, a przynajmniej tym, co z niej pozostało.

Mój sen jest złowieszczy. Stało się coś złego i po obu stronach drogi płonie ogień, uniemożliwiając mi zejście z niej. Mogę jedynie iść przed siebie. Nikogo nie widzę, ale słyszę zawodzenia i krzyki ludzi. W pewnej chwili słyszę, jak ktoś woła moje imię.

Ostatniej nocy właśnie w tym momencie się obudziłem. Byłem zaplątany w pościel, spocony i ciężko dyszałem. To tylko sen, pomyślałem. Nabrałem głęboko powietrza i zamknąłem oczy. To tylko sen. Długo trwało, zanim ponownie zasnąłem.

Kilka godzin później ze snu wyrwał mnie budzik. Jęknąłem i wyczołgałem się z łóżka. Zdjąłem wilgotną, przepoconą bieliznę, włożyłem sportowe spodenki i zszedłem do hotelowej siłowni, gdzie przez godzinę biegałem na bieżni.

W hotelowym barze kupiłem koktajl proteinowy i napój energetyczny, po czym wróciłem do swojego pokoju. Gdy piłem, rozległ się dźwięk telefonu. Amanda, moja osobista asystentka, dzwoniła z Chicago.

- Jak poszło wczoraj wieczorem? – zapytała.
- Zarobiliśmy sześćset tysięcy.
- Nieźle jak na niedzielę.

- Zgadza się. Co słyhać?
- Dzwonił Paulie. Chce podkreślić swoją prezentację. Pytał, czy wieczorem może dostać dodatkowe dziesięć minut. Co mam mu odpowiedzieć?
- Że może dostać pięć, jeśli da radę zwiększyć zysk o dziesięć procent.
- Przekażę mu.
- I dopilnuj, żeby wcześniej zawiadomił Cartera o tych dodatkowych minutach. Carter wariuje, gdy dochodzi do przekroczenia limitu czasu, a ja nie mam ochoty oglądać jego kolejnego ataku wściekłości.
- Okej, dopilnuję. Czy do Milwaukee jedziemy razem samochodem, czy mam pojechać pociągiem?
- Pojedziemy samochodem.
- Zarezerwowałam ci InterContinental.
- Dlaczego nie Pfistera?
- Cały zabukowany z powodu jakiegoś zjazdu.
- Zawsze mają wolny pokój. Powołaj się na kartę celebryty.
- Już próbowałam. Naprawdę nie mają miejsc. Przykro mi, gdybym wiedziała wcześniej, że przyjeżdżasz...
- W porządku, to tylko jedna noc.
- InterContinental jest przyjemny – powiedziała Amanda. – Masz też wywiad dla „Milwaukee Journal Sentinel”. Reporterka przyjdzie do ciebie do hotelu. Na wasze spotkanie zarezerwowałam oddzielne pomieszczenie w hotelowej restauracji.
- Dziękuję.
- Musisz być z nią ostrożny. Myślę, że pisze artykuł demaskatorski.
- Dziennikarze zawsze piszą artykuły demaskatorskie – powiedziałem. – A ja zawsze jestem ostrożny. Jeśli nie mogę ich przekonać, rozgniatam ich na proch i wyrzucam. Odbierzesz mnie z lotniska?
- Tak, o drugiej dwadzieścia pięć, chyba że twój samolot wylądaje wcześniej.
- Świetnie. Do zobaczenia.

Rozdział 4

W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin dowiedziałem się o dwóch zgonach.

Z dziennika Charlesa Jamesa

Lot z St. Louis do Chicago trwał tylko godzinę, akurat tyle, bym zdążył się zdrzemnąć i zapisać kilka pomysłów marketingowych na kolejne prezentacje. Wylądowałem na O'Hare tuż po drugiej. Z samolotu zadzwoniłem do Amandy i gdy odebrałem bagaż, moja asystentka już czekała na mnie przed budynkiem. Otworzyła bagażnik i wysiadła z samochodu, żeby się ze mną przywitać. Jak zwykle mnie uściskała.

– Witaj w domu.

– Dziękuję. – Wrzuciłem walizkę do bagażnika.

– Chcesz prowadzić? – zapytała.

– Nie. Zostaw mnie przed budynkiem firmy, bo chcę wpaść do biura. Mam mnóstwo roboty przed wyjazdem do Milwaukee.

– Jasne. I tak muszę jeszcze odebrać koszule z pralni chemicznej.

Wsiedliśmy do auta. Gdy przeglądałem maile, Amanda ruszyła spod lotniska i wjechała na I-90 prowadzącą do Downtown Loop.

– Jak było w St. Louis?

– Zjadłem kolację z McKayem Bensonem.

Amanda oderwała wzrok od drogi i spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

– Naszym McKayem?

– Tym samym.

– Coś takiego. Jak to się stało?

– Dorwał mnie za kulisami po moim wystąpieniu.

– Przypadkiem był w St. Louis?

– Nie, przyjechał specjalnie, żeby się ze mną zobaczyć.

– Brzmi paskudnie. Czego chciał? Pracy? Odwetu?

– Właściwie... – Urwałem, chowając telefon do kieszeni. – On umiera.

Amanda rzuciła mi szybkie spojrzenie. Wiadomość wyraźnie ją poruszyła.

– Mówisz poważnie?

- Zadałem mu to samo pytanie. Ma czwarte stadium raka trzustki.
- Słyszałam, że to najgorszy rodzaj nowotworu.

Pokiwałem głową.

- Powiedział, że to kwestia czasu.
- Przykro mi.

Jechaliśmy w milczeniu. W pewnej chwili Amanda zapytała:

- Dobrze się czujesz?
- Świetnie. Dlaczego?
- Wyglądasz na zmęczonego.
- Źle spałem.
- Nie dziwię się. Po spotkaniu z McKayem i jego nowinach.
- To nie to. Znowu miałem ten sen.

Zmarszczyła czoło.

- Który to raz?

Potrząsnąłem głową.

- Nie wiem. Piąty. Szósty.
- Co najmniej. Co zamierzasz z tym zrobić?
- To, co zawsze.
- To znaczy?

Spojrzałem na nią i uśmiechnąłem się szeroko.

- Nic.

*

Siedziba mojej firmy, Droga do Bogactwa według Charlesa Jamesa, mieściła się na siedemnastym piętrze biurowca Michigan Boulevard w Chicago niedaleko Loop, około piętnastu kilometrów od mojego domu w Oak Park.

Amanda wysadziła mnie pod wejściem do budynku. Windą wjechałem na siedemnaste piętro. Gdy wszedłem do holu swojego biura, Candace, nasza nowa recepcjonistka, uśmiechnęła się do mnie.

- Dzień dobry, panie James.
- Dobry – rzuciłem, przechodząc obok niej pospiesznie.
- Panie James! Przyszedł pana znajomy. Kazałam mu zaczekać w pana gabinecie.

Odwróciłem się.

- Kto?
- Pana znajomy. Niestety nie podał nazwiska.

– Nikogo nie oczekuję. – Odwróciłem się i poszedłem korytarzem do swojego gabinetu. Drzwi były uchylone. Na jednym z foteli przed moim biurkiem siedział starszy, siwowłosy mężczyzna, którego nigdy wcześniej nie widziałem. Miał na sobie dżinsy, flanelową koszulę i nosił okrągłe okulary w drucianych oprawkach. Gdy wszedłem, spojrzał na mnie. Wyglądał na spiętego.

– Kim pan jest?

– Nazywam się Carl West.

– Co pan robi w moim gabinecie?

– Mój syn zainwestował w jeden z pańskich kursów szybkiego wzbogacania się.

– Jego zysk.

– Nie jego, tylko pański. Wydał wszystkie pieniądze i pożyczył dwa tysiące ode mnie. Nie zarobił ani centa. Kazałem mu wystąpić o zwrot.

Zauważyłem, że drżą mu dłonie. Przeraziłem się, że może ma broń. Na szczęście niczego nie dostrzegłem.

– Wszystkie nasze pakiety mają gwarancję satysfakcji – powiedziałem.

– Tak mówicie. Nieźle to sobie skalkulowaliście, co? Z początku syn za bardzo się wstydził, żeby prosić o zwrot pieniędzy. Ale gdy zaczęło mu brakować na rachunki i doszło do awantur z żoną, wystąpił o zwrot. Pana ludzie go upokorzyli, potraktowali jak nieudacznika i kapitulanta. Tak mu wszystko utrudniali, że się w końcu wycofał. Ale przecież wy tak działacie, co? W ten sposób finansujecie swoje drogie samochody i prywatne odrzutowce.

– Nie mam odrzutowca.

– Syn też nie miał. Ledwo było go stać na używanego chevroleta. – Mężczyzna szybko zamrugał, zdjął okulary i wytarł oczy. – Jesteśmy zwykłymi ludźmi, panie James. Syn kładł wykładziny podłogowe w Carpet King. Nie zarabiał dużo, ale pracował uczciwie. Chciał więcej dla swojej rodziny. Był żonaty, właśnie urodziło im się dziecko. Chciał zapewnić swojej rodzinie lepsze życie, to, które mu obiecaliście. Ale to niemożliwe, prawda?

Poczułem, jak płoną mi policzki.

– Proszę wyjść z mojego gabinetu – powiedziałem. Wyjąłem z kieszeni wizytówkę i napisałem na niej nazwisko Amandy. – Niech syn zadzwoni do mojej asystentki. Ona zajmie się jego sprawą. – Podałem mu kartonik, ale mężczyzna go nie wziął. W jego oczach zobaczyłem ból.

– Chciałbym, żeby mógł to zrobić – powiedział. – Ale się powiesił.

Jego słowa zastygły w pełnej napięcia ciszy. Mężczyzna ponownie wytarł oczy i założył okulary.

– Zabrał mu pan nie tylko jego pieniądze, panie James. Pan odebrał mu nadzieję. Dlatego się zabił. Niech pan o tym pamięta, gdy następnym razem będzie pan kogoś okradał z nadziei.

Wstał.

– Nie zależy mi na tych pieniądzach. Chcę tylko odzyskać swojego syna. Nazywał się Erik West. Nie był jednym z głupców na widowni. Miał nazwisko. I rodzinę. Niech pan zapamięta jego nazwisko. Erik West. – Minął mnie i podszedł do drzwi. – Jest pan oszustem, panie James. I kiedyś pan za to zapłaci – powiedział i wyszedł z mojego gabinetu.

Rozdział 5

Wariat albo oszust. Czuję się podle.

Z dziennika Charlesa Jamesa

Erik West.

Nie po raz pierwszy miałem do czynienia z niezadowolonym klientem. Grożono mi słownie, a nawet fizycznie. Była to część naszej działalności. Jednak po raz pierwszy zostałem obarczony winą za samobójstwo. Przypomniały mi się słowa McKaya. Skrzywdziliśmy mnóstwo ludzi.

– Nie jestem oszustem – mruknąłem pod nosem. – Nie jestem oszustem. – Usiadłem za biurkiem. – Nie jestem oszustem.

Mówiłem tak samo, jak kiedyś prezydent Nixon do narodu. „Nie jestem oszustem”. Ale Nixon rzeczywiście był oszustem. Może ja też nim byłem. Może powtarzałem te słowa, bo liczyłem na to, że w nie uwierzę.

Jeśli sprowadzić rzecz do nagich faktów, to ludzie rzeczywiście stracili pieniądze – pieniądze, które teraz należały do mnie i które lekkomyślnie wydawałem. Owszem, oddali mi swoje pieniądze z własnej woli, ale pod pewnymi względami wyglądało to tak samo, jakbym przyłożył im pistolet do głowy. Niczym pospolity rzezimieszek żerowałem na ludzkim strachu. Strachu przed stratą. Strachu przed porażką. Strachu przed byciem nikim. I byłem w tym tak samo skuteczny, jakbym używał broni. Z pistoletem czy bez, osiągałem te same rezultaty. Byłem oszustem. A ojciec stracił syna.

*

Kilka minut po wyjściu mężczyzny do otwartych drzwi mojego gabinetu zapukała Candace.

– Pańska kawa, szefie.

Weszła, położyła serwetkę na biurku i postawiła na niej kubek Venti z mrożoną kawą Starbucks.

– Coś jeszcze, szefie?

– To ty wpuściłaś tego człowieka do mojego gabinetu? – zapytałem.

– Tak, szefie.

– Znałaś go?

– Nie. Powiedział, że jest pana przyjacielem.

– Miałaś pewność, że naprawdę jest przyjacielem?

Przełknęła ślinę.

– Nie.

– Nigdy wcześniej go nie widziałem. Miałaś podstawy, aby mu uwierzyć?

Zawahała się.

– Nie.

– A mimo to wpuściłaś go do mojego gabinetu. A gdyby przyszedł mnie zabić?

Przeraziła się.

– Bardzo przepraszam. To się już nie powtórzy.

– Tego jestem pewien. Spakuj swoje rzeczy i zawiadom Susan z kadr, że zostałeś zwolniona.

Do jej oczu napłynęły łzy.

– Tak, szefie.

Odwróciła się i szybko odeszła. Wstałem, zamknąłem drzwi na klucz, po czym usiadłem za biurkiem i wysłałem mail do dyrektor kadr z informacją o zwolnieniu recepcjonistki.

Pół godziny później ktoś chwycił za klamkę, a potem zapukał.

– Kto tam?

– To ja, Amanda.

– Wejdz.

– Ale drzwi są zamknięte.

Otworzyłem drzwi, po czym wróciłem do biurka. Amanda weszła do gabinetu.

– Dlaczego Candace płacze i sprząta swoje biurko?

– Bo ją zwolniłem.

– Teraz rozumiem. Szkoda. Lubiałam ją.

– Gdy przyszedłem, czekał tu na mnie zupełnie obcy człowiek. To ona go wpuściła.

Amanda pokręciła głową.

– Kto to był?

– Ojciec jednego z naszych klientów.

Usiadła przed moim biurkiem.

– Bynajmniej nie wielbiciel, jak się domyślam.

– Jego syn popełnił samobójstwo.

Zmarszczyła czoło.

- Ach...
 - No właśnie. Ach. Dobrze, że facet nie przyszedł z bronią.
 - To przykre. I ten człowiek myśli, że samobójstwo jego syna to twoja wina?
 - Zgadza się.
 - To nie ty pociągnąłeś za spust.
 - Chłopak się powiesił. Ale równie dobrze mogłem zacisnąć pętlę.
- Amanda patrzyła na mnie przez chwilę, po czym powiedziała:
- Może nie powinieneś jechać na dzisiejszą prezentację. Nie wypadniesz dobrze w tym stanie. Nie wspominając już o tym, że jesteś zmęczony. Musisz być w szczytowej formie podczas najbliższego wyjazdu. Paulie zrobi prezentację za ciebie.
 - Nie dzisiaj. Muszę przetestować nowy pakiet *Złoty internet*. Osobiście muszę zobaczyć reakcję widowni.
 - Na pewno jesteś w formie?
 - Zawsze jestem w formie. Interes musi się kręcić.
 - Może się kręcić bez ciebie. Moim zdaniem potrzebujesz odpoczynku.
- Wenecja jest piękna o tej porze roku.
- Robię wypadki swoim harleyem.
 - A ten straszny sen wraca?
 - To tylko sen.
 - Może to przeczucie.
 - Wiesz, że nie wierzę w takie bzdury.
- Pokręciła głową.
- Wiem. Jeśli czegoś nie można dotknąć, to nie istnieje. – Zainteresowała się leżącą na moim biurku paczką. Było to czarne błyszczące pudło wielkości kartonu na buty z wytłoczonym na złoto napisem ZŁOTY INTERNET. – To ten nowy produkt?
 - Prototyp. – Popchnąłem pudło w jej stronę.
- Wzięła je w ręce i zaczęła oglądać z podziwem.
- Wygląda pięknie.
 - Za siedem i pół tysiąca powinien wyglądać bardziej niż pięknie. Powinien wyglądać jak złoto.
- Amanda postawiła pudło na biurku.
- Tyle za niego inkasujemy?
 - Wiesz, jak to działa. Inkasujemy od klientów tyle, ile możemy z nich wycisnąć. I tego chcę się dowiedzieć dzisiaj wieczorem.

Po chwili milczenia Amanda powiedziała:

– Ostatnio żyjesz pod wielką presją. I ciągle masz te sny. Nie myślałeś, aby o tym z kimś porozmawiać?

– Rozmawiam o tym z tobą – odparłem.

– Miałam na myśli specjalistę.

Gdy tego nie skomentowałem, dodała:

– Na przykład psychiatrę.

– Niedoczekanie.

– Dlaczego?

– Przede wszystkim dlatego, że nie jestem wariatem.

– Nie trzeba być wariatem, żeby rozmawiać z psychiatrą. Rozmawia się z nim, żeby nie zwariować. Może taka rozmowa pomogłaby ci zrozumieć, dlaczego miewasz te okropne sny.

– Nie potrzebuję lekarza od czubków, aby wyjaśnił mi, dlaczego mam te sny.

– W takim razie dlaczego?

Wypuściłem powietrze.

– Nie mam pojęcia – warknąłem.

– Rozmowa z terapeutą pomogła mi podczas rozwodu. – Poderwała się z fotela. Znała mnie wystarczająco dobrze, by wiedzieć, kiedy toczona przez nią bitwa jest beznadziejna. Podeszła do mnie i pocałowała w policzek. – Jesteś bardzo uparty. Martwię się o ciebie. Przynajmniej zastanów się nad tym, co powiedziałam. Znam dobrego terapeuta. – Idąc do drzwi, odwróciła się nagle. – Przy okazji. Wysłałam Gabrielowi prezent urodzinowy. – Gdy nic nie powiedziałem, dodała: – W zeszły piątek skończył osiem lat.

– Tak, wiem. Dziękuję.

– Nie ma za co.

Wyszła z gabinetu.

Wiedziałem o urodzinach syna, ponieważ zdjęcie z jego przyjęcia urodzinowego obejrzałem w swoich aktualnościach na Facebooku. Gabriel miał na sobie pełny strój Batmana z naszywkami imitującymi bicepsy, mięśnie klatki piersiowej i brzucha. Monica, moja była żona, kroїła tort udekorowany Batmanami. Oprócz mojej byłej i jej najlepszej przyjaciółki Carly mój syn był otoczony osobami, których nie znałem.

Monica wciąż była piękna. Choć nie rozmawialiśmy od lat, nadal o niej myślałem. Często. Wiem, że to zabrzmiało żałośnie, ale utworzyłem fałszywe konto na Facebooku, aby ją obserwować. Wiedziałem, że po tym, co

zrobiłem, Monica nigdy nie przyjęłaby mnie do grona znajomych.

Położyłem głowę na biurku.

– Nie potrzebuję psychiatry. Nie jestem oszustem. – Ciężko westchnąłem. – Ale mówisz do siebie. Zdecydowanie dostajesz świra.

Rozdział 6

Nie wierzę w mity ani magię. Niewiele rozumiem z tego, co widzę. Tym bardziej nie mam ochoty tracić czasu na rozumienie czegoś, czego nie widać.

Z dziennika Charlesa Jamesa

Około czwartej po południu oboje z Amandą wyruszyliśmy do Milwaukee międzystanową numer 94 wzdłuż zachodnich brzegów Michigan. Poprzednio pokonywałem tę trasę w niecałe półtorej godziny, tym razem jednak jazda zajęła nam ponad dwie. Kilkanaście kilometrów na północ od Evanston zdarzył się wypadek, który znacznie spowolnił ruch na autostradzie.

Prowadziłem wlokące się za innymi auto. Amanda wyglądała przez okno.

– Wiesz, tam są potwory – powiedziała w pewnej chwili.

– Znam je. Nazywają się audytorzy.

– Miałam na myśli jezioro.

– W każdym dużym zbiorniku wody mieszka mityczny potwór. Ale nikt w to nie wierzy.

– Wierzę, że są na tym świecie rzeczy, o których nie mamy pojęcia. Kosmos poznaliśmy lepiej niż ziemskie oceany. Ludzie widzieli różne rzeczy.

– Masz na myśli potwora z Loch Ness?

– Tak. Oraz Wielką Stopę.

– Oraz zająca wielkanocnego.

– Teraz się ze mnie nabijasz.

Roześmiałem się.

– Jeśli życie czegoś mnie nauczyło, to tego, że generalnie ludzie są idiotami. Jestem pewien, że coś widzieli, tylko że nie to, co myśleli, że widzą. Biologowie udowodnili, że wąż wodny w jeziorze Champlain to w rzeczywistości wydry płynące jedna za drugą. Z oddali wyglądały jak stworzenie z kilkoma garbami.

– Nie powiedziałam, że wszystkie istnieją naprawdę. Uważam tylko, że jest wiele rzeczy na niebie i ziemi, o których nie mamy pojęcia.

– Czy to nie cytat z Szekspira?

– Dlaczego jesteś taki kaśliwy?

– Zawsze jestem kaśliwy. I nie wierzę w nic, czego nie widzę, a z tego, co widzę, też tylko w połowę. Cały świat to tania sztuczka magiczna. Zabawa cieniami i lustrami. Wiem, bo sam jestem iluzjonistą.

– Zgadza się, jesteś – powiedziała, ponownie wyglądając przez okno. Po chwili głośno wypuściła powietrze z płuc. – Dla twojej wiadomości: nie każdy mit jest oparty na fałszu.

– Podaj jeden przykład.

– Mapinguari.

Spojrzałem na nią.

– Napnij co? – zapytałem.

– Mapinguari. Stworzenie podobne do Wielkiej Stopy żyjące w Ameryce Południowej. Indianie widywali je tysiące razy.

– No rzeczywiście! Niewykształceni, przesądni tubylcy mówią, że widzieli potwora. To musi być prawda.

– Jeszcze nie skończyłam. Opowieści o mapinguari było tak wiele, że amerykańscy antropolodzy pojechali sprawdzić rzecz na miejscu. Odkryli, że każde tubylcze plemię rysowało dokładnie to samo zwierzę, choć wiele z nich nigdy nie kontaktowało się z innymi plemionami. Naukowcy są przekonani, że zwierzę jest reliktem któregoś z gatunków olbrzymiego leniwca, który ponoć wyginął tysiące lat temu.

– Gdzie to wyczytałaś? W „Enquirerze”?

– W „New York Timesie”.

Tylko się uśmiechnąłem.

– Co się stało? Mowę ci odjęło?

– Tak. Zobaczyłem mapinguari.

Roześmiała się i pokręciła głową.

– Jesteś okropny. – Po chwili dodała: – A Wielka Stopa istnieje. Widział go brat mojego dziadka.

Rozdział 7

Dawno minęły czasy Waltera Cronkite'a, gdy dziennikarze byli bardziej reporterami niż łgarzami. Dzisiaj jedyna różnica pomiędzy wiadomością a fikcją polega na tym, że fikcja, aby ludzie w nią uwierzyli, musi mieć podstawę w rzeczywistości.

Z dziennika Charlesa Jamesa

Przyjechaliśmy do InterContinentalu mniej więcej kwadrans po szóstej, niemal półtorej godziny później, niż planowałem. Reporterka już na mnie czekała. Była wkurzona, miała anemiczny wygląd, włosy koloru słomy i słaby zarost pomiędzy brwiami – taka Frida Kahlo z Wisconsin. Z daleka wyczułem od niej nienawiść do mężczyzn. Wstała, gdy podszedłem.

– Pan James? – zapytała, nie wysilając się zbytnio na grzeczność.

– Przepraszam, że musiała pani czekać. Wypadek na trasie.

– Słyszałam, że zarezerwowano nam miejsce na wywiad.

– Tędy – powiedziała Amanda, wysuwając się przede mnie. – Jestem Amanda Glade, osobista asystentka pana Jamesa. Proszę za mną. To na tyłach restauracji.

– Dziękuję – rzuciła zwięźle reporterka.

Amanda zamieniła kilka słów z hostessą, po czym zaprowadziła nas do zarezerwowanego stolika. W restauracji panował tłok i byłem pod wrażeniem, że Amandzie udało się załatwić oddzielne pomieszczenie. Usiedliśmy z reporterką przy stoliku oświetlonym płomieniem świec.

– Mogę zamówić drinki? – zapytała Amanda.

– Poproszę szkocką – powiedziałem.

– Dla mnie nic – powiedziała dziennikarka, choć według mnie przydałoby się jej kilka głębszych dla rozluźnienia.

Wyglądała na jedną z tych kobiet, które mają zły dzień od dwudziestu lat. Albo chodziła z gwoździem w bucie. Albo jedno i drugie.

Włączyła cyfrowy dyktafon wielkości dłoni i położyła go na stole.

– Chciałabym nagrywać naszą rozmowę. Ma pan coś przeciwko?

– Skądże.

– To bardzo dobrze. W takim razie zaczynamy. – Podniosła na mnie

wzrok. – Czy to pana pierwsza wizyta w Milwaukee?

Delikatny wstęp, po którym miał nastąpić właściwy atak.

– Nie. Byłem tu już wiele razy.

– I wpuszczają tu pana?

To było to. Popatrzyłem jej w oczy.

– Czy w tym tonie zamierza pani przeprowadzić wywiad?

– Nie wiem, o co panu chodzi.

Nie spuszczałem z niej wzroku.

– Albo pani kłamie, albo jest wybitnie tępą. Myśli pani, że jest pierwszą wredną reporterką, której udzieliłem wywiadu?

– Nie. Biorąc pod uwagę pana reputację, myślę, że spotkał pan ich kilka.

Touché.

Podeszła do nas kelnerka z moim drinkiem i postawiła go przede mną.

– Byłaby pani tak miła i wytarła stół? – zapytałem.

Dziewczyna spojrzała na stół, który, byłem tego pewien, według niej oraz reporterki był czysty.

– Oczywiście. – Wzięła serwetkę z sąsiedniego stolika i wytarła blat.

– I jeszcze tu – wskazałem miejsce, które ominęła.

Wytarła je i spojrzała na mnie.

– Czy teraz jest dobrze?

– Tak, dziękuję. – Dałem jej dwudziestkę napiwku i wolno upiłem drinka, po czym zapytałem przyglądającą mi się reporterkę: – Na czym pani skończyła?

– Musi pan przyznać, że mówi się o panu mnóstwo negatywnych rzeczy.

– Nic nie muszę – odparłem. – Łącznie z tym wywiadem. – Miałem ochotę odejść, postanowiłem jednak zostać, żeby zobaczyć, czy kobieta będzie umiała przeprowadzić wywiad inaczej. To było jak gra w emocjonalne szachy. A ja lubię szachy. – Niech pani wskaże kogoś, kto dokonał czegoś istotnego na tym świecie i nie ściągnął na siebie krytyki. Arystoteles powiedział, że jedynym sposobem na uniknięcie krytyki jest nic nie mówić, nic nie robić i być nikiem. – Napiłem się i dodałem: – Zauważyłem, że opanowała pani wszystkie trzy umiejętności.

Zacisnęła zęby.

– Niektórzy ludzie nazywają pana program wzbogacenia się zwykłą lipą, a pańska umiejętność nakłaniania ludzi, by dawali panu pieniądze, to ni mniej, ni więcej, jak tylko gwałt psychiczny.

– Niektórzy ludzie? Jacy?

Z teczki wyciągnęła kartkę papieru.

– Ludzie, którzy uczestniczyli w pańskich szkoleniach. Tu jest kilka komentarzy, które zebrałam w internecie. Znalazłam je bez trudu. Są ich setki.

Charles James udowadnia prawdziwość słów P.T. Barnuma: „Co minutę rodzi się naiwniak”.

Jak poznać, że James kłamie? Ma otwarte usta.

Charles James głosi, że jest w prostej linii potomkiem Jessego Jamesa. Wierzę w to. Jest oszustem i chamem.

Spodnie tego faceta na pewno są uszyte z azbestu.

Podniosła na mnie wzrok.

– Jak pan to skomentuje?

– To o azbeście było pomysłowe.

Nie uśmiechnęła się. Odchyliłem się na oparcie krzesła, splatając dłonie na karku.

– Jakiego komentarza pani ode mnie oczekuje? Hejterzy hejtują.

– Czy mają powody do złości?

– Pani pytanie jest bezsensowne. Każdy idiota może się złościć o coś rzeczywistego lub urojonego. W masie klientów, których przyciągamy, jest pewien procent takich, którzy nigdy nie wzięli odpowiedzialności za swoje życie. To ci, którzy myślą, że mogą się wzbogacić bez żadnego wysiłku ze swojej strony. Niektórzy z nich nawet nie otworzyli pakietu, który kupili, ani nie słuchali szkolenia.

– Jednak pan zapewnia, że każdy może odnieść sukces. Naprawdę pan w to wierzy?

– Oczywiście. Nawet pani w to wierzy. Czy jest w tym coś złego? Czy uczelnie z Ivy League nie reklamują się obietnicami sukcesów? Prawda jednak jest taka: czy absolwent Harvardu wychodzi z sześciocyfrowym dochodem? Nie. Tylko z sześciocyfrową pożyczką uczelnianą. Czy ktoś za to potępia Harvard? Nie, nie potępia i nie powinien potępiać. Ponieważ racjonalny umysł akceptuje fakt, że każdy student ponosi osobistą odpowiedzialność za swoje osiągnięcia. Wykształcenie może pomóc w życiu, ale nie zagwarantuje sukcesu. Niech mi więc pani powie, czym różnimy się od Harvardu albo innego college’u w tej kwestii.

Patrzyła na mnie z niedowierzaniem.

– Pan naprawdę porównuje swoje kursy do Harvardu?

– Nie – odparłem, potrząsając głową. – Nie deprecjonowałbym swoich

kursów. To, czego uczę, jest znacznie cenniejsze. Żyję w prawdziwym świecie, podczas gdy większość profesorów żyje w baśniowym światku akademickim. Urodziłem się w rodzinie biednego robotnika imigranta, a dzisiaj jeżdżę astonem martinem. Kiedy byłem mały, wstawałem wcześniej rano w niedzielę, żeby szukać w kontenerach na śmieci jedzenia, które wyrzucili inni ludzie. A pani, mimo to? Czy kiedykolwiek szukała pani obiadu w śmietniku?

Spojrzała na swoją kartkę.

– Federalna Komisja Handlu stwierdziła...

– Nie odpowiedziała pani na moje pytanie. Czy kiedykolwiek wchodziła pani do kontenera na śmieci, aby znaleźć coś do jedzenia?

– Nie – warknęła poirytowana.

– To co pani może wiedzieć o tym, co robię? Niech zgadnę. Mamusia i tatuś wysłali panią do college'u Sarah Lawrence, gdzie zrobiła pani licencjat ze studiów feministycznych i dziennikarstwa.

Patrzyła na mnie zaskoczona.

– Czytał pan o mnie w Google?

– Nie musiałem. Znam panią.

– Nigdy się nie spotkaliśmy.

– Oczywiście, że się już spotkaliśmy. Jest was po kilkanaście w każdej amerykańskiej gazecie codziennej. Takie pseudodziennikarki jak pani nie tworzą się samodzielnie, ale są wycinane ze sztancy. Nie jesteście edukowane, tylko indoktrynowane. Nie uczą was myślenia, uczą bezmyślnego powtarzania tez linii partyjnej. A potem klepiecie się wzajemnie po plecach w uznaniu za własną wyższość moralną.

Jej twarz stężała od gniewu.

– Czy właśnie to mówi pan uczestnikom seminariów *Droga do bogactwa według Charlesa Jamesa*? Żeby myśleli samodzielnie? Czy może pan to robi za nich?

– Nie zamierzam zaszczycić tego głupiego pytania odpowiedzią.

Sprawdziła dyktafon i powiedziała:

– Twierdzi pan, że jest potomkiem Jessego Jamesa. To prawda czy chwyt reklamowy? Niech pan pamięta, że zamierzam sprawdzić fakty.

– Niech pani sprawdzi – odparłem. – Mogę pani przesłać swoje drzewo genealogiczne, jeśli pani chce. Jesse James był moim praprapradziadkiem ze strony matki. I zgadza się, jest to też chwyt reklamowy.

– Niech mi pan opowie o swoim dzieciństwie.

- Już opowiedziałem.
- Oprócz nurkowania do kontenerów na śmieci, co jeszcze powinniśmy wiedzieć o pańskim życiu?
Patrzyłem na nią przez chwilę, po czym powiedziałem:
 - Nic.
- Pomimo tonu naszego wywiadu moja odpowiedź ją zaskoczyła.
 - Dlaczego?
 - Ten mały chłopiec już dość wycierpiał. Nie chcę, aby pani ze swoim poczuciem wyższości i elitarnym pochodzeniem oceniała coś, czego nie jest pani w stanie nawet w przybliżeniu zrozumieć. Twierdzi pani, że broni ludzi biednych, z marginesu społecznego, członków mniejszości. Ale gdy jeden z nas odniesie prawdziwy sukces, pokazujecie swój prawdziwy rasizm.
- Poprawiła okulary. Domyślałem się, że ma dość.
 - Jeszcze jedno pytanie.
 - Tak.
 - Ma pan wyrzuty sumienia, że zrujnował życie wielu ludziom?
Wbiłem w nią wzrok.
 - A pani?
- Wyłączyła dyktafon i włożyła go do teczki, po czym gwałtownie wstała.
 - Dziękuję za wywiad.
- Odwróciła się i wyszła z restauracji.
- Nie spieszyłem się. Dopilem szkocką, po czym poszedłem do hotelowego holu. Amanda siedziała na krześle obok biurka recepcjonisty. Widząc mnie, wstała.
 - Jak poszło?
 - Typowe polowanie na czarownice. Musisz lepiej sprawdzać reporterów.
 - Uwierz lub nie, ale zwykle mi nie mówią, że planują cię atakować. Poza tym ostrzegłam cię. Powiedziałam, że jej nie ufam.
 - Kiedy?
 - Dzisiaj rano przez telefon. Wyraźnie cię ostrzegłam.
 - No cóż, już się stało – skwitowałem. – Chodźmy do centrum konferencyjnego.
 - Masz jeszcze godzinę. Nie chcesz pójść najpierw do swojego pokoju?
 - Nie. Chcę zobaczyć, jaką dzisiaj mamy publiczność.
- *

Seminarium Charles James radzi, jak zostać bajecznie bogatym trwało

nieprzerwanie od dziewiątej rano. Cartera Searsa, mojego kierownika sceny, zastałem w kulisach. Gdy wszedłem, podniósł wzrok.

– Jak nam idzie? – zapytałem.

– Jak dotąd jakieś pięćset pięćdziesiąt – odparł. – Nieźle. Zwłaszcza że najlepsze dopiero nastąpi.

Z jego nieszczerzego uśmiechu wywnioskowałem, że ma na myśli mnie. Carter zawsze się podlizywał.

Pięćset pięćdziesiąt tysięcy to dobry wynik, choć nie rewelacyjny. Podczas mojego najlepszego wystąpienia, zeszłej wiosny w Los Angeles, w ciągu czterdziestu pięciu minut zebrałem ponad milion dolarów.

– Jak się sprawdza nowy trik Pauliego?

– Dobrze. Zgarnął dziesięć w...

– Dziesięć? Dawałem mu pięć.

– ...ale podniósł sprzedaż o trzydzieści jeden procent jak do tej pory.

– To dobrze. Nie będę musiał go zwolnić.

Carter uśmiechnął się dyskretnie.

– Jesteś gotowy do wystąpienia?

– Zawsze jestem gotowy. Będę improwizować.

– Nikt nie robi tego lepiej od ciebie – powiedział Carter. – Powodzenia.

– Sam sobie załatwiam powodzenie.

Niecałą godzinę później rozległ się motyw muzyczny moich występów, a prowadzący zaserwował publiczności zwyczajowy wstęp.

– Wychodzisz – powiedziała Amanda.

Wstałem i włożyłem do ucha słuchawkę.

Podszedł do mnie Carter.

– Będziesz musiał użyć tego mikrofonu. Chyba jest zwarcie w tym na scenie. Cały czas przerywa.

Wziąłem od niego mikrofon.

– Jest włączony?

– Pod napięciem – odparł.

– W porządku. Pora zacząć show.

– Rzuć ich na kolana – powiedziała Amanda.

– Czy nie robię tak za każdym razem?

Wszedłem z boku sceny, gdy muzyka ucichła i zastąpił ją aplauz tłumu.

– Dziękuję. Dziękuję, bardzo wam dziękuję. Mamy o czym rozmawiać, więc zaczynajmy.

Jak zwykle zczekałem, aż tłum się uciszy.

– W życiu obowiązuje jedna wielka prawda – zacząłem. – Prawda, która zadecyduje o tym, czy wasze życie będzie naznaczone sukcesem czy cichą rozpaczą. – Uniosłem palec. – Tylko jedna. Chcecie poznać tę prawdę?

– Tak! – ktoś krzyknął.

W tym momencie, rozglądając się po twarzach zebranych, zobaczyłem starszego mężczyznę, który po południu przyszedł do mojego gabinetu. Tego, którego syn popełnił samobójstwo. Miał ręce skrzyżowane na piersi i wpatrywał się we mnie. Co on tu robi? – przemknęło mi przez głowę.

– Powiedz nam, co to za prawda! – krzyczała widownia.

Opanowałem się.

– Chcecie poznać tę prawdę? – krzyknąłem.

Podekscytowany tłum zaryczał.

Ponownie spojrzałem na starszego mężczyznę. Gniewnie się we mnie wpatrywał. I wtedy zobaczyłem, że nie jest sam. Obok niego siedział młodszy mężczyzna. Z wyjątkiem różnicy wieku obaj wyglądali niemal identycznie. Mógł to być jego syn. Jego syn? Przecież jego syn nie żył. Nagle zamarłem. Na szyi młodszego mężczyzny dostrzegłem pętlę. Tuż pod brodą miał okropne otarcia od sznura i fioletowoczerwone siniaki. Mężczyzna wbijał we mnie spojrzenie czarnych oczu, a kąciki jego ust uniosły się w złośliwym uśmiechu.

– Powiedz! – domagał się tłum. – Jaka to prawda!

Sparaliżował mnie strach. Uniosłem trzęsącą się dłoń i przetarłem oczy. Gdy spojrzałem jeszcze raz, mężczyzny nie było. Zniknęli obaj. Cokolwiek widziałem, zniknęło.

Kropla potu spłynęła mi po plecach. Patrzyłem na publiczność niezdolny wydusić z siebie słowa. W słuchawce usłyszałem głos Cartera.

– Charles, dobrze się czujesz? Co się dzieje?

Publiczność ucichła. Wolno uniosłem mikrofon.

– Przepraszam – powiedziałem. – Źle się czuję.

Odwróciłem się i zszedłem ze sceny.

Amanda czekała na mnie zaraz za kulisą.

– Co się stało?

– Zabierz mnie stąd – powiedziałem. – Natychmiast.

Rozdział 8

Czy szalony wie, że jest szalony? Czy fakt, że zadałem to pytanie, pogrąża mnie czy usprawiedliwia?

Z dziennika Charlesa Jamesa

Pięćdziesiąt kilometrów na południe od Milwaukee zdarzył się wypadek i ruch na drodze znowu stał się powolny. Przybyłe na miejsce pojazdy służb ratowniczych rozświetliły nocne niebo iluminacją czerwono-niebieskich świateł.

– Kto uczy tych idiotów, jak nie należy prowadzić? – zapytałem gderliwie.

Amanda nic nie powiedziała. Gdy zbliżyliśmy się do miejsca wypadku, ruch stał się jeszcze wolniejszy.

– Głupi gapie. Są jak sępy.

W żółwym tempie minęliśmy dwie karetki. Ratownicy medyczni wsuwali nosze do jednej z nich. Ciało było całkowicie zakryte prześcieradłem.

– Wygląda na to, że są ofiary – powiedziała cicho Amanda.

– Zasłużyli na to, bo jeżdżą jak idioci.

Amanda zaczęła, aż miniemy roztrzaskane samochody, po czym powiedziała:

– Nieprawda. Nie zasłużyli.

Kilka minut później mruknąłem:

– Nie wiem, co się stało.

– Sparaliżowało cię na scenie. To się zdarza.

– Nie mnie. Nigdy mnie.

– To był zły pomysł. Za dużo się na ciebie zważyło, Charles. Chciałbyś wycisnąć masę pieniędzy podczas najbliższego wyjazdu, co noc budzi cię ten sam koszmar, w ciągu ostatniej doby zaatakowała cię reporterka, dowiedziałeś się, że twój mentor umiera, i zostałeś obarczony winą za samobójstwo. To za wiele nawet dla wielkiego Charlesa Jamesa.

Po chwili powiedziałem:

– To nie presja sparaliżowała mnie na scenie. – Spojrzałem na Amandę. – Zobaczyłem go.

- Kogo?
- Mężczyznę, który popełnił samobójstwo. Siedział w drugim rzędzie obok swojego ojca. Na szyi miał sznur.
- Amanda wbiła we mnie wzrok.
- Przerażasz mnie.
- Nie tylko ty jesteś przerażona.
- Pochyliła głowę i zakryła oczy dłonią. Po chwili spojrzała na mnie.
- Charles, nie trzeba być wariatem, żeby rozmawiać z psychiatrą. Lekarka może ci pomóc spojrzeć na sprawy z innej perspektywy. To się niczym nie różni od tego, co robisz dla ludzi, których szkolisz.
- Po chwili milczenia powiedziałem:
- Powiedziałaś „lekarka”. Masz na myśli kogoś konkretnego?
- Nazywa się doktor Christine Fordham.
- Przez chwilę prowadziłem w milczeniu.
- W porządku. Zadzwoń do niej.
- Już to zrobiłam.
- Spojrzałem na nią szybko.
- Już do niej zadzwoniłaś?
- Niełatwo się z nią umówić. Chciałam, żebyś miał taką opcję, na wypadek gdybyś zmienił zdanie.
- Jaki termin?
- Zwykle czeka się sześć tygodni, ale ktoś odwołał wizytę. Pani doktor ma wolną godzinę jutro po południu, więc cię umówiłam.
- Na jutro?
- Na jutro.
- A gdybym się nie zgodził?
- Wtedy ja bym do niej poszła. Od jakiegoś czasu doprowadzasz mnie do szaleństwa.
- Ruch na drodze powoli wracał do normy. Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu.
- Dziękuję – powiedziałem.
- Amanda położyła dłoń na moim kolanie.
- Nie ma za co. Troszczę się o ciebie.
- Wiem. Jak zawsze.

Rozdział 9

Być może nasza psychika wysyła do nas wyraźniejsze sygnały, niż chcielibyśmy wierzyć.

Z dziennika Charlesa Jamesa

Wtorek, 26 kwietnia

Doktor Christine Fordham, zarekomendowana przez Amandę specjalistka w dziedzinie psychiatrii, miała gabinet w poradni znajdującej się mniej więcej pół godziny jazdy od mojego biurowca. Dotarłem tam dziesięć minut przed wyznaczoną godziną.

Poradnia była schludnie i prosto urządzona. Na pomalowanych na neutralny kolor ścianach wisiały obrazy abstrakcyjne, jaskrawe jak testy Rorschacha. Na podłodze poczekalni leżał szary berberyjski dywan, przy zarzuconym kolorowymi czasopismami białym stolczku stała pokryta brązową tkaniną sofa i pasujące do niej kolorystycznie dwa proste fotele.

W korytarzu zobaczyłem troje zamkniętych drzwi. Na każdym wisiała mosiężna tabliczka z wygrawerowanym nazwiskiem lekarza. Gabinet doktor Fordham znajdował się najbliżej poczekalni.

Za biurkiem w narożniku siedziała rejestratorka w średnim wieku. Spojrzała na mnie, gdy wszedłem.

- Czym mogę służyć?
- Jestem umówiony z doktor Fordham.
- U pani doktor jest jeszcze klient – powiedziała. – Pan James?
- Tak.
- Pani doktor za chwilę pana przyjmie. Proszę usiąść.

Gdy usiadłem na kanapie, mój łęk sięgnął zenitu. Porozrzucane na stoliku magazyny ułożyłem w dwa schludne stosy równej wysokości, po czym wziąłem stary numer „Sports Illustrated”.

Nadal przerzucałem strony magazynu, gdy otworzyły się drzwi gabinetu doktor Fordham. Zobaczyłem kobietę, która wycierała chusteczką zapuchnięte oczy. Za nią stała szczupła kobieta o miłym wyglądzie, która, jak się domyślałem, była panią doktor. Miała na sobie jasną spódniczkę w jodełkę, bluzkę z czarnego jedwabiu i okrągłe okulary w cienkich

drucianych oprawkach. W pewien subtelny sposób była bardzo atrakcyjna, podobnie jak modelki, które zakładają okulary i związują włosy, aby wyglądać mniej pociągająco.

– Do zobaczenia w przyszłą środę – powiedziała do klientki.

– Dziękuję, pani doktor. Jest pani moim wybawieniem.

Gdy kobieta wyszła z poczekalni, lekarka zwróciła się do mnie:

– Pan James?

Odłożyłem starannie magazyn, ale widząc, że stopy nie są teraz tej samej wysokości, ułożyłem trzeci i dopiero wtedy wstałem.

– Proszę mi mówić Charles.

Popatrzyła na stopy i powiedziała:

– Wejdz, Charles.

Wszedłem za nią do gabinetu.

– Usiądź – powiedziała, wskazując skórzaną kozetkę. – Na pewno zechcesz wyłączyć telefon.

– Oczywiście. – Wyjąłem go z kieszeni i wyłączyłem.

Pani doktor zamknęła drzwi i usiadła przed biurkiem na prostym fotelu obrotowym z czarnego plastiku. Wzięła do ręki notatnik.

– Dziękuję, że przyszedłeś. Jak się czujesz?

– Świetnie – odparłem, co musiało zabrzmieć absurdalnie. Gdybym rzeczywiście czuł się świetnie, nie byłoby mnie w tym gabinecie. Może powinienem był powiedzieć, że czuję się fatalnie. Zdecydowanie za dużo psychobelkotu brzęczało mi w głowie.

– Opowiedz mi o sobie.

– Co chcesz wiedzieć?

– Jak poważna jest twoja mania na punkcie porządku?

– Zauważyłaś?

– Na tym polega moja praca – odparła. – Na obserwowaniu.

– Mam ją od dziecka.

– Leczysz ją farmakologicznie?

– Nie. Przez tydzień brałem zoloft, ale czułem się po nim apatycznie.

– Czy uważasz, że mania jest męcząca?

– Właściwie już nie czuję, że ją mam. Co jeszcze chcesz wiedzieć?

– Jesteś z Chicago?

– Nie. Urodziłem się w Kalifornii.

– W której części?

– Blisko Santa Monica.

– Piękne okolice.
– Byłaś tam?
– Tylko raz. Czym się zajmujesz?
– Jestem zawodowym prezydentem. Mam firmę szkoleniową.
– Ta branża jest mi obca. Co prezentujesz?
– Sprzedajemy pakiety, które uczą ludzi, jak zarabiać pieniądze i dojść do bogactwa.
– To dobry interes?
– Lukratywny.
Zapisała coś w swoim notatniku, po czym zapytała mimochodem:
– Lubisz to, co robisz?
– Zazwyczaj tak – odparłem, wierząc się trochę. – Możemy przejść do spraw psychiatrycznych?
Spokojnie skinęła głową.
– Zaczniemy od tego, że powiesz mi, dlaczego tu jesteś.
– Ktoś mi zasugerował, abym przyszedł do ciebie na wizytę.
– Kto?
– Moja asystentka, Amanda Glade. Jest jedną z twoich pacjentek.
– Klientek – poprawiła mnie. – Zawsze robisz to, co każe ci asystentka?
– Nie.
– Może więc przyszedłeś tu, bo sam pomyślałeś, że powinieneś? –
Przyglądała mi się przez chwilę. Gdy nie odpowiedziałem, dodała: – Auto odstawia się do mechanika, dopiero gdy coś się w nim zepsuje. Możemy zatem założyć, że coś w twoim życiu nie układa się tak, jak oczekiwałeś lub miałeś nadzieję, że się ułoży?
– Słuszne założenie.
– Przychodzi ci na myśl jakiś konkretny czas albo zdarzenie, które obrazowałyby twoje samopoczucie?
– Powiedzmy, że coś mnie gnębi.
– Gnębi – powtórzyła cicho. – Początek zrobiony. – Zapisała coś i odchyliła się. – Co cię gnębi?
– Nie jestem pewien.
– Powiedz, jak odczuwasz to gnębienie.
– Jakbym coś robił źle.
Zmarszczyła czoło.
– Co robisz źle?
– Nie wiem. Źle się czuję. Ludzie powinni czuć się dobrze. Być radośni.

Spełnieni. Czy nie tak powinni się czuć zdrowi psychicznie ludzie?

– Miarą zdrowia psychicznego nie jest radość czy smutek; jest nią stosowność. Jeśli cieszysz się, gdy dzieje się coś tragicznego, to nie jest zdrowy objaw. I na odwrót. Ale masz rację, naszym celem generalnie jest znalezienie radości.

Przypomniałem sobie, co McKay powiedział o radości.

– A ty nie czujesz radości?

– Nawet nie wiem, co to znaczy.

Spojrzała na mnie ponad oprawką swoich okularów.

– Musisz mieć jakieś pojęcie, inaczej nie wiedziałbyś, że ci tego brakuje, prawda?

Kiwnąłem głową.

– Byłabyś świetna na prezentacjach – powiedziałem. Wyciągnąłem się na kozetce. – Lubicie rozmawiać o snach, co?

– Sny bywają interesujące. Niektórzy wierzą, że sny to efekt poszukiwania dróg do naszego życia wewnętrznego, że są wysyłanymi przez podświadomość wiadomościami, które próbuje rozpoznać nasza świadomość.

– Wierzysz, że tak się dzieje?

– Czasami. Nie zawsze, ale czasami tak. Masz sen, o którym chcesz mi opowiedzieć?

Potwierdziłem skinieniem głowy.

– Powtarza się sen, w którym idę.

– Po prostu idziesz?

– Głównie.

– Gdzie?

– Myślę, że Route 66. Znasz tę drogę?

Pokiwała głową.

– Idziesz na zachód?

– Tak.

– Sam?

– Tak.

– Gdzieś dochodzisz czy cały czas idziesz?

– Czasami dochodzę do Kalifornii.

– Co widzisz na końcu drogi?

– Nic. – Potrząsnąłem głową. – Nie widzę, co jest dalej.

Zanotowała coś i spojrzała na mnie.

– Powiedziałaś, że urodziłeś się w Kalifornii. Czy jest tam coś

szczególnego, co mogłoby cię tam przyciągać?

Pomyślałem o Monice.

– Właściwie nic.

– Co ci przyszło na myśl, gdy zadałam pytanie?

Zawahałem się.

– Monica.

– Kto to?

– Moja była żona.

Kiwnęła głową i zrobiła kolejną notatkę.

– Widujesz ją w snach?

– Nie. – Poczulem nagły przyływ złości. – Nie chodzi o nią.

– Mogłeś powiedzieć wiele rzeczy o Kalifornii, ale powiedziałeś o swojej byłej żonie.

– To nie ma z nią nic wspólnego.

Doktor Fordham pochyliła się.

– Jesteś zdenerwowany. Dlaczego?

– Monica nie ma z tym nic wspólnego. Postanowiłem o niej powiedzieć.

I dobrze się czuję z tą decyzją.

Nie skomentowała tego. Patrzyła jednak na mnie w taki sposób, że poczułem się nieswojo.

– Nie wierzysz mi.

– Mowa twojego ciała trochę nie współgra z twoimi słowami. Gdy jesteśmy zadowoleni ze swoich decyzji lub czynów, nie denerwujemy się, mówiąc o nich. Najwyraźniej odczuwasz silne emocje w stosunku do swojej byłej żony.

– Każdy odczuwa silne emocje w stosunku do swoich byłych.

– Nie każdy.

– Powiedziałem już. Ona nie jest ważna – warknąłem i wstałem gwałtownie. – Mam dość.

Doktor Fordham nie odezwała się, gdy podszedłem do drzwi.

– Powiedziałem, że mam dość. Wychodzę.

– Słyszałam. Drzwi nie są zamknięte na klucz.

Popatrzyłem na nią. O dziwo, nie wyglądała na poruszoną moim wybuchem.

– Czego ode mnie chcesz? – zapytałem.

– Chcę ci pomóc. Przyszedłeś do mnie, bo coś cię trapi. Myślę, że właśnie odkryliśmy jedną z takich spraw. Jeśli chcesz, abyśmy ją zgłębili,

możemy to zrobić. Albo możesz ją zignorować. Będzie to jednak strata czasu nas obojga, ponieważ oboje wiemy, że jest coś w tej relacji, co cię gnębi.

– Na pewno nie jest to strata twojego czasu – zauważyłem.

Wyprostowała się.

– Dlaczego tak myślisz?

– Dostaniesz setki dolców za godzinę niezależnie od tego, czy mi pomożesz czy nie.

Wciągnęła szybko powietrze.

– A gdybym ci powiedziała, że bardziej mi zależy na twoim samopoczuciu niż na twoich pieniądzach?

– Nie uwierzyłbym ci.

– Dlaczego nie?

– Bo nawet mnie nie znasz.

– Wiem, że cierpisz. Więcej nie muszę wiedzieć.

– Kim ty jesteś? Świętą?

– Człowiekiem.

Pochyliłem się.

– Posłuchaj. Nie kupuję tego humanitarnego gówna. Zabieram ludziom pieniądze. Mnóstwo pieniędzy. Czasami jest to forsa, której oni nawet nie mają. Jestem geniuszem w wyciąganiu forsy. Wczoraj przyszedł do mnie facet, którego syn popełnił samobójstwo po tym, jak zabrałem mu pieniądze. – Zadrzałem, gdy słowa rozległy się w cichym gabinecie.

– Chciałbyś o tym porozmawiać? – zapytała cicho.

Postałem chwilę przy drzwiach, po czym wróciłem na kozetkę.

– To musiało być dla ciebie bardzo bolesne – powiedziała.

– Kto się mną przejmuje? Przecież żyję.

– Ja się przejmuję. I zgadza się, żyjesz. Ale co to za życie, prawda?

Myślałem, że zniszczę pozorną troskę tej kobiety, ale nie potrafiłem. Lekarka sprawiała wrażenie, jakby rzeczywiście się mną przejmowała.

– Jest powód, dla którego tu przyszedłem. Wczoraj wieczorem przytrafiło mi się coś dziwnego.

– Opowiedz mi o tym.

– Stałem na scenie w Milwaukee. Kiedy spojrzałem na widownię, wydawało mi się, że widzę mężczyznę, który był u mnie w biurze. Tego, którego syn popełnił samobójstwo.

– Pomyślałeś, że cię śledzi?

Nabrałem głęboko powietrza.

– Był z synem. Syn miał pętlę na szyi. Uciekłem wzrokiem w bok, a gdy znowu spojrzałem, już ich nie było.

Lekarka zapisała coś w swoich notatkach.

– Czy tracę rozum?

Patrzyła na mnie z namysłem.

– Myślę, że mamy tu do czynienia z dość poważną traumą – powiedziała. – Pewien mężczyzna obwinił cię o śmierć swojego syna. Sądziłeś, że będziesz umiał to zbagatelizować?

– Tak.

– Może Charles James Wielki Biznesmen to zrobił, ale twoja psychika nie. – Patrzyła na mnie współczująco. – To musiało być przerażające.

Spuściłem wzrok, próbując się opanować.

– Było.

– Bardzo mi przykro – powiedziała. – Porozmawiajmy o tym.

Przez następne pół godziny rozmawialiśmy o tym młodym mężczyźnie, który odebrał sobie życie. Doktor Fordham umiała mnie pocieszyć i była mądra. Rozmowa przyniosła mi ulgę i pozwoliła spojrzeć na sprawę z innego punktu widzenia. Poczulem zawód, gdy rozległ się dźwięk budzika w jej telefonie. Pani doktor machinalnie go wyłączyła.

– Nasz czas niestety się skończył. Jak się czujesz?

– Jak po wiwisekcji.

Pokiwała głową.

– Wcale się nie dziwię. Mam dla ciebie zalecenie. Opowiadałeś dzisiaj o niezwykle trudnych sprawach. To wymagało wiele odwagi. Chcę, abyś przez resztę dnia nie myślał o tym, o czym tu rozmawialiśmy. Jedziesz stąd prosto do domu?

– Tak.

– Świetnie. Chcę, żebyś po przyjeździe do domu wyłączył światła, zrobił sobie gorącą kąpiel, położył na twarz ciepły ręcznik i się odprężył. Po tym, co przeszedłeś, musisz dać sobie szansę na regenerację. Zrobisz tak?

Kiwnąłem głową potwierdzająco.

– Zrobię.

Wstaliśmy i wyszedłem za nią z gabinetu. Wyciągnęła do mnie rękę.

– Miło było cię poznać, Charles.

Uścisnąłem jej dłoń.

– Wzajemnie. Cieszę się, że nie wyszedłem.

– Ja też.

– I co dalej?
– To zależy od ciebie. Otworzyliśmy ranę. Mamy dużo pracy.
– Jak myślisz, jeszcze dwie sesje?
– Liczba sesji zależy od ciebie i tego, jak zareagujesz. Dwie sesje to chyba bardzo optymistyczny scenariusz.
Zaniepokoiła mnie niejednoznaczność jej odpowiedzi.
– Ile jeszcze? Odpowiedz mi w przybliżeniu.
– To niemożliwe.
Nie przestawałem naciskać.
– A średnio?
– Mam klientów, którzy przychodzą do mnie od kilku lat.
– Lat? To chyba jacyś wariaci.
Zmarszczyła czoło.
– Nie używam tej nazwy w stosunku do swoich klientów. Niektórzy ludzie mają za sobą ciężkie przeżycia.
– Przepraszam – powiedziałem, po czym dodałem: – Ja też mam za sobą ciężkie przeżycia.
– Wierzę. I chętnie dowiem się o tobie więcej.
– Kiedy mam znowu przyjść?
– Mogę znaleźć czas pojutrze.
– Świetnie. Chciałbym się z tobą spotkać tyle razy, ile to będzie możliwe przed wyjazdem.
– Wyjazdem?
– Wyjeżdżam na serię prezentacji w całym kraju. W sumie dwadzieścia jeden.
– Sprawdzę w swoim terminarzu. – Zaprowadziła mnie do biurka rejestratorki. W poczekalni siedziały dwie osoby.
– June, czy byłabyś tak miła i zapisała pana Jamesa na ten czwartek?
Kobieta uśmiechnęła się do mnie.
– Zobaczymy, co da się zrobić.
Doktor Fordham zwróciła się do mnie:
– Do zobaczenia wkrótce.
Umówiłem się na czwartek po południu. Wychodząc z poradni, czułem ulgę, ale również czułem się obnażony. Ulga, jak wierzyłem, była skutkiem wyznania. Możliwe, że poczucie obnażenia miało tę samą przyczynę. Na pewno coś we mnie poruszyliśmy. Miałem tylko nadzieję, że wyjdzie mi to na dobre.

Dojechałem do domu z nadal wyłączonym telefonem. Poszedłem do łazienki na piętrze i napełniłem wodę do wanny. Potem się rozebrałem, wyłączyłem światła i zanurzyłem się w gorącej kąpieli. Zgodnie z radą pani doktor oparłem się o ścianę wanny z ciepłym ręcznikiem na twarzy.

Gdy uspokoiłem myśli, zacząłem przypominać sobie wizytę. Rozumiałem, dlaczego Amanda była zachwycona doktor Fordham. Ta kobieta była dobra w swoim fachu. Nie mogłem uwierzyć, jakie rzeczy wyznałem zupełnie obcej osobie. Iluzjonista padł ofiarą iluzji.

Rozdział 10

Co dla jednych jest przyjemnością, innym przypomina leczenie kanałowe.

Z dziennika Charlesa Jamesa

Środa, 27 kwietnia

Nie pamiętam, kiedy ostatnio spałem tak dobrze. Nie miałem żadnych koszmarów, a w każdym razie nic mnie nie obudziło. Telefon zadzwonił dwie minuty po tym, jak go włączyłem. Amanda miała drżący głos.

– Gdzie ty byłeś? Umieram z nerwów!

– Nic się nie stało – odparłem. – Po prostu wyłączyłem telefon.

– Po prostu?! Ty nigdy nie wyłączasz telefonu. Nigdy. Myślałam, że ktoś cię zabił.

– To trochę niepokojące. Albo wymowne.

– A co miałam pomyśleć?

– Ja bym nie pomyślał najpierw o morderstwie. Poza tym pośrednio to ty odpowiadasz za moje zniknięcie. Po wizycie ta twoja psychiatra kazała mi jechać do domu i się wyłączyć. Wypełniałem więc zalecenia lekarza.

– I co myślisz o tej „mojej psychiatrze”? – zapytała spokojniejszym głosem.

– Byłem pod wrażeniem. Mogłaby występować jako zawodowy mówca.

– Mówiłam ci, że jest dobra.

– Owszem, ale powiedziałaś mi też, że hot dogi z tofu są dobre, a mnie do dziś mdli na samo wspomnienie.

– Nigdy mi tego nie zapomnisz, co?

– Nie. Takie rzeczy zostają w pamięci na zawsze. No ale co tam słyhać?

– Przyjedziesz do biura?

– Nie. Dzisiaj będę pracować z domu.

– W porządku. Ale wkrótce będę musiała się z tobą spotkać. Glenn chce, żebyś zaaprobował jego nową wideoprezentację.

– Niech mi ją prześle mailem.

– Ale wiesz, jak on uwielbia robić to osobiście.

– Chcesz, żebym przejechał kawał drogi tylko po to, by podbudować jego poczucie własnej wartości?

- Wybacz. A jutro rano?
 - Może być. Zaczekaj! Mam coś.
 - Ale nie w terminarzu.
 - Kolejne spotkanie z doktor Fordham.
 - Proszę, proszę. Więc nie nabrałeś wstrętu do terapii.
 - Nigdy nie mówiłem, że mam wstręt do terapii. Zamierzam się przekonać, co mi da.
 - Myślę, że ci pomoże. W sam raz przed kolejnym wyjazdem. Uwierzysz, że to już niedługo?
 - Tak.
 - Jak Boże Narodzenie – stwierdziła. – Porozmawiamy jutro.
- Rozłączyła się.
- Boże Narodzenie – mruknąłem pod nosem. – Mam wstręt do Bożego Narodzenia.

Rozdział 11

Potrzeba wyjątkowej ekwilibrystyki umysłu, aby nienawidzić Boga za to, że nie istnieje.

Z dziennika Charlesa Jamesa

Czwartek, 28 kwietnia

Rano przejrzałem raporty sprzedaży, po czym pojechałem na terapię. Tym razem drzwi gabinetu doktor Fordham były otwarte. Pani doktor wyszła, żeby mnie przywitać.

– Wejdz, Charles.

– Dziękuję.

Wszedłem za nią do środka.

– Usiądź. – Zaczekała, aż zajmę miejsce, i potem sama usiadła. – Jak się czujesz?

– Znowu jestem tutaj.

– Miałeś co do tego jakieś wątpliwości?

– Nie.

– To dobrze. Czy od naszego ostatniego spotkania przyszły ci do głowy jakieś myśli albo może miałeś objawienia, którymi chciałbyś się podzielić?

– Nie powiedziałem wszystkiego o tym śnie.

– Możesz to zrobić teraz.

– Powiedziałem, że idę Route 66 na zachód w kierunku Kalifornii. Pomiąłem jednak to, że wokół mnie wszystko jest zniszczone.

– To znaczy?

– Szaleje ogień, wszędzie widzę ścianę ognia.

Zrobiła notatkę.

– Mówiłeś, że jesteś sam.

– Na drodze tak. Jednak gdzieś są ludzie. Nie widzę ich, ale słyszę krzyki i zawodzenie.

– Zniszczenie dokonuje się wokół ciebie?

– Po obu stronach drogi i przede mną, jakbym szedł prosto w jego kierunku. – Nabrałem głęboko powietrza. – Myślę, że może to być symbol mojej śmierci. A może to piekło.

Moje słowa zrobiły wrażenie na pani doktor. Wyprostowała się w fotelu.

– Myślisz, że po śmierci pójdziesz do piekła?

– Jeśli istnieje.

– Dlaczego myślisz, że pójdziesz do piekła?

– Z wielu powodów.

– Podaj jeden.

– Tylko jeden? Może dlatego, że nienawidzę Boga. To znaczy, nienawidziłbym go, gdybym w niego wierzył.

Patrzyła na mnie nieco zdezorientowana.

– Zauważyłam, że nosisz opaskę z literami WWJD* – powiedziała, zerkając na mój nadgarstek. – Uznałam, że jesteś chrześcijaninem.

Uniosłem rękę, odsłaniając jaskrawopomarańczową opaskę.

– Nie jestem. Noszę WWJD, skrót od innego pytania: Co zrobiłby Jesse James? To taki chwyt. Sprzedajemy je na naszych seminariach.

– Jesse James? Ten rzezimieszek?

– Był moim praprapradziadkiem – odparłem.

Zapisała coś w notatniku.

– Wróćmy do tego, co mówiłeś. Powiedziałeś, że boisz się, że pójdziesz do piekła, ale nie wierzysz w Boga. Zgadza się?

– Tak.

– Czy słuszne byłoby stwierdzenie, że jeśli nie ma Boga, to nie ma też piekła?

Uśmiechnąłem się, słysząc jej pytanie.

– Tego nie uczą w szkółkach niedzielnych. Bóg jako powód istnienia piekła. Podważa tę całą propagandę pod tytułem Bóg jest miłością. – Pokręciłem głową. – Nigdy nie rozumiałem, dlaczego ludzie tłumnie garną się do Boga, który wyraźnie czerpie przyjemność z ich cierpienia.

– Co masz na myśli?

– Wierzysz w Boga?

– Tak.

– Więc prawdopodobnie uważasz mnie za grzesznika.

– Nie. Osąd zostawiam Bogu. I wierzę, że większość ludzi potępia się sama. Że to nie Bóg ich potępia. Ale to, w co wierzę, nie ma znaczenia dla stanu twojego umysłu. Nie jest nawet ważne, co jest prawdą, lecz co ty uważasz za prawdę. A to, co powiedziałeś, według mnie wskazuje raczej na to, że nienawidzisz Boga, niż że w niego nie wierzysz.

– To byłoby jak nienawidzić zajączka wielkanocnego – stwierdziłem. –

Pogardę zwykle rezerwuję dla rzeczy, które rzeczywiście istnieją.

– Mimo to okazujesz pogardę Bogu. Powiedziałeś, że Bóg, który nie istnieje, czerpie przyjemność z cierpienia.

– Ujmę to tak. Nienawidziłbym Boga, gdyby istniał.

– Więc założmy hipotetycznie, że Bóg istnieje. Wyjaśnij mi, dlaczego go nienawidzisz.

– Bo on znienawidził mnie pierwszy.

– Dlaczego tak uważasz?

– Bo tylko wróg mógłby zdradzić mnie w sposób, w jaki on to zrobił. Kiedy byłem dzieckiem, ufałem mu. Czytałem Biblię. Modliłem się codziennie o jego pomoc i opiekę, ale on ani razu mi nie pomógł ani mnie nie ochronił. To prowadzi mnie do następujących wniosków: Bóg nie istnieje, nic go nie obchodzi albo jest sadystą. Nie wierząc w niego, właściwie wyświadczam mu przysługę.

Lekarka zrobiła kilka kolejnych zapisków.

– Opowiedz mi o swoim dzieciństwie.

– Potrzeba by roku sesji.

– Streść.

– Zostało nam tylko czterdzieści pięć minut.

– Następny klient odwołał spotkanie, więc możemy nasze przedłużyć, jeśli chcesz.

To smutne, ale moja pierwsza myśl była taka, że proponuje mi dłuższą sesję tylko dlatego, aby wypełnić okienko i zainkasować ode mnie więcej pieniędzy.

Jakby czytała w moich myślach.

– Nie policzę ci za ten czas – powiedziała.

– Stać mnie.

– Wiem. Chcę, abyś zdawał sobie sprawę, że nie wykonuję swojej pracy tylko dla pieniędzy.

– Skąd wiedziałaś, o czym pomyślałem? Umiesz czytać w myślach?

Uśmiechnęła się.

– W pewnym sensie umieją to wszyscy terapeuci. Pomagamy swoim klientom sterować ich umysłami. Mój ojciec też był terapeutą. Powiedział mi kiedyś, że niektórzy z jego kolegów dorabiali jako wróżbici.

– Twój ojciec był terapeutą?

– Tak.

– To musiało być miłe. Mieć ojca, który cię rozumie.

- Było miłe. Byliśmy sobie bliscy.
- Mój ojciec to przeciwieństwo twojego. Obrażał mnie, stosował przemoc. Dostawałem lanie niemal co tydzień przez całe dzieciństwo. Bywało, że częściej niż raz w tygodniu.
- Chciałbyś zostać na następną sesję?
- Sporo osób odwołuje spotkania.
- To dość częste w mojej profesji. Rozmawiamy tu o bolesnych sprawach i czasami umysł spiskuje przeciw sobie, aby uniknąć cierpienia. Klienci nagle mają spotkania, o których zapomnieli, przydarzają im się niespodziewane awarie, nawet migreny.
- Chyba trudno się utrzymać z takiej pracy.
- Bywa ciężko – przyznała. – Ale tego fachu nikt nie wybiera dla pieniędzy. Więc jak, zostajesz?
- Tak. I zapłacę za dodatkowy czas.
- Dziękuję. – Poprawiła się na fotelu. – Mówiłeś, że bił cię co tydzień. Nabrałem głęboko powietrza.
- Tak.
- Z jakiegoś konkretnego powodu?
- Dlatego, że mógł. Myślę, że zawsze szukał powodów. Kiedyś przyłapał mnie z „Playboyem” i pobił do nieprzytomności. – Spuściłem wzrok pod wpływem bolesnego wspomnienia. – Prawie mnie zabił.
- Bardzo ci współczuję. To okropne. Gdzie jest teraz twój ojciec?
- Zmarł trzy lata temu.
- Jak to przyjąłeś?
- Popatrzyłem na nią.
- Że umarł? Tak samo, jakbym zareagował na wynalezienie leku na raka. – Spodziewałem się jej reakcji, ale patrzyła na mnie ze współczuciem. – Pewnie myślisz, że to źle o mnie świadczy jako o człowieku.
- Nie, skoro twój ojciec tak się zachowywał, twoja reakcja świadczy o tym, że jesteś normalny. Większość ludzi tak by zareagowała. Ja na pewno. I teraz rozumiem twoje uczucia wobec Boga. Trudno byłoby wierzyć, że Bóg cię kocha i jednocześnie pozwala, by najbliższy człowiek wyrządzał ci krzywdę.
- Jej słowa głęboko mnie poruszyły. Po raz pierwszy w życiu poczułem się rozumiany.
- Opowiedz o swojej matce.
- Jej największym błędem było poślubienie mojego ojca.

- Biła cię?
- Nie tak jak ojciec. Ale od czasu do czasu obrywaliśmy kopyścią.
- Obrywaliśmy?
- Brat i ja.
- Ile masz rodzeństwa?
- Tylko brata.
- Starszego czy młodszego?
- Młodszego.

Zrobiła notatkę.

- Czy ojciec bił matkę?
- Czasami.
- Czy matka próbowała powstrzymać ojca przed biciem ciebie?
- Kilka razy.
- Ale nie zawsze?
- Nie. Kilka razy powiedziałem jej, żeby tego nie robiła.
- Uważasz, że cię zdradziła?
- Nie. Była drobniejsza od niego. Nie dałaby rady go powstrzymać.
- Mówiła mu, żeby przestał?
- To by nic nie zmieniło.
- Mogła od niego odejść.
- To nie była jej wina! – krzyknąłem.

Była mniej zaskoczona moim wybuchem ode mnie.

- Zawsze chroniłeś matkę?

Uspokoilem się.

- Tak.
- Powiedz mi coś więcej o tym zdarzeniu z „Playboyem”.
- Jak mówiłem, ojciec prawie mnie zabił.
- Czuleś się winny?
- Z jakiego powodu?
- Że oglądałeś ten magazyn.

– Chyba tak. Często chodziłem do kościoła, więc czułem się winny z wielu powodów. Jak większość chłopców miałem typowe sekrety seksualne.

– Ciekawość widoku nagiej kobiety jest zupełnie naturalna u młodego chłopaka. Nie twierdzę, że nastolatkom należy dawać pornografię, ale z całą pewnością nie zasługują na karę fizyczną. A już na pewno nie na tak surową, jaka spotkała ciebie.

– Jest powód, dla którego to cię tak interesuje? – zapytałem.

– Tak. Czasami odczuwamy silne emocje w stosunku do naszych prześladowców nie dlatego, że nas krzywdzą, ale dlatego, że jakaś część nas uważa, że zasługujemy na takie traktowanie. Dzieci często przypisują swoim rodzicom dobroć albo mądrość, na które one nie zasługują. Dlatego czują się winne spraw, za które nie ponoszą winy. Próbuję ustalić, ile swojej winy widzisz w postępowaniu ojca.

Wolno kiwnąłem głową.

– Skąd wziąłeś tego „Playboya”?

– Z kontenera na śmieci.

– A co robiłeś w kontenerze na śmieci?

– Szukałem jedzenia. – Uśmiechnąłem się blado. – To osobna opowieść.

Większość dzieciństwa spędziłem w kontenerach na śmieci.

Doktor Fordham pochyliła się.

– Opowiedz mi o tym.

* WWJD, skrót od *What would Jesus do?* (Co zrobiłby Jezus?) noszony przez chrześcijan jako symbol wiary i przypomnienie nakazu moralnego zachowania.

Rozdział 12

Niektórzy ludzie traktują Biblię jak lekarstwo. Inni jak truciznę.

Z dziennika Charlesa Jamesa

Dwadzieścia osiem lat wcześniej
Ogden w stanie Utah

Charles, wstawaj. *Pronto.*

Zamrugałem i otworzyłem oczy. Pochylała się nade mną ciemna, niewyraźna postać mojego ojca. Trzymał mnie za ramię szorstką dłonią i potrzasał mną, a wraz ze mną moim całym chybotliwym łóżkiem.

– Już późno.

Późno! Było dopiero wpół do piątej rano. Jednak już jako siedmioletnie dziecko wiedziałem, że lepiej nie odpyskiwać ojcu. Nadal bolały mnie żebra i twarz po laniu, które spuścił mi poprzedniego popołudnia. Bardzo często bił mnie bez powodu, dawanie mu powodu byłoby czystą głupotą.

– Pospieszę się – powiedziałem.

Ojciec wyszedł z naszego pokoju na korytarz w swoich ciężkich, znoszonych butach roboczych – takich ze skórzanymi sznurowadłami i stalowymi czubkami. Nie zliczylbym, ile razy czułem te czubki na swoim tyłku.

– Bóg mnie kocha. Bóg mnie kocha. Bóg mnie kocha – wyszeptalem do siebie.

Nabrałem głęboko powietrza, odrzuciłem kołdrę i usiadłem, żeby zebrać się w sobie. Przy każdym ruchu bolał mnie bok, przypominając mi o ostatnim laniu. Nie pamiętałem, dlaczego ojciec mnie pobił. Dotknąłem prawej strony twarzy. Była opuchnięta. Bóg mnie kocha.

Nie oglądałem się w lustrze po tym, jak mnie pobił, i nie miałem takiego zamiaru. Kiedyś spojrziałem w lustro i się nie poznałem. Wyglądałem jak potwór. Rodzice zatrzymali mnie wtedy w domu przez dwa tygodnie, tłumacząc dyrekcji szkoły, że mam zapalenie płuc.

Wziąłem do ręki Biblię, z którą spałem, i wsunąłem ją pod łóżko.

– Bóg mnie kocha – powiedziałem po raz ostatni.

Spałem z Biblią, podobnie jak inne dzieci śpią z pluszowymi misiami.

Mama dostała Biblię dla mnie w kościele. Był to egzemplarz gedeonitów* w twardej granatowej oprawie, jaki można dostać w hotelu. Nawet zaznaczono to w środku. Zawsze uważałem tę książkę za swojego przyjaciela, również wówczas, gdy ojciec używał jej przeciwko mnie, dosłownie i w przenośni, bo nieraz mnie nią okładał. Jej grzbiet był złamany i odpadła okładka, gdy ojciec rzucił ją we mnie przez cały pokój.

Ojciec był religijny na swój własny sposób, stanowił prawo sam dla siebie, wierząc tylko wtedy, kiedy wiara odpowiadała jego potrzebom albo uzasadniała jego zachowanie. Czasami cytował Pismo i jednocześnie mnie bił. Nienawidziłem tych cytatów i nawet wykreśliłem je ze swojej Biblii. Księga Salomona 13, 24: „Kto żałuje swojej różgi, nienawidzi swojego syna”**. Salomona 19, 18: „Ćwicz swego syna, póki jeszcze jest nadzieja, lecz nie unoś się przy tym, aby nie powodować jego śmierci”. Salomona 22, 15: „Głupota tkwi w sercu młodzieńca, lecz różga karności wypędza ją stamtąd”.

Ojciec uwielbiał te cytaty, ponieważ usprawiedliwiały jego okrucieństwo. Dzięki nim wydawał mi się pobożny. Dziwaczne było to, że mu wierzyłem. Osiągnąłem taki pokręcony stan psychiczny, że właściwie dziękowałem ojcu za to, że mnie bije i nie pozwala mi zejść ze ścieżki do nieba, ścieżki, która, jak wierzyłem, musi prowadzić przez piekło. Myślę, że musiałem w to wierzyć. Inaczej oznaczałoby to, że ojciec mnie nienawidzi.

Umysł wyczynia dziwne rzeczy, aby pomóc nam przetrwać. Wtedy o tym nie wiedziałem, nie wiedziałem nawet, co to jest, ale miałem zaburzenia obcesyjno-kompulsywne. Nie rozumiałem, dlaczego ojciec mnie tak traktuje, więc czasami, trzęsąc się i krwawiąc w swoim pokoju, mruczałem do siebie dziwne rzeczy: „O, a, u. Tak sobie nucę”. Powtarzałem to na okrągło, kiedyś przez ponad godzinę. Potem usłyszałem kazanie w kościele, podczas którego ksiądz powiedział, abyśmy przypominali sobie o miłości Boga, nawet gdybyśmy musieli powtarzać to na głos. Wtedy zmieniłem słowa swojej mantry na „Bóg mnie kocha”. Nie była to świadoma decyzja, stało się to którejś nocy po tym, jak ojciec mnie pobił, bo zbyt głośno zachowywałem się po powrocie z podwórka.

Był jeszcze jeden bardzo dziwaczny skutek uboczny okrucieństwa ojca. Czasami, gdy słyszałem, jak idzie holem w charakterystyczny sposób (nauczyłem się rozpoznawać po jego sposobie chodzenia, czy zamierza spuścić mi lanie), wczółgiwałem się pod łóżko. Odkryłem, że jeśli wcisnę się w sam kąt, ojciec mnie nie dosięgnie. Pod łóżkiem były pajęczyny. Do dziś je

lubię. Lubię ich zapach, a także ich dotyk na mojej twarzy.

Siedząc na łóżku, spjrzałem na brata, który nadal spał w łóżeczku po drugiej stronie naszego małego pokoju. Spaliśmy w tym samym łóżku do czasu, aż brat zaczął się moczyć. Mama znalazła na wyprzedaży mniejszy materac i pokryła go plastikowymi workami i prześcieradłami.

Mike, mój brat, miał tylko pięć lat, więc ojciec w zasadzie dawał mi spokój, przynajmniej jeśli chodziło o wypadki do kontenerów na śmieci. Ale i tak dostawałem swoją porcję lania. Nie dziwiło mnie to. Ja dostawałem w skórę, odkąd skończyłem trzy lata.

Tego ranka chciałem jeszcze pospać, ale nie było mi to dane. Po prostu tak toczyło się nasze życie. Zawsze byłem zmęczony, gdy zaczynaliśmy naszą „trasę”.

Usłyszałem, jak zatrzasną się drzwi frontowe i po chwili otwierają się drzwi pick-upa. Ojciec spróbował odpalić silnik. Dobiegł mnie dźwięk kaszłającego zapłonu. Kupił tego zardzewiałego dodge'a, jeszcze zanim się urodziłem, a już wtedy samochód był dziesięcioletni. Nigdy nie zapalał za pierwszym razem, ale zimą był szczególnie oporny.

Wstrzymałem oddech, gdy zawył rozrusznik. Po każdej nieudanej próbie rozruchu silnika ojciec przeklinał coraz głośniejszym głosem. W połowie poprzedniej zimy akumulator zupełnie odmówił posłuszeństwa. Ojciec wpadł do domu jak burza i zaczął okładać pięściami wszystko, co mu podeszło pod rękę, w tym matkę, mojego brata i mnie.

Po jakiejś minucie – która wydawała się godziną – silnik zapalił i wtedy ojciec kilka razy podkręcił maksymalnie obroty, jakby chciał ukarać auto za stawianie oporu albo sąsiadów za to, że jeszcze śpią.

Odetchnąłem z ulgą i wciągnąłem pogniecione niebieskie dzinsy, które leżały na podłodze przy moim łóżku. Była to ta sama para, którą miałem na sobie poprzedniego dnia, a także dwa dni wcześniej. Miałem tylko dwie pary spodni i te drugie były „ładne” – do kościoła. Ładne to oczywiście pojęcie względne. Były stare i wypłowiałe, ale nie miały dziur na kolanach.

Wkładając w pośpiechu bluzę i kurtkę, usłyszałem, jak otwierają się drzwi frontowe. Podwinąłem rękawy zbyt dużej bluzy. Musiałem ją włożyć, bo była zima, a kurtka, którą mama wypatrzyła w sklepie z używaną odzieżą, miała rozdarcie z boku i straciła część ocieplenia.

Gdy wyszedłem z pokoju, ojciec podał mi kawałek chleba z majonezem.

– Jedziemy. Jesteśmy spóźnieni – rzucił.

– Przepraszam – bąknąłem, biorąc chleb.

Ojciec powiedział, że to kanapka z jajkiem, i w zasadzie tak było. Nie robiłem z tego problemu. Było to jedzenie, a ja nigdy nie mogłem sobie pozwolić na luksus wybrzydzenia. Ojciec nie dałby mi wtedy niczego.

Poszedłem do samochodu. W nocy padało i ojciec już odśnieżył przednią szybę. Otworzyłem skrzypiące drzwi auta i usiadłem na zimnym siedzeniu z dermy. Małą kabinę wypełniał hałas nagrzewnicy.

Ojciec omiół mnie szybkim spojrzeniem.

– Gdzie masz rękawice?

– Zgubiłem.

– Zgubiłem! – powtórzył ze złością. – Nie mamy pieniędzy na nowe. Nawet nie próbuj narzekać na zmarznięte ręce.

– Nie będę, ojcze.

Moje wyjaśnienie było prawdziwe tylko częściowo. Zgubiłem rękawice, gdy trzech więksi ode mnie chłopacy naskoczyli na mnie za szkołą i zbili na kwaśne jabłko. Pamiętam, jak jeden z nich powiedział: „Patrzcie! Spiksowi leci krew z nosa. Lepiej umyjcie mu mordę”.

Po raz pierwszy w życiu usłyszałem określenie „spiks”. Nie wiedziałem, co znaczy. Później zapytałem o to mamę. Zmarszczyła czoło i zabroniła kiedykolwiek wypowiadać to słowo przy ojcu – zwłaszcza przy ojcu. Gdy podrośłem, dowiedziałem się, że „spiks” to obraźliwe określenie Meksykanina. Dziennikarze ustalili, że słowo to pochodzi od powtarzanego przez Panamczyków zdania: „No spic English”. Nic dziwnego, że mama go nie znosiła.

Dzieciaki w szkole nazywały mnie spiksem nie dlatego, że wyglądałem jak Meksykanin, bo pomimo ciemnych włosów i brązowych oczu wcale go nie przypominałem, ale dlatego, że nosiłem nazwisko Gonzales, które wszyscy kojarzyli ze znanym z kreskówek Speedym Gonzalesem, myślą noszącą sombrero. Moje życie zdeterminowała więc komiksowa mysz.

Ojciec mojego ojca był nielegalnym imigranem z Monterrey w Meksyku, co znaczyło, że w jednej czwartej byłem Meksykaninem. Moje nazwisko jednak było stuprocentowo meksykańskie.

Tego popołudnia, gdy zgubiłem rękawice, chłopacy mnie otoczyli, zaczęli popychać i bili tak długo, aż upadłem na ziemię. Potem dwóch mnie przytrzymało, a trzeci wytarł mi twarz śniegiem. Po wszystkim napchali śniegu do ubrania. Jeden z nich, wpychając mi śnieg do spodni, obmacywał mnie. W końcu zabrali mi rękawice i zostawili leżącego twarzą w śniegu – mokrego, krztuszącego się i krwawiącego.

Nikommu nie powiedziałem, co mi zrobili. Właściwie nawet nie miałem nikogo, komu mógłbym o tym powiedzieć – a już na pewno nikogo, kto mógłby mi pomóc. Katolicka szkoła imienia Świętego Józefa nie była zbyt miłym miejscem. Kary cielesne były na porządku dziennym – księża i zakonnice nie mieli oporów przed biciem uczniów. Po co więc mówić komuś, kto cię bije, że pobił cię ktoś inny?

W domu było to samo. Ojcu nie mogłem powiedzieć. To znaczy mogłem, ale wiedziałem, że lepiej tego nie robić. Tylko by się na mnie wściekł, że jestem słaby. Okazywanie słabości było takim samym powodem do bicia jak każdy inny. Kiedyś, gdy wsiadaliśmy do samochodu po mszy, mój brat przypadkowo przytrzasnął mi drzwiami kciuk. Zrobił się krwiak i rodzice musieli mnie zawieźć do szpitala. Krzyknąłem z bólu, gdy lekarz wkłuł igłę w opuszek mojego kciuka, by wypłynęła krew.

Gdy wróciłem do domu z obandażowanym kciukiem, ojciec mi wlał za to, że „płakałem jak dziecko”.

Prawda była taka, że nikogo poza moją mamą nie obchodziło, że jestem prześladowany, ale gdybym jej powiedział, przysporzyłbym jej tylko bólu i spowodował, że poczułaby się jeszcze bardziej bezradna.

W ten sposób zgubiłem rękawice.

*

Ojciec mruknął coś o mojej głupocie, gwałtownie wrzucił wsteczny i wyjechał na ciemną, zasypaną śniegiem drogę. Nasz pierwszy przystanek znajdował się za sklepem spożywczym Albertsons dwie przecznice od naszego domu. Ojciec podjechał na tyły sklepu i zatrzymał się przy kontenerze. Nie wyłączył silnika, zostawił go na luzie, bo bał się, że auto znowu nie zapali.

Otworzyliśmy drzwi i wysiedliśmy jednocześnie. Zaczynał się dobrze mi znany rytuał, nasze cotygodniowe żniwa. Plastikową klapę kontenera pokrywała warstwa świeżego śniegu. Ojciec uniósł klapę i odrzucił do tyłu, po czym mnie podniósł. Usiadłem na krawędzi kontenera i wskoczyłem do środka.

Dziwne było to, że podczas przeszukiwania kontenerów nie dawała o sobie znać moja mania czystości. Smród zawsze był obrzydliwy, ale się do niego przyzwyczaiłem. Nieraz trafiałem na zepsute mięso albo martwe zwierzę.

Ojciec podał mi zapaloną latarkę. Wyznaczył mi dwa cele. Pierwszym,

najbardziej opłacalnym, były szklane butelki do zwrotu. W tamtych czasach dostawało się pięć centów za sztukę. Zwykle znajdowałem kilkanaście butelek w każdym kontenerze. Drugim towarem, na który polowałem, były pogniecione puszki konserw. Czasami trafiał się prawdziwy skarb: skrzynka puszek.

Moje poszukiwania przypominały łowienie ryb. W niektóre dni połów był duży. W inne mały. Znajdowałem wszelkiego rodzaju rzeczy. Kiedyś trafiłem na starego człowieka, który się nie ruszał, choć oczy miał otwarte. Chodziły po nim muchy. Był to jedyny raz, gdy ojciec pozwolił mi wyjść z kontenera bez żadnych znalezisk. Kazał mi się pospieszyć i wsiadać do auta. Ruszyliśmy do domu, nie kończąc naszej zwyczajowej trasy. Zastanawiałem się, czy ojciec się boi, że zostanie obwiniony o śmierć tamtego człowieka.

*

Tego ranka nasz pierwszy połów był niezły – nie nadzwyczajny, ale niezły. Osiem szklanych butelek, trzy pogniecione puszki gulaszu Dinty Moore, sześć puszek słodzonego skondensowanego mleka i otwarta torebka suszonego mięsa. A był to dopiero pierwszy przystanek. Na naszej trasie było ich jeszcze sześć. Wiedziałem, że na czwartym zrobi się już tak widno, że nie będę musiał używać latarki.

– Dlaczego jeździmy tak wcześnie rano? – zapytałem ojca, gdy wracaliśmy do domu.

Ojciec patrzył przed siebie, ściskając kierownicę dłońmi w rękawicach. Chwilę milczał, jakby się zastanawiał, po czym rzucił mi szybkie spojrzenie ciemnych oczu.

– Pomyśl. Mielibyśmy wyjeżdżać, gdy inni już się obłowią? – zapytał. – Mamy pozwolić innym nas wyprzedzić?

– No nie.

– Właśnie. Nie wychowałem cię na głupca. Ranne ptaszki mają najlepsze łowy. Jesteśmy pierwsi. A te wszystkie leniwe nicponie zbierają to, co my przeoczymy. Jesteśmy od nich mądrzejsi.

Jego rozumowanie przemawiało do mnie. Wcześniej nie zdawałem sobie sprawy, że tak dużo innych ludzi robi to samo co my. Najwyraźniej było wiele rzeczy, których nie wiedziałem o świecie. Choć nigdy nie słyszałem, żeby ktoś mówił, że przeszukuje kontenery na śmieci, o dziwo, wyjaśnienie ojca sprawiło, że poczułem się lepszy.

– Jesteśmy mądrzejsi od nich – powiedziałem. – Jesteśmy ranne ptaszki.
Ojciec pokiwał głową.

– Jak jasna cholera. Popatrz tylko na nasze łupy.

Na podłodze pick-upa stało ponad sześćdziesiąt butelek i czterdzieści puszek konserw oraz znaleziona przeze mnie plastikowa lodówka turystyczna. Była w dobrym stanie, miała tylko zadrapanie na jednym z boków, przez co nie nadawała się do sprzedaży.

Gdy wjechaliśmy na podjazd przed naszym domem, ojciec powiedział:

– Jedzenie włóż do lodówki i zanieś do środka. Powiedz matce, że przywieźliśmy prowiant na kilka obiadów. I nie zapomnij dobrze wyszorować rąk. Nie chcę usłyszeć od matki, że cuchniesz.

– Tak jest, ojcze.

Wstawiłem puszki do lodówki i zatargałem ją do domu, a ojciec pojechał do pracy. Jak w każdą sobotę. W ciepłych miesiącach pracował w ogrodach, a w zimnych odśnieżał i posypywał solą chodniki.

*

Dopiero gdy byłem starszy, uświadomiłem sobie, dlaczego wstawaliśmy o wpół do piątej rano. Ojciec się wstydził i nie chciał, żeby ktoś nas zobaczył. Gdy dorosłem, zdałem sobie sprawę, że przez większość swojego życia bał się, że ktoś odkryje, kim jest naprawdę.

* Międzynarodowe Stowarzyszenie Gedeonitów, odłam protestantyzmu, którego głównym celem jest popularyzowanie Pisma Świętego.

** Wszystkie cytaty za Biblią warszawską.

Rozdział 13

Wszyscy jesteście nierozzerwalnie związani z naszymi przodkami.

Z dziennika Charlesa Jamesa

Mój ojciec, José „Joe” Gonzales, urodził się w Boyle Heights, dzielnicy Los Angeles w Kalifornii. Jego ojciec, mój dziadek, uciekł z Monterrey i przekroczył nielegalnie granicę z Meksykiem, mając siedemnaście lat. Przez trzy lata pracował na polach w Teksasie, potem ruszył na zachód, najpierw do Nowego Meksyku, a potem do Kalifornii, gdzie sprzedawał owoce na ulicy, i ożenił się z kobietą, która była pół Gwatemalką, pół Filipinką. Tam urodził się mój ojciec.

Wychowany w biedzie, ojciec wstąpił do marynarki w wieku osiemnastu lat, ale szybko został zwolniony, gdy stwierdzono, że jest fizycznie niezdolny do służby. Przydzielono go do łodzi podwodnej, ale okazało się, że cierpi na klaustrofobię. Swoją przyszłą żonę poznał w pewien weekend w barze w Las Palmas, gdzie jako kelnerka zarabiała na szkołę pielęgniarstwa.

Moja matka, Fiona, była pod każdym względem przeciwieństwem ojca. Miała metr pięćdziesiąt pięć wzrostu, była dorodna, płomiennoruda i zawsze malowała usta jaskrawoczerwoną pomadką. Była zagorzałą katoliczką, a ponieważ ojciec nie był wierzący, rodzice matki nie pozwalali jej się z nim spotykać. To jednak nie powstrzymało jej przed randkami, na które umawiała się późnym wieczorem, gdy jej rodzice już spali. W końcu, aby przekonać do siebie rodzinę, ojciec zgodził się ochrzcić w kościele katolickim.

Rok po ślubie mama ukończyła szkołę – była pierwszą osobą w rodzinie, która zdobyła dyplom college’u – i została pielęgniarzką. Nie zarabiała dużo, jednak tyle, że czasami jej pensja była wyższa od zarobków ojca, co go zawstydzalo. W tym samym roku przyszedłem na świat.

Mama przestała pracować jako pielęgniarzka rok po naszej przeprowadzce do Utah, kiedy doznała urazu kręgosłupa, próbując znieść ze schodów pacjenta na wózku inwalidzkim. Została zwolniona z pracy. Bez odszkodowania. Bez odprawy. Takie były praktyki w tamtych czasach.

Gdy szukała innego zajęcia, jedna z koleżanek powiedziała jej o sprzedaży kosmetyków Avon i wkrótce mama związała się z tą firmą. Była

pracowita i dobrze sobie radziła ze wszystkim, do czego się zabierała. Chodząc od drzwi do drzwi, zbudowała pokaźną sieć klientek i rok po urazie kręgosłupa zarabiała prawie tyle samo, ile wynosiła jej pensja pielęgniarki.

Raz w miesiącu przyjeżdżała do nas duża paczka z kosmetykami. Gdy podrośłem, pomagałem mamie wkładać zamówiony towar do torebek, uzupełniając go próbkami pomadek i różu.

W grudniu, kiedy skończyłem czternaście lat, mama zachorowała na zapalenie płuc i nie mogła dostarczyć zamówionych kosmetyków. Była przerażona. Ponieważ w zimie ojciec nie pracował w ogrodach, zaczynało nam brakować pieniędzy.

Gdy jej powiedziałem, że mogę ją zastąpić, roześmiała się, ale tak naprawdę nie miała wyjścia. Może dla innych chłopaków byłoby to poniżające zajęcie, ale nie dla mnie. Przecież sobotnie ranki spędzałem w kontenerach na śmieci. Avon to był luksus.

Pewnego popołudnia po szkole razem z mamą rozłożyłem kosmetyki do plastikowych torebek, wziąłem wózek i jeżdżąc od drzwi do drzwi, dostarczyłem kosmetyki. Dla mnie to nie było tylko dostarczanie – miałem cel, by zarobić pieniądze.

Kobiety, do których drzwi pukałem, reagowały rozbawieniem, widząc mnie na progu. Uśmiechały się, dziękowały mi, prosiły, bym życzył mamie zdrowia, i obiecały, że się z nią skontaktują, gdy wyzdrowieje. Ale ja na tym nie poprzestałem. Powiedziałem każdej klientce, że powinna złożyć zamówienie, jeśli chce otrzymać towar przed Bożym Narodzeniem, i że poczekam, aż wypełni formularz. I każda wypełniła.

Nie zależało mi na współczuciu. Zależało mi na sprzedaży. Właśnie wtedy nauczyłem się pierwszej sztuczki: zacząłem wykorzystywać siłę sugestii. „Chciałaby pani konturówkę pasującą do tej pomadki?”, pytałem. Prawie zawsze odpowiadały, że tak.

Gdy po raz pierwszy dostarczałem kosmetyki, mama zachodziła w głowę, dlaczego mnie tak długo nie ma, ale kiedy się dowiedziała, że wróciłem z dużymi zamówieniami od każdej z jej klientek oraz od kilku nowych, miała oczy pełne łez.

– Jesteś w tym lepszy ode mnie – powiedziała.

Pod wieloma względami tamto doświadczenie okazało się punktem zwrotnym w moim życiu. Poznałem smak sukcesu i bardzo mi się spodobało to uczucie. Umiałem sprzedawać. I zarabiałem. Mama wypłaciła mi pięćdziesiąt dolarów prowizji od uzbieranych przeze mnie zamówień.

Poczułem się bogaty jak Howard Hughes.

Była to świetna praca do czasu, gdy dzieciaki z domów, które odwiedzałem, nie rozpowiedziały w szkole, czym się zajmuję. Zaczęto nazywać mnie „chłopakiem Avonu” i pytać, czy lubię się malować jak dziewczyna. Niedługo potem przestałem pracować.

Rozdział 14

Najbardziej cenimy to, co jest nieosiągalne, i pewnie dlatego tak bardzo interesowały mnie kobiety.

Z dziennika Charlesa Jamesa

W szkole średniej nie byłem na zbyt wielu randkach. Interesowałem się dziewczynami, a nawet miałem na ich punkcie obsesję. Byłem nimi zafascynowany. Wiem, że nie powiem nic oryginalnego – wszyscy chłopacy w tym wieku interesują się płcią przeciwną – ale ponieważ nie miałem sióstr, dziewczyny były dla mnie naprawdę obcymi stworzeniami.

W drugiej klasie na lekcjach matematyki siedziałem obok pięknej dziewczyny o imieniu Tina. Była drobna, jasnoskóra, miała blond włosy i błyszczące niebieskie oczy. Powiedziała mi, że jej rodzice wyemigrowali z Helsinek w Finlandii. Nie miałem pojęcia, gdzie to jest.

Tina nie była taka nieśmiała jak ja. Była dla mnie bardzo miła i powiedziała, że jestem „ciacho”. Kiedyś pod koniec lekcji podsunąłem jej karteczkę z pytaniem, czy chciałaby być moją dziewczyną. Gdy przeczytała, na jej twarzy pojawił się wielki uśmiech. Spojrzała na mnie i pokiwała głową na potwierdzenie. Po szkole odprowadziłem ją do domu.

Tina była moją pierwszą przygodą ze światem kobiecości. To z nią całowałem się po raz pierwszy w życiu. To ona rozbudziła we mnie uśpione dotąd uczucia. Zwykle odprowadzałem ją po szkole do domu, choć mieszkała prawie kilometr w przeciwnym kierunku niż ja. Czasami w weekendy chodziliśmy do kanionu, żeby się całować. Choć byłem zbyt młody, aby myśleć o takich sprawach, chciałem się z nią ożenić. Marzyłem, aby to, co było między nami, trwało wiecznie.

Sprawy toczyły się w ten sposób przez trzy miesiące aż do pewnego popołudnia, gdy wracałem do domu po odprowadzeniu Tiny. Obok mnie przejechały hałaśliwie dwa pick-upy i zatrzymały się na poboczu. Drzwi aut otworzyły się gwałtownie i wysiadło z nich ośmiu piłkarzy naszej szkolnej drużyny. Połowa z nich była liniowymi i przewyższali mnie prawie dwukrotnie. Jedynym wyjątkiem był Stan Fuller, kapitan reprezentacji szkoły i rozgrywający. Nie był znacznie wyższy ode mnie. I przewodził paczce

kumpli.

– Wskakuj, Gonzales – powiedział Stan. – Przejedziemy się.

Zaskoczył mnie, że zna moje nazwisko. Byłem nikim. Wystraszyłem się.

– Dokąd? – zapytałem.

– Podwieziemy cię do domu.

– Nie musicie. Mieszkam niedaleko stąd.

– Wiem, gdzie mieszkasz. Dlatego cię podwieziemy.

Starąłem się nie pokazać po sobie, że się boję.

– Naprawdę nie musicie.

– Nie bądź taki cykor – rzucił zwałisty chłopak z żółtymi włosami i dziecinną twarzą. – Nic ci nie zrobimy.

Sposób, w jaki to powiedział, przekonał mnie, że zamierzają mi coś zrobić.

– Dajcie spokój – powiedziałem. – Nie ma potrzeby.

Stan przestał się uśmiechać. Podeszedł do mnie i chwycił za rękę.

– Do wozu, Gonzales!

Wiedziałem, że nie mam innego wyboru, jak tylko wsiąść razem z nimi. Pomyślałem o ucieczce, ale i tak by mnie dorwali. Byłem pewien, że wszyscy biegają szybciej ode mnie. A nawet gdybym jakimś cudem im uciekł, dopadliby mnie w szkole.

Bóg mnie kocha.

Wepchnęli mnie na tylne siedzenie pierwszego pick-upa pomiędzy dwóch roślących graczy. Przy ich nogach moje trzęsące się nogi wyglądały jak cienkie witki.

Jeden z nich powiedział:

– To ty sprzedajesz kosmetyki.

Nie skomentowałem tego, tylko bezwiednie stuknąłem nogą o podłogę.

Jechaliśmy do odludnego kempingu blisko Shanghai Creek, piętnaście minut drogi w górę kanionu Ogden. Mój lęk rósł z każdym kilometrem. Gdy dojechaliśmy na miejsce, samochody zatrzymały się obok siebie i wszyscy z nich wyskoczyli.

Ten o dziecinnej twarzy chwycił mnie za koszulę, wyciągnął z auta na ziemię i kopnął w brzuch. Nie mogłem uwierzyć, że aż tak mocno mi przyłożył. Gdy z trudem łapałem oddech, kilku liniowych uniosło mnie, po czym kolejno każdy z nich okładał mnie pięściami, a pozostali mnie trzymali.

Bicie trwało, o ile pamiętam, przynajmniej piętnaście minut. Po jednym z ciosów w brzuch zwymiotowałem, co wzbudziło ogólny śmiech

i podsunęło moim prześladowcom nowy pomysł. Jeden z nich chwycił mnie za tył głowy i wepchnął moją twarz w wymiociny.

– Żryj, ty meksykański psie. Żryj swoje rzygi!

Nie byli w stanie mnie zmusić, więc zaczęli mi wcierać wymiociny w twarz, aż miałem ich pełno w nozdrzach. Mimo to starałem się nie wydawać z siebie żadnych dźwięków. Wiedziałem, że każda moja reakcja spowoduje jeszcze większą zaciekłość. Nauczyłem się tego w domu.

Gdy już wszyscy mi porządnie przyłożyli, Stan ukląkł przy mnie.

– Trzymaj się z daleka od naszych dziewczyn – powiedział. – Białe dziewczyny i spiksy do siebie nie pasują, kapujesz?

– Tak.

– Mam nadzieję, że kapujesz, bo to ćwiczonko tutaj było tylko rozgrzewką. Jeśli któryś z nas znowu zobaczy cię z jedną z naszych dziewczyn, to nie przywieziemy cię tu samochodem, my cię tu przyciągniemy. Jednym końcem sznura obwiążę ci nogi, a drugi koniec przymocuję do haka mojego auta i urządzimy sobie meksykańską piniatę. Zrozumiałeś?

Nie odpowiedziałem. Wzmocnił uścisk.

– Zrozumiałeś?

– Tak.

– Powiedz: „Tak jest!” – krzyknął.

– Tak jest.

– Tak jest i co dalej?

– Tak jest. Zrozumiałem.

Popatrzył mi w oczy i rzucił mnie na ziemię.

– Cuchniesz rzygami – powiedział. – Fuj! Muszę zmyć z siebie rzygi spiksa. Spadamy stąd.

Wsiedli do samochodów i ostro ruszyli z miejsca, obsypując mnie piaskiem spod kół drugiego auta.

Bóg mnie kocha. Bóg mnie kocha. Bóg mnie kocha.

*

Minęło dziesięć minut, zanim dałem radę iść. Dotarcie do domu z miejsca, do którego mnie zawieźli, zajęło mi dwie godziny.

Zapadł już wieczór. Cieszyłem się, że ojca nie ma przed domem, gdy wróciłem.

Następnego dnia powiedziałem Tinie, że nie mogę się z nią spotykać.

Rozpłakała się i zapytała dlaczego, ale nie powiedziałem jej prawdy. Czułem się zbyt upokorzony. Jednak gdy wracam myślami do tamtej chwili, żałuję, że jej nie powiedziałem. Parę tygodni później zobaczyłem na szkolnym korytarzu, jak idzie za rękę ze Stanem.

Rozdział 15

Są ludzie, którzy z ochotą wepchnęliby was do piekła, głosząc, że was przed nim ratują.

Z dziennika Charlesa Jamesa

Nigdy nie wiercie, że nie może być gorzej. Było sobotnie popołudnie, grabiłem liście, kiedy podszedł do mnie Mike, mój brat. Wyglądał na zdenerwowanego, ale radosnego.

- Charles, chodź ze mną.
- Po co?
- Chcę ci coś pokazać.

Poszedłem za nim do domu. Gdy znaleźliśmy się w naszym pokoju, Mike ukląkł i sięgnął pod swój materac. Wyciągnął „Playboya”. Na okładce było zdjęcie nagiej kobiety siedzącej w ogromnym kieliszku do koktajli.

- Patrz, co znalazłem!

Wiedziałem, co to jest. W szkole widziałem ten magazyn u chłopaków, ale nigdy z bliska. Wziąłem go od brata.

- Skąd to masz?
- Leżał w śmietniku.

Bardzo chciałem oglądać takie czasopisma, ale miałem świadomość, że nie wolno tego robić. Nasz pastor mówił o tym kiedyś na kazaniu. „Każdy, kto patrzy na niewiastę i pożąda jej, już popełnił cudzołóstwo w sercu swoim”^{*}.

Oddałem magazyn bratu. Spojrzał na mnie zaskoczony.

- Nawet go nie otworzyłeś.
- Ty też nie powinieneś. To grzech.
- Ale z ciebie świętoszek.
- Przynajmniej nie pójde do piekła.

*

Mimo to magazyn mnie kusił. Miałem szesnaście lat i nigdy nie widziałem nagiej kobiety. Czasami dostawałem dreszczy już na samą myśl, że „Playboy” leży pod materacem Mike’a. Pewnej nocy, gdy Mike zasnął, wziąłem magazyn i poszedłem z nim do łazienki. Ledwie go otworzyłem,

kiedy wszedł ojciec. Szybko chwyciłem „Playboya”.

– Co tam masz?

– Ni-nic.

– Masz pornosa. Oddawaj! – Zrobiłem, jak kazał. – Skąd to masz?

Nie mogłem mieszać w to brata. To znaczy mogłem, ale to by nic nie pomogło. Brat też dostałby lanie.

– Znalazłem w kontenerze.

– Wiesz, że pójdziesz do piekła za oglądanie tego?

– Wiem.

– Wiesz, jak jest w piekle?

– Nie. Chyba...

Nie zdążyłem dokończyć, bo dostałem cios pięścią w szczękę i upadłem na podłogę. Ojciec zaczął mnie okładać jak szalony. Wcześniej nigdy nie bił mnie z taką wściekłością. Sprzął mnie do nieprzytomności. Nie wiem, jak długo byłem bez świadomości, ale gdy się ocknąłem, leżałem w kałuży krwi i moczu. Próbowałem się czołgać, wspierając się na przedramionach, ale ból był nie do zniesienia.

Kilka minut leżałem, trzęsąc się, po czym wciągnąłem się do wanny. Nie zdejmując ubrania, odkręciłem wodę. Najpierw leciała zimna, potem ciepła. Czuję się cały połamany. Woda spływała po mnie, zmywając krew i smród. Patrzyłem w ciemnościach na strumień wody. Zdjąłem koszulę, spodnie i się wyciągnąłem.

Najwyraźniej znowu straciłem przytomność, bo gdy się obudziłem, woda była zimna. Pochyliłem się, by ją zakręcić, powstrzymując odruch wymiotny. Potem przechyliłem się przez bok wanny. W myślach krzyczałem: Okłamali mnie! Zawsze mnie oklamywali! Jeśli jest Bóg, to mnie nienawidzi. Od samego początku. To ja go też nienawidzę.

* Mt 5, 28.

Rozdział 16

Wszedłem na inną ścieżkę, a może w końcu zacząłem dostrzegać swoje otoczenie.

Z dziennika Charlesa Jamesa

Tamtej nocy zaszła we mnie zasadnicza zmiana. Coś we mnie umarło. Albo się przebudziło. Wyrzuciłem swoją Biblię. Razem z innymi śmieciami. Spaliłbym ją, ale uznałem, że nie była warta zachodu. W niedzielę powiedziałem mamie, że już nigdy nie pójdę do kościoła. Zapytała dlaczego. Odparłem, że to strata czasu.

Zacząłem się spotykać z Mateo, starszym ode mnie meksykańskim chłopakiem, przed którym ostrzegła mnie mama. Sprzedawała kosmetyki Avonu jego matce i uważała, że ta rodzina to złe środowisko.

Mateo mieszkał sześć przecznic ode mnie, w jeszcze biedniejszej okolicy niż ja. Jego ojciec siedział w więzieniu. Mateo spędził dwadzieścia sześć tygodni za włamania w ośrodku dla nieletnich w Ogden. Nazywał to miejsce „nielatka”. Ze sposobu, w jaki o nim opowiadał, można było wywnioskować, że pobyt tam był jak kurs fachu dla zaawansowanych. Obnosił się ze swoją odsiadką dumnie niczym ktoś, kto przebiegł maraton albo wspiął się na Everest.

Zaznajomił mnie z piwem, tym meksykańskim, oraz z whiskey i tequilą. Zacząłem też z nim palić, najpierw papierosy, potem marihuanę. Mateo brał również twardsze dragi, ale byłem na tyle rozsądny, aby w to nie wchodzić.

Mateo miał ładną, młodszą ode mnie o rok siostrę o imieniu Gabriela. Była tak samo rozwydrzona jak Mateo i prawie tak samo jak on zepsuta. Czasami z nami paliła. O sprawach męsko-damskich wiedziała o wiele więcej niż ja. Mama powiedziała mi podstawowe rzeczy o seksie, ale to, co robiliśmy z Gabrielą, bardziej przypominało sport. Wkrótce spędzałem z nią tyle samo czasu co z Mateo. Przynajmniej raz w tygodniu zwiewaliśmy ze szkoły i jechaliśmy poszaleć w kanionach.

Przestałem się przejmować stopniami, nauką, a nawet tym, co mówiły zakonnice. Nie zależało mi, czy skończę szkołę czy nie. Po raz pierwszy w życiu zostałem zawieszony w prawach ucznia za palenie papierosów na

terenie szkoły. Mama była mną rozczarowana, ale nic nie powiedziała ojcu. Myślę, że po tym, co mi zrobił za oglądanie „Playboya”, bała się, że mnie zabije.

*

Nadchodził czas przemian. Gdy skończyłem siedemnaście lat, w moim życiu dokonały się trzy ważne zmiany. Po pierwsze, zacząłem szybko rosnąć. Urosłem prawie o dziesięć centymetrów i przybrałem ponad dziesięć kilogramów. Dojrzałem. Stałem się mężczyzną.

Po drugie, odkryłem, że jestem w prostej linii potomkiem Jessego Jamesa. Nie wiem, dlaczego mama nigdy nam o tym nie powiedziała. Chyba się tego wstydziła. Sprawa wydała się pewnego wieczoru, gdy całą czwórką oglądaliśmy telewizję i zobaczyliśmy zwiastun westernu o Jessem Jamesie.

Ojciec, z piwem w dłoni, obrócił się do mamy i powiedział:

– To o twoim krewniaku. Będziesz oglądać?

– Nie – odparła.

Potem zwrócił się do Mike’a i do mnie.

– Jesse James był prapradziadkiem waszej matki. To ten sławny morderca i rabuś pociągów. Macie w sobie, chłopcy, krew bandyty.

Nie wiem, na jaki skutek liczył ojciec, ale wątpię, aby chodziło mu o ten, który wywołał. Po raz pierwszy w życiu poczułem się kimś więcej niż zerem i chłopcem do bicia. O Jessem Jamesie nie słyszałem nic poza tym, że był sławnym bandytą, wiedziałem jednak, że był niebezpieczny i budził strach. Zapragnąłem jednego i drugiego. Poszedłem do biblioteki i wypożyczyłem wszystkie książki o Jessem Jamesie, jakie znalazłem.

Zafascynowało mnie wszystko, czego się dowiedziałem. Ojciec Jessego, Robert James, był pastorem i hodowcą konopi. Zmarł, kiedy Jesse miał trzy lata, i wychowaniem chłopca oraz jego brata zajęła się matka. Gdy wybuchła wojna secesyjna, bracia wstąpili do armii Południa, w szeregi konfederatów. To wtedy James dorobił się reputacji bandziora, który skalpował żołnierzy Unii i ćwiartował ich ciała po śmierci.

James był prawdopodobnie pierwszym przestępcą w historii ze smykalką do public relations. Wszedł w porozumienie z wydawcą „Kansas City Star”, który zaczął publikować listy od Jamesa broniącego swojej niewinności. Dodatkowo redaktor pisał pełne podziwu artykuły przedstawiające Jamesa jako Robin Hooda, czym przysparzał mu popularności. Mówiono, że gdy James napadał na pociąg, sprawdzał, czy dłonie mężczyzn wyglądają jak ręce

robotnika. Jeśli wyglądały, James ich nie okradał. Trudno stwierdzić, jak było naprawdę, ale na pewno mój przodek miał dobrą prasę.

Jesse James był prapradziadkiem mojej matki. Ożenił się ze swoją kuzynką Zereldą (to ona opiekowała się nim po tym, jak został postrzelony w klatkę piersiową przez żołnierzy Unii, gdy próbował się poddać) i miał z nią dwoje dzieci: chłopca Jessego Edwarda Jamesa i dziewczynkę Mary Jane Susan James.

Jesse Edward, prawnik, ożenił się ze Stellą Frances McGowan. Był słabego zdrowia i po pewnym czasie przeniósł się wraz z rodziną do Kalifornii, gdzie klimat był łagodniejszy. Mieli czworo dzieci, same dziewczynki. Ich czwarta córka, Ethel Rose James, była babcią mojej mamy.

Dla chłopaka, który dorastał, nienawidząc swojego pochodzenia, było to prawdziwe objawienie. Nagle zyskałem cenną tożsamość – prawo do bycia na tej ziemi. Byłem potomkiem legendy. Byłem z rodu Jamesów. A Jesse James nie uciekał przed bójkami, on je wszczynał. I on je kończył. Jestem przekonany, że ta świadomość spowodowała największą zmianę w tamtym roku mojego życia. Postawiłem się ojcu.

*

Doszło do tego w piątkowy wieczór w październiku. Był to, jak mówiliśmy obaj z bratem, „wieczór butowy” – gdy rodzice wyjmowali pudło po butach, w którym trzymali wszystkie rachunki. Wyrzucali plik rachunków na stół kuchenny i zaczęli je przeglądać, aby ustalić, które mogą zapłacić w danym miesiącu.

Obaj z bratem nie cierpieliśmy tego pudła. Jego pojawienie się było zapowiedzią bólu – zapaleniem lontu, które poprzedzało eksplozję.

Tamtego wieczoru ojciec jak zwykle wpadł w złość. Pieklił się z każdą minutą coraz głośniejsze i gwałtowniej, aż zaczął przeklinać i rzucać rzeczami. Potem zabrał się do bicia mamy. Krzyknąłem, żeby przestał. Wtedy zdjął pasek i ruszył na mnie.

Coś się we mnie przestawiło. Po raz pierwszy w życiu się nie uchyliłem. Ojciec uderzył mnie kilka razy paskiem, zostawiając ślady na mojej ręce, ale nawet nie drgnąłem. Nie czułem nic poza wściekłością i furją. Byłem dzikim zwierzęciem. Byłem Jessem Jamesem.

Zaatakowałem ojca, popychając go na kuchenne drzwi tak mocno, że na chwilę stracił przytomność i osunął się na podłogę. Potem zacząłem go okładać pięściami, aż pokazała się na nich krew ojca. Bezskutecznie

próbował się osłonić przed moimi ciosami. Później zaczął mnie błagać, żebym przestał. Rozplakał się. Jak dziecko.

W końcu mama, która początkowo była zbyt zaszokowana, by zareagować, zatrzymała mnie, oplatając swoimi rękami.

Odsunąłem się. Po mojej twarzy płynęły łzy, gdy patrzyłem na ojca ze wstrętem.

– Jeśli jeszcze kiedyś dotkniesz kogoś z nas, to cię zabiję. Słyszysz? Już się ciebie nie boję. Zabiję cię!

Tylko na mnie patrzył. Miał zakrwawioną twarz, złamany nos i trzął się ze strachu. Słyszałem kiedyś, że większość oprawców to tchórze, ale nigdy nie zdawałem sobie sprawy, jakim wielkim tchórzem jest mój ojciec.

Wybiegłem z domu i wróciłem dopiero po sześciu godzinach. Było ciemno i cicho. Gdy położyłem się do łóżka, brat powiedział mi, że ojciec szlochał jeszcze prawie godzinę.

Nazajutrz ojciec wyszedł do pracy, zanim się obudziłem. Zobaczyłem go dopiero trzy dni później. Byłem przygotowany na następny atak, ale przeszedł obok mnie skulony. Nigdy więcej mnie nie dotknął.

Rozdział 17

Tron się zawalił, berło strzaskane. Król upadł.

Z dziennika Charlesa Jamesa

W Księdze Izajasza jest taki fragment: „Ci, którzy cię widzą, spoglądają na ciebie, przypatrują ci się uważnie: czy to jest ten mąż, który był postrachem ziemi, trząsł królestwami?”*.

Myślę, że w moim świecie, w moim królestwie, słowa te odnosiły się do mojego ojca. Został pokonany. Jednak największa zmiana w moim życiu nie zaszła w relacji z ojcem, ale z Bogiem. Przeszedłem przemianę. Próbowałem być dobry i pokładać wiarę w miłosiernym i kochającym Bogu, o którym nauczano w kościele mojej matki, i z tego powodu wiele wycierpiałem. Z moich doświadczeń wynikało, że Bóg nie jest ani miłosierny, ani kochający, i byłem pewny jak diabli, że nie ma zamiaru mnie chronić. Musiałem o to zadbać sam. Przesłanie z wszechświata było jasne: uwierz w siebie, Bóg ma cię gdzieś. Wymyśliłem nową mantrę: Nie ma Boga, jestem ja.

Na zewnątrz sprawiałem wrażenie pewnego siebie, jednak w głębi duszy byłem przerażony. Wiem, że zabrzmiało to absurdalnie, ale w jakiś pokrętny sposób sadystyczny ojciec dawał mi poczucie bezpieczeństwa. Być może podświadomie wierzyłem, że jeżeli może mnie bić, to może mnie też chronić. Ojciec jednak został przeze mnie upokorzony i pokonany, a nasza rodzina rozbita. Zawsze taka była, ale teraz zniknęły nawet pozory stabilizacji. Skruszały fundamenty. Król został zdetronizowany.

Myślę, że właśnie dlatego musiałem odejść. Musiałem opuścić nie tylko dom, ale wszystko: rodzinę, szkołę, Utah. Pomyślałem, że gdzieś indziej musi być lepiej. Postanowiłem pojechać do Kalifornii.

*

Decyzję o wyjeździe podjąłem w pewne sobotnie popołudnie, półtora miesiąca przed moimi osiemnastymi urodzinami. Ranek spędziłem z Mateo, potem wróciłem do domu i zapakowałem do szkolnego plecaka dwie pary dżinsów, trzy T-shirty, dwie pary majtek i skarpetek, mydło, brulion, który znalazłem w kontenerze, i długopis. Zabrałem też nóż sprężynowy, który dał

mi Mateo, kiedy się dowiedział, że wyjeżdżam.

– Gdy przyjedziesz do L.A., pytaj o gang Sureños – powiedział. – To meksykańska mafia. Każdy gang z trzynastką w nazwie to Sureños. Oni się tobą zaopiekują.

Nie zamierzałem przystąpić do żadnego gangu. Zamierzałem radzić sobie sam, choć miałem tylko sto osiemdziesiąt dolarów, które zarobiłem, głównie pomagając sąsiadom w pracach ogrodowych.

Nazwijcie to naiwnością albo młodzieńczą głupotą, ale się nie bałem. Traperzy wiedzieli, jak przetrwać w dzikich kniejach. Ja wiedziałem, jak przetrwać w miejskiej dżungli. Byłem mistrzem w radzeniu sobie w wielkim mieście. Mogłem żyć z tego, co znajdę w śmietnikach, gdybym musiał. Z doświadczenia wiedziałem, że nawet w biedniejszych dzielnicach Ogden ludzie wyrzucają rzeczy, które nadal są dobre. Liczyłem, że tak samo jest w innych miastach.

Gdy kończyłem się pakować, do pokoju wszedł brat.

– Co robisz?

– Wyjeżdżam – odparłem, nie odrywając wzroku od plecaka.

– Wyjeżdżasz? Dokąd?

– Nie wiem.

– Na długo?

– Na zawsze.

– Dlaczego? To jest nasz dom.

Spojrzałem na niego. W oczach miał strach.

– Stary, to śmietnik, a nie dom – powiedziałem.

– Nie możesz mnie zostawić.

Chwyciłem plecak.

– Muszę.

Rozpłakał się. Nie mogłem tego znieść. Widziałem, jak był bity przez ojca i nie płakał. Widocznie to, co robiłem, było dla niego boleśniesz. Zrobiło mi się niedobrze.

– Przestań płakać. Nie jesteś dzieckiem.

– Proszę, nie wyjeżdżaj.

– Tu nie ma nic.

– Ja jestem.

– Przykro mi. – Mówiłem szczerze. Wiedziałem, że będę za nim tęsknił, ale odsunąłem od siebie tę myśl. – Muszę już iść.

Nigdy się nie pożegnałem z rodzicami. Nigdy nie żałowałem, że nie

porozmawiałem z ojcem. Powiedziałem mu wszystko, co chciałem, a on powiedział mi o wiele więcej, niż chciałem usłyszeć. Już miałem powiedzieć o swoim odejściu mamie, ale się rozmyśliłem. Wiedziałem, że mogłaby mnie nakłonić, abym został.

Dworzec autobusowy Ogden Greyhound leżał dziesięć kilometrów od naszego domu. Przeszedłem tę odległość w niecałą godzinę. Nigdy wcześniej tam nie byłem. Budynek dworca nie był zatłoczony. Znajdowało się w nim najwyżej trzydziestu pasażerów – większość siedziała, kilka osób spało na złączonych ławkach. Podłoga była brudna i zaśmiecona.

Nad okienkami kas wisały tablice z godzinami przyjazdów i odjazdów. Autobus do Los Angeles odjeżdżał o szesnastej pięćdziesiąt pięć i przyjeżdżał na miejsce o ósmej dwadzieścia pięć. Miał jedną przesiadkę, w Las Vegas. Nie wiem, dlaczego ciągnęło mnie do Kalifornii. Może dlatego, że mama tak czule wspominała czasy, gdy tam mieszkała, a może dlatego, że tam się urodziłem. Możliwe, że Kalifornię miałem we krwi.

Kupiłem bilet w jedną stronę za sześćdziesiąt dziewięć dolarów i dziewięćdziesiąt dziewięć centów, wcisnąłem go głęboko do kieszeni i poszedłem do pobliskiego sklepu. Kupiłem dwa snickersy, puszkę dr. peppera, dwa hot dogi, które oblałem darmowym sosem serowym z dodanym do niego chili. Potem wróciłem na dworzec.

Rozłożyłem serwetki i usiadłem na wolnej ławce po wschodniej stronie dworca. Uznałem, że ławka jest wolna, bo przy jej boku ktoś zwymiotował na podłogę. Smród wymiocin mi nie przeszkadzał. (Skutek dzieciństwa spędzonego w kontenerach na śmieci). Bardziej niepokoiли mnie dziwnie wyglądający ludzie. Pewien rozczochrany mężczyzna cały czas oglądał się za siebie i krzyczał: „Przestań mnie śledzić!”, choć nikt za nim nie szedł. Mogłem znosić smród, bo dzięki niemu ludzie trzymali się z dala od ławki.

Gdy skończyłem jeść hot dogi, inaczej ułożyłem serwetki, odchyliłem się na oparcie ławki i zacząłem obserwować przechodzące osoby. W miarę upływu czasu ruch na dworcu robił się coraz większy. Kilka razy widziałem rodziców odprowadzających dzieci. Rodzice przeżywali rozstanie, matki płakały i nawet jeden z ojców ocierał oczy. Takie sceny były mi obce. Zastanawiałem się, jak często ci ludzie biją swoje dzieci.

Potem moje myśli zaczęły się gubić w labiryncie pytań. Czy jeszcze kiedyś zobaczę swoją rodzinę? Czy ojciec zacznie bić matkę i mojego brata? Ile czasu minie, zanim brat mu się postawi tak jak ja? A jeśli tego nie zrobi? Zawsze był bardziej strachliwy niż ja.

Byłem ciekaw, czy już powiedział rodzicom, że odszedłem. A gdyby tu po mnie przyjechali? Co bym zrobił? Szybko odrzuciłem tę ewentualność. Była nieprawdopodobna.

Doszedłem do wniosku, że przed każdą poważną zmianą w życiu następuje kryzys wiary – zanim człowiek rzuci się w nieznane, pojawia się zwątpienie. Przez chwilę rozważałem powrót do domu, bo przerażony głos w mojej głowie zaczął powtarzać w kółko: Co ty robisz? Zginiesz w tym wielkim świecie. Lepiej zostań tu, gdzie wszystko znasz.

Wyciągnąłem bilet i potrzymałem w dłoni, po czym złożyłem go i wsunąłem z powrotem do kieszeni. Przypomniałem sobie, że nie mam domu, do którego mógłbym wrócić. Dom opuścił mnie na długo, zanim ja opuściłem dom.

Nie porzuciłem tylko domu. Porzuciłem też nazwisko ojca. Postanowiłem, że odtąd będę się nazywał Charles James.

* Iz 14, 16.

Rozdział 18

Trzeba wielkiej odwagi, aby okazywać uprzejmość, jakby się nigdy nie zostało zranionym.

Z dziennika Charlesa Jamesa

Podróż do Los Angeles trwała piętnaście i pół godziny. Jechaliśmy prosto na południe międzystanową I-15 przez Salt Lake City, St. George, Las Vegas i Barstow do San Bernardino, gdzie skręciliśmy na zachód w I-10 prowadzącą do Santa Monica i Pacyfiku.

Byłem jednym z siedmiu pasażerów wsiadających do autobusu w Ogden. Wielu z nich miało wielkie walizki i torby podróżne, które kierowca schował do luku. Ja miałem tylko plecak.

Podąłem bilet kierowcy. W autobusie siedziało kilkunastu już zmęczonych i znudzonych pasażerów. Kilku z nich omiotło mnie wzrokiem, gdy przechodziłem do tyłu pojazdu, gdzie było prawie pusto. Nadal nie chciałem siedzieć obok nikogo.

Zająłem miejsce w ostatnim rzędzie po lewej. Po drugiej stronie przejścia siedziała młoda kobieta. Wyglądała na moją równolatkę albo o rok starszą. Ładna, o dużych zielonych oczach, pociągłej twarzy i długich brązowych włosach. Przede wszystkim jednak wyglądała na sympatyczną.

Położyłem plecak na siedzeniu od strony przejścia i usadowiłem przy oknie. Ponownie spojrzałem na młodą kobietę. Uśmiechała się do mnie. Jak dotąd była jedyną osobą w autobusie, która nie wyglądała, jakby jej coś dolegało. Nie przesadzam. Moi współpasażerowie mieli w sobie tyle samo radości co pacjenci w poczekalni do dentysty. Oczywiście sam też nie promieniowałem szczęściem. Na uśmiech nieznajomej odpowiedziałem nieśmiałym skinieniem głowy, po czym wyjrzałem przez okno.

Kilka minut później usłyszałem, jak zamykają się drzwi pneumatyczne i kierowca zwalnia hamulce. Autobus niespiesznie wycofał się z miejsca postojowego, zatrzymał się, po czym szarpnął do przodu. Zaczęło się moje nowe życie.

Poza przeprowadzką do Utah, gdy byłem niemowlakiem, nigdy nie podróżowałem dalej niż pięćdziesiąt kilometrów od domu – co sobie

uświadomiłem, kiedy po raz pierwszy w życiu oglądany przeze mnie krajobraz wydał mi się nieznany.

Myślami wróciłem do mojego zasmuconego brata. Zastanawiałem się, jak mu się ułoży życie. Postanowiłem, że wyślę mu kartkę z Kalifornii, by wiedział, gdzie jestem i co robię, niezależnie od tego, co to będzie.

Moje myśli przerwał cichy głos:

– Chcesz czekolady? – Młoda kobieta wyciągała do mnie rękę z tabliczką czekolady Hershey's.

– Nie, dziękuję.

Przechyliła głowę.

– To tylko czekolada. Nie lubisz czekolady?

– Lubię.

– To się poczęstuj.

– Okej. – Wyciągnąłem rękę.

Odłamała kostkę i mi podała.

– Dzięki.

Przesiadła się na siedzenie bliżej mnie.

– Proszę bardzo. Mam ze sobą wszelkiego rodzaju przekąski, gdybyś był głodny. Upiekłam nawet czekoladowe herbatniki. Czeka nas długa jazda. Ponad piętnaście godzin.

– Dzięki.

– Dokąd jedziesz? – zapytała.

– Do Los Angeles. Chyba wszyscy w tym autobusie tam jadą?

– Nie. Po drodze jest kilka przystanków. W Los Angeles kończy się trasa tego autobusu.

– Jedziesz do Los Angeles?

Kiwnęła głową potwierdzająco.

– A dokąd w Los Angeles jedziesz?

– Nie rozumiem?

– Los Angeles jest wielkie. Ma wiele przedmieść.

– Jeszcze nie wiem – odparłem. – Jesteś z Utah?

– Nie. Wracam z Idaho. Jestem z Culver City. To w Los Angeles.

– Jak tam jest?

– W Culver City?

– W Kalifornii.

– Nigdy tam nie byłeś?

– Urodziłem się w Kalifornii, ale rodzice się stamtąd wyprowadzili, gdy

byłem niemowlakiem, więc nic nie pamiętam.

– Jest ładnie. To znaczy jest tłoczno, dużo samochodów i przestępstw, ale rośnie mnóstwo palm i są śliczne plaże. Pogoda prawie zawsze jest ładna. W moim sąsiedztwie są zamożne dzielnice.

– Co to znaczy zamożne? – zapytałem.

Uśmiechnęła się.

– Zamożne? To znaczy bogate. W Kalifornii mieszka wiele bogatych osób.

– Aha. – Po chwili zapytałem: – Ty jesteś... zamożna?

Roześmiała się.

– Czy podróżowałabym autobusem, gdybym była?

– Nie wiem.

– Nie. Leciłabym samolotem.

Kiwnąłem głową.

– Zamożna – powtórzyłem.

– Jestem Monica – powiedziała, wyciągając do mnie rękę. – Jak Santa Monica. A ty?

– Jestem Charles James.

– Charles James to twoje imiona czy James to twoje nazwisko?

– James to moje nazwisko. Jak Jesse James.

– O! Krewny?

– Był moim praprapradziadkiem.

– Super. Kiedyś sprawdzałam, czy jestem spokrewniona z kimś sławnym, ale okazało się, że nie jestem.

– Chyba każdy jest.

– Możliwe. Ale gdybym była, to moja prapraprababcia byłaby raczej służącą królowej Anglii. – Roześmiała się. Miała przyjemny śmiech. – Dobrze, że nie żyjemy w tamtych czasach.

Niecałą godzinę później autobus zatrzymał się w Salt Lake City. Na zewnątrz było już ciemno. Nigdy wcześniej nie widziałem tak wysokich budynków. Wsiadła mniej więcej jedna trzecia pasażerów, ale dwa razy tyle wsiadło. Ucieszyłem się, że nikt nie zajął miejsca obok Moniki, choć kilku panów sprawiało wrażenie, jakby miało taki zamiar. Na mnie nikt nie spojrział. Pewnie wszystkich odstraszałem wyglądem.

Kilka następnych godzin jechaliśmy na południe międzystanową I-15. Tuż po dwudziestej drugiej zatrzymaliśmy się przy sklepie na stacji benzynowej, aby coś zjeść. Oprócz stacji w miasteczku nie było innych

zabudowań.

– Gdzie jesteście? – zapytałem.

– W Parowan. To naprawdę mała miejscowość. Chcesz coś zjeść?

– Jasne.

– Weź ze sobą plecak. Lepiej, żeby ci go nikt nie ukradł.

Wstałem i zarzuciłem plecak na ramię, po czym wyszedłem za Monicą z autobusu. Kierowca stał na zewnątrz i palił papierosa. Wydmuchnął obłok dymu i powiedział:

– Macie piętnaście minut.

Ze stacją łączył się bar z sandwiczami sieci Subway. Monica najpierw poszła do łazienki, a potem stanęła ze mną w kolejce. Kupiłem sandwicza z serem, ona coś włoskiego. Nie mieliśmy czasu zostać w barze i zjeść, więc poszliśmy z kanapkami do sklepu spożywczego i kupiliśmy butelkę wody, orzeszki ziemne w polewie toffi i litrową butelkę coca-coli. Zakupy zanieśliśmy do autobusu.

Najwyraźniej kierowca czekał tylko na nas, bo gdy nas zobaczył, rzucił niedopałek na ziemię, wsiadł do autobusu i uruchomił silnik. Natychmiast zamknął za nami drzwi. Wróciliśmy na swoje miejsca.

– Następny przystanek mamy w Las Vegas – powiedziała Monica. – Przesiadamy się na inny autobus.

– Muszę kupić bilet? – zapytałem.

– Nie. Obowiązuje ten, który masz. – Przyjrzała mi się. – Co masz zamiar zrobić po przyjeździe do Kalifornii?

– Znaleźć sobie pracę.

– Co chcesz robić?

– Cokolwiek. Umiem ciężko pracować.

– Pracowałeś kiedyś w ogrodzie?

– Tak. Wiele razy. Mój ojciec jest ogrodnikiem.

– To dobrze. Brat mojej koleżanki ma firmę zajmującą się architekturą krajobrazu. Ciągłe poszukuje pracowników. Nie wzbogacisz się, pracując u niego, ale nie jest źle. Myślę, że jego pracownicy zaczynają od dwunastu dolarów na godzinę.

Dwanaście dolarów to był dla mnie majątek. Nikt ze znanych mi osób nie dostawał takiej stawki. Nawet mój ojciec.

– Dwanaście dolarów? – upewniłem się.

– Jak mówiłam, nie wzbogacisz się u niego, ale to więcej niż przy obracaniu burgerów u kogoś innego za minimalną stawkę.

- Pracujesz? – zapytałem.
- Pokiwała głową.
- W domu opieki. Jestem DAP.
- Co to takiego?
- Dyplomowana asystentka pielęgniarstwa.
- Ważna praca.
- Roześmiała się.
- Jeśli zmienianie starym ludziom pampersów jest ważne.
- Zastanowiłem się.
- Dla starych ludzi na pewno.
- *

Nasz autobus wtoczył się do Las Vegas tuż po pierwszej nad ranem. Nigdy w życiu nie widziałem niczego podobnego – miriady jaskrawych, migoczących świateł, kłębiących się tłumów ludzi i błyszczących drogich samochodów. Nawet o pierwszej nad ranem ulice były bardziej zatłoczone niż ulice Ogden w godzinach szczytu.

Kierowca wyłączył silnik i poinformował przez głośniki, że to koniec trasy i wszyscy muszą wysiąść. Wstaliśmy i zebraliśmy swoje rzeczy. Kilka osób trzeba było obudzić. Jeden z mężczyzn był zupełnie zdezorientowany. Usłyszałem, jak zapytał, czy jesteśmy w Phoenix.

Dworzec autobusowy w Las Vegas bardzo się różnił od tego w Ogden. Przede wszystkim było w nim ładnie. I czysto. Był otwarty i rosły wokół niego palmy, które dotąd widziałem tylko w czasopiśmie albo telewizji.

Zaczekałem, aż Monica odbierze swój bagaż przewożony w luku. Powietrze było znacznie cieplejsze i wilgotniejsze niż w Ogden. Zdjąłem bluzę z kapturem, bo zacząłem się w niej pocić.

– W Kalifornii jest tak gorąco? – zapytałem Monicę.

– Nie. Ciepłej niż w Utah, ale chłodniej niż w Las Vegas. Tu jest pustynia.

Na dworzec co chwila wjeżdżały autobusy pełne turystów. Dla większości z nich Vegas na pewno było celem podróży: byli podekscytowani i zachowywali się w nieskrępowany sposób, jakby byli pijani albo coś w tym stylu. Powtarzali: „Co się stanie w Vegas, zostaje w Vegas”. Nie obchodziło mnie, co to znaczy. Chciałem stamtąd wyjechać.

– Wiesz, gdzie mamy iść? – zapytałem Monicę.

– Tak. Trzymaj się mnie.

Monica miała dwie torby, które pomagałem jej nieść. Minęliśmy chyba pięć autobusów i podeszliśmy do pojazdu, który miał na oknie tablicę LOS ANGELES / SANTA MONICA. Stała przed nim kolejka pasażerów.

– To ten – powiedziała Monica. – Zawsze jest bardziej zatłoczony niż ten pierwszy. Muszę oddać bagaż do schowka. Może wsiądziesz i zajmiesz nam miejsca, żebyśmy mogli siedzieć razem?

– Okej – powiedziałem, zadowolony, że nadal chce siedzieć obok mnie. Stałem w kolejce i wsiadłem do autobusu. Tak jak mówiła Monica, było w nim więcej pasażerów niż w tym, z którego wysiedliśmy, i w tyle były tylko dwa wolne miejsca. Zająłem jedno z nich, a na drugim położyłem swój plecak. Kilka minut później w przejściu pokazała się Monica. Uniosłem rękę, aby mogła mnie zobaczyć. Gdy podeszła, zapytałem:

– Chcesz siedzieć przy oknie?

– Nie. Siadaj.

Przesunąłem się na miejsce przy oknie, a Monica usiadła obok mnie i umieściła swoje rzeczy pod fotelem przed sobą.

– Cieszę się, że jedziesz ze mną – powiedziała. – Mogłam wylądować obok jakiegoś cuchnącego grubasa. Gdy pierwszy raz jechałam tym autobusem, usiadł obok mnie starszy facet z włosami wyrastającymi z uszu. Usnęłam, a kiedy się obudziłam, facet mnie obmacywał.

– Gdzie? – zapytałem.

Wskazała swoje piersi.

– Co zrobiłaś?

– Zaczęłam krzyczeć. Kierowca zatrzymał autobus i kazał temu facetowi usiąść obok siebie. A potem kazał mu wysiąść w następnym mieście.

– Pewnie nie był zadowolony.

– Nie. Strasznie się stawiał. Ale kiedy kierowca zagroził, że wezwie policję, uciekł.

Pokręciłem głową.

– Zbok.

– W autobusie zawsze dzieją się jakieś dramatyczne rzeczy. Kiedy ostatnio wyjeżdżałam z Vegas, siedziałam obok kobiety, która rozpaczliwie płakała. Gdy w końcu się uspokoiła, powiedziała mi, że przyjechała z Pasadeny i w jednym z kasyn przegrała wszystkie pieniądze i samochód. Kasyno kupiło jej bilet powrotny na autobus. Według mnie, biorąc pod uwagę, ile pieniędzy u nich zostawiła, mogli jej kupić przynajmniej bilet na samolot.

- Ile razy podróżowałaś tym autobusem?
- To mój trzeci raz. Podróż w obie strony. Mój tata pracuje w bazie lotniczej w Boise, w Idaho.
- Jest pilotem?
- Nie, a szkoda. Może wtedy mogłabym latać samolotami. Tata jest mechanikiem helikopterów.
- Super.
- Nie widuję go często. Rodzice rozwiedli się pięć lat temu. Na początku tata stacjonował w Niemczech, a trzy lata temu przenieśli go do Idaho. I wtedy zaczęłam jeździć tym autobusem, żeby się z nim widywać.
- Jakie to dziwne, pomyślałam. Ja jechałam tym autobusem, żeby uciec od swojego ojca.
- A ty? Dlaczego jedziesz do Kalifornii?
- Uciekłam z domu.
- Och! – Wyraźnie się zmartwiła. – W domu źle się działo?
- Nie. Ojciec się nad nami znęca. A przynajmniej znęcał się, dopóki go nie pobiłam.
- Kurczę. I kazał ci się wynieść?
- Nie. To była moja decyzja.
- Współczuję. Też bym uciekła z takiego domu. Mój ojciec jest naprawdę super. Szkoda, że nie mogę z nim mieszkać.
- Dlaczego?
- Już o tym rozmawialiśmy. Problemem są jego częste przeniesienia. Ale może kiedyś. – Wyjęła torebkę ze smakołykami. – Poczęstuj się ciastkami czekoladowymi. Sama piekłam.
- Wziąłem ciastko i ugryzłem kawałek. Było pyszne.
- Naprawdę ty je upiekłaś?
- Tak. Lubię piec.
- Bardzo dobre.
- Dziękuję. Weź więcej.
- Sięgnąłem do torebki i wziąłem dwa ciastka.
- Jak daleko stąd do Los Angeles? – zapytałem.
- Około siedmiu godzin jazdy. Przyjedziemy po ósmej. – Odchyliła się na oparcie. – Lepiej się prześpijmy.
- Dobry pomysł. – Włożyłem ciastka do swojego plecaka i oparłem się o okno.
- Obudziłem się po kilku godzinach, gdy autobus zatrzymał się na krótko

w Barstow. Monica opierała się głową o moje ramię. Podobało mi się to. Znowu zasnąłem.

Gdy się ponownie obudziłem, wjeżdżaliśmy na dworzec autobusowy w Los Angeles. Słońce jasno świeciło, a Monica czytała Biblię, trzymając ją na kolanach. Spojrzała na mnie i się uśmiechnęła.

– Dzień dobry! – powiedziała.

– Dobry – odpowiedziałem zasnym głosem. Wyrzałem przez okno. Dworzec Greyhound wyglądał tak samo niechlujnie jak ten w Ogden, zauważyłem tu jednak więcej osób, które wyglądały na bezdomne. Znacznie więcej. Na dworcu kłębiło się mrowie ludzi. – Jesteśmy na miejscu? – zapytałem.

– Witaj w Los Angeles!

Spojrzałem na Biblię. Już sam jej widok wprawiał mnie w zakłopotanie.

– Czytasz Biblię?

– Tak. A ty?

– Kiedyś czytałem.

Nie zapytała, dlaczego przestałem. Zamiast tego zamknęła książkę, sięgnęła do torebki i wyjęła ciastko.

– Proszę. Zjedz śniadanie.

Wziąłem ciastko, choć dwa miałem w plecaku. Wiedziałem, że przydadzą mi się później.

– Dziękuję

– Proszę bardzo.

Zjadłem ciastko, gdy czekaliśmy, aż pasażerowie przed nami wysiądą z autobusu. Byliśmy ostatni w kolejce do wyjścia.

Monica odebrała swoje walizki i powiedziała do mnie:

– Było bardzo miło cię poznać, Charles. – Podała mi karteczkę. – Tu jest mój numer telefonu. Gdybyś czegoś potrzebował, dzwoń.

Wziąłem kartkę, choć nie przychodziło mi do głowy nic, z czym mógłbym do niej dzwonić.

– Dziękuję. Ciebie też było miło poznać. Dzięki za poczęstunek.

– Proszę bardzo. To gdzie teraz idziesz?

Rozejrzałem się wokół. Nie miałem pojęcia, gdzie jestem.

– Chyba się pokręcę.

– Gdzie się zatrzymasz?

– Nie wiem. Może prześpię się na plaży. Jesteśmy blisko plaży, prawda?

Monica zmarszczyła czoło.

- Policja nie pozwoli ci tam spać. I to nie jest bezpieczne miejsce.
 - Zawsze mogę sobie coś znaleźć na ulicy.
- Zmarszczki na jej czole pogłębiły się jeszcze bardziej.
- To nie jest dobry sposób na rozpoczynanie nowego życia. Ludzie na ulicy są jak... drapieżcy. I są gangi.
 - Na przykład Sureños.
 - Skąd wiesz o Sureños? – zdziwiła się.
 - Obiło mi się o uszy. Ale nie martw się. Umiem dać sobie radę.
 - Nie mówię, że nie umiesz, tylko że to nie jest dobry sposób na rozpoczęcie nowego życia.
- Wzruszyłem ramionami.
- Co innego mogę zrobić?
- Zawahała się, po czym zapytała:
- Mówiłeś poważnie o pracy w ogrodzie?
 - Jasne.
 - W takim razie przedstawię cię bratu mojej przyjaciółki. – Po pauzie dodała: – Powinnam cię chyba ostrzec, że jego pracownicy to sami Meksykanie. Nie przeszkadza ci to?
- Jej pytanie mnie uraziło.
- Dla mnie to nie problem. – Zmrużyłem oczy. – Nie lubisz Meksykanów?
 - Połowa moich znajomych to Meksykanie. Dlatego wiem, że są ludzie, którzy ich nie lubią. Niektórym przeszkadza każdy, kto ma inny kolor skóry.
 - Nie mam nic przeciwko Meksykanom – powiedziałem.
 - To dobrze. W takim razie przedstawię cię Ryanowi. Możesz się zatrzymać u mnie do czasu, aż znajdziesz sobie jakieś lokum. Gdzieś indziej niż pod gołym niebem.
- Zaskoczyła mnie tą propozycją.
- A twoja mama nie będzie miała nic przeciwko?
 - Nie. Zrozumiesz, gdy ją poznasz. Jeśli ją poznasz. Prawdopodobnie nawet się nie zorientuje, że jesteś.
- Nie miałem pojęcia, co to mogło znaczyć.

Rozdział 19

Nie ma nic zwyczajnego w zwyczajnej grzeczności. Ani Monica, ani ja nigdy się nie dowiemy, przed jakim cierpieniem mnie uchroniła.

Z dziennika Charlesa Jamesa

Każde z nas wzięło po jednej walizce i zatańczyło na parking na południowym krańcu dworca. Byłem zmęczony długą podróżą i głodny, ale z przyjemnością wdychałem powietrze Kalifornii, ciepłe i słodkie, jakby nasączone przyjemnymi aromatami. Ogden nie pachniało przyjemnie. Wręcz przeciwnie.

– Jak dostaniemy się do ciebie? – zapytałem.

– Podwiezie nas moja przyjaciółka. – Nagle zwróciła się w stronę starego żółto-białego volkswagena garbusa. – To ona!

Gdy podeszliśmy, z samochodu wysiadła młoda kobieta. Była niższa od Moniki, ale podobnie jak ona bardzo ładna. Uściskały się.

– Jak było w Idaho?

– Świetnie – odparła Monica.

– Tata w formie?

– Tata zawsze jest w formie.

– Ale się do niego nie przeprowadzasz?

– Na razie nie mam takich planów.

– Nawet o tym nie myśl – powiedziała przyjaciółka. – Nigdy mnie nie opuścisz. – Dopiero teraz mnie zauważyła. – A to kto?

– Charles – przedstawiła mnie Monica. – Poznałam go w autobusie. – Zwróciła się do mnie. – To moja najlepsza przyjaciółka, Carly.

– Miło cię poznać, Carly – powiedziałem.

Carly nie zareagowała.

– Charles chce pracować u Ryana.

– To się Ryan ucieszy. Właśnie zwolnił dwóch robotników i sam musiał ich zastąpić. A nie znosi pracować.

– Ojciec Charlesa jest ogrodnikiem – powiedziała Monica.

– To plus. Skąd jesteś?

– Z Ogden.

– Ogden w Idaho?

– Nie. Z Utah.

– Nigdy o nim nie słyszałam – stwierdziła Carly, idąc do samochodu. – Kiedyś byłam w Utah. Nie podobało mi się. – Nie robiąc przerwy na zaczerpnięcie oddechu, dodała: – Jedną walizkę możesz włożyć do bagażnika. Druga musi leżeć na tylnym siedzeniu.

Taszczyłem większą walizkę do tylnej części auta, gdy usłyszałem, jak Carly mówi do Moniki:

– Całkiem przystojny. – Chwilę później krzyknęła do mnie: – Hej, Einstein! Bagażnik jest z przodu. To jest volkswagen.

Obszedłem samochód. Carly otworzyła bagażnik. Zaczerwieniłem się ze wstydu. Nie wiedziałem, że volkswageny mają bagażniki z przodu.

– Przepraszam – bąknąłem.

– Twój plecak też tu się zmieści. Ale będziesz musiał tę drugą walizkę położyć obok siebie na tylnym siedzeniu. Monica podróżuje jak gwiazda rocka. Duże walizy, mały samochód.

Monica przechyliła się w moją stronę i powiedziała:

– Przepraszam. Carly czasami jest trochę bezceremonialna.

Nie wiedziałem, co to słowo znaczy.

Z trudem udało mi się umieścić walizkę na tylnym siedzeniu. Niestety, zajęła ponad połowę miejsca i ledwo się wcisnąłem.

W garbusie Carly czuć było kadzidło, ketchup i olej silnikowy. (Dzisiaj wiem, że wszystkie stare volkswageny śmierdzą olejem silnikowym). W środku było brudno, na podłodze wały się opakowania po fast foodach, tekturowe kubki po coca-coli i inne śmieci. Carly traktowała tylne siedzenie jak składowisko śmieci, ale przednie wcale nie wyglądało lepiej. Na lusterku wstecznym wisiał plastikowy kościotrup trzymający różę.

– Muszę stąd szybko spierniczać – powiedziała Carly. – To obrzydliwe miejsce. Gdy wjeżdżałam, jakiś gość sikał pod tamtym murem.

– Dzięki za informację – skomentowała Monica i obróciła się do mnie. – Dobrze ci tam?

– W porządku.

– Trudno cię dojrzeć.

– Trochę tu ciasno.

– Dokąd zabieramy sir Charlesa? – zapytała Carly.

– Do mnie. Przez jakiś czas będzie mieszkał u mnie.

– A co Susan powie na gościa?

– Jeśli zjawi się trzeźwa, to ją zapytam. Założę się, że najwcześniej po tygodniu zorientuje się, że już wróciłam.

*

Culver City leży ponad piętnaście minut jazdy od dworca autobusowego i jest znacznie ładniejsze od dzielnicy, w której mieszkałem z rodzicami, ale, prawdę mówiąc, wszędzie jest ładniej niż w moich rodzinnych stronach. Dom Moniki był mały i trochę wiekowy, ale czysty, a podwórko wyglądało schludnie.

– Jak długo tu mieszkasz? – zapytałem.

– Prawie trzy lata. To dom faceta mojej mamy. Wynajmujemy od niego.

Carly wjechała na podjazd i wyłączyła silnik.

– Proszę bardzo. Podpisany, zapieczętowany, dostarczony**.

– Dzięki, Carly. Jestem twoją dłużniczką – powiedziała Monica.

– Jak zawsze.

– Pójdziemy na pizzę dziś wieczorem?

– Mam randkę. Z Marco.

– Myślałam, że go rzuciłaś.

– Chciałam, ale kupił mi naszyjnik.

– Niezła z ciebie naciągaczka.

– Strasznie mi wstyd. Jestem jak sroka. Łasa na błyskotki. A skoro mowa o chłopakach, dlaczego nie odebrał cię Josh?

– Jest w Niemczech.

– Zawsze jest w Niemczech. Kiedy wraca?

– W przyszłą środę.

– To wyskoczmy gdzieś, póki możemy. Wiesz, jaki jest Josh. Krępuje ruchy jak gorset.

– Nieprawda.

– Zaprzeczanie nie zmieni faktów, kotku – skomentowała Carly.

Byłem ciekaw, kim jest Josh.

Monica wysiadła z auta, po czym przesunęła swoje siedzenie do przodu, abym mógł się wydostać. Albo przynajmniej złapać oddech. Wygramoliłem się, ciągnąc za sobą walizkę. Potem wyjąłem z bagażnika drugą walizkę i swój plecak.

– Dziękuję – powiedziała Monica, gdy postawiłem bagaż na ziemi.

– Dzięki, Chuck – powiedziała Carly. – Witamy w Kalifornii.

Wycofała auto na ulicę, nie patrząc w lusterko, przez co kierowca

nadjeżdżającego samochodu musiał ostro zahamować. Odjechała, trąbiąc.

– Kompletna dziwaczka – skwitowała Monica. Uśmiechnęła się do mnie. – A teraz cię zainstalujemy.

* Aluzja do tytułu albumu S. Wondera *Signed Sealed Delivered*.

Rozdział 20

Relacja pomiędzy pacjentem a terapeutką to osobliwa rzecz. Chcę zachowywać się rozsądniej, aby zasłużyć na jej aprobatę.

Z dziennika Charlesa Jamesa

Rozległ się cichy dźwięk timera. Doktor Fordham wyciągnęła rękę i go wyłączyła. Obracając się do mnie, zapytała:

– Czy to ta sama Monica, która była twoją żoną?

Zaskoczyło mnie, że skojarzyła.

– Tak.

– Nadal mieszka w Kalifornii?

– Tak.

Wolno pokiwała głową, po czym powiedziała:

– Myślę, że powinniśmy trochę bardziej zająć się tym wątkiem. Dziękuję, że mi o tym opowiedziałeś. Wspominałeś, że wkrótce wyjeżdżasz w jakąś podróż służbową, tak?

– Wprowadzam na rynek nowy produkt.

– Kiedy wyjeżdżasz?

– W przyszły wtorek. Trzeciego.

– Chciałbyś się spotkać przed tym dniem?

– Tak. Masz wolny termin?

– Postaram się. Chciałabym kontynuować ten wątek, póki jest świeży.

Myślę, że to ci pomoże.

– Może jutro? – zaproponowałem.

Spojrzała na swój telefon.

– Jutro nie mam żadnego okienka. Może w sobotę o dziesiątej rano?

– Pracujesz w soboty?

– Czasami.

– Zgodą. Dziękuję.

– Drobiazg – powiedziała, wstając.

Ja też podniosłem się z miejsca.

Przy drzwiach powiedziała:

– Jesteś bardzo interesującym człowiekiem, Charles.

– Czy to dobrze o mnie świadczy?

Uśmiechnęła się.

– Zwykle tak. Choć miałam kilku naprawdę interesujących klientów, których nie określiłabym jako dobrych ludzi.

– Opowiedz o chociaż jednym.

Trochę się zmieszała, ale odparła:

– Zgoda, ale bez nazwiska. W drugim roku praktyki przyszedł do mnie mężczyzna, który cierpiał na boantropię.

– Co to takiego?

– Zaburzenie psychiczne polegające na tym, że człowiek wierzy, że jest krową albo wołem. Mój klient był tak jakby na granicy, dużo o tym marzył. Aż pewnego dnia zadzwoniła do mnie jego żona i powiedziała, że mąż jest w ogrodzie, chodzi na czworakach i gryzie trawę.

– Jak Nabuchodonozor – stwierdziłem. – Księga Daniela cztery trzydzieści.

– Zdecydowanie jesteś interesującym człowiekiem – przyznała. – W dobrym tego słowa znaczeniu. A teraz przekonajmy się, czy potrafimy uczynić z ciebie człowieka szczęśliwego.

Uśmiechnąłem się rozbawiony.

– Nie wiem. Jak mówił Bones ze *Star Treka*? „Cholera, Jim, jestem lekarzem, nie magikiem”.

Roześmiała się.

– Naprawdę śmieszne.

Zatrzymałem się w drzwiach.

– Słuchaj, miałabyś czasami ochotę wyskoczyć na kawę?

Wyraz jej twarzy natychmiast się zmienił.

– Dziękuję, ale nie wolno mi spotykać się z klientami na gruncie towarzyskim.

– Bratać się z niższymi rangą? – zapytałem.

– Coś w tym rodzaju.

– Rozumiem.

– Mimo to dziękuję. Bardzo mi to pochlebiło.

– Nie mówmy już o tym.

– Do soboty. – Uśmiechnęła się. – Przyniosę kawę.

– Do soboty – powtórzyłem. – Już się cieszę.

Rozdział 21

Różnica pomiędzy zwycięzcami a przegranymi polega na tym, że zwycięzcy widzą łatwe zbocze, a przegrani tylko górę.

Z dziennika Charlesa Jamesa

Piątek, 29 kwietnia

Nie wiem, co mnie napadło, żeby zaproponować Christine randkę. Może zrobiłem to dlatego, że wcześniej tylko Monice opowiadałem o tak intymnych szczegółach swojego życia. Rzecz w tym, że po ostatniej sesji czułem, że powinniśmy razem zapalić papierosa albo coś takiego.

W piątek rano pojechałem do biura tylko po to, by się upewnić, że wszystko jest gotowe do wyjazdu. Nie było. Amanda czekała na mój przyjazd. Wyglądała na zdenerwowaną.

– Glenn chce z tobą pogadać.

– O czym?

– Ma złe wieści. W drukarni doszło do awarii. Pudełka nie zostały dzisiaj wydrukowane, co oznacza, że będą wysłane dopiero w przyszłą środę.

– Moja prezentacja jest w środę.

– Wiem.

– Zainwestowaliśmy dwieście osiemdziesiąt tysięcy dolarów w wynajem sali i reklamę, a ty mi mówisz, że nie mamy nic do sprzedania?

– Nie mamy najnowszego produktu do sprzedania, ale mamy całą resztę.

– Nie wydałem ponad ćwierć miliona dolarów, żeby sprzedawać stary produkt. Dawaj mi Glenna.

– Już się robi.

Chwilę później do mojego gabinetu nieśmiało wszedł Glenn. Był przerażony.

– Słyszałeś o obsuwie w drukarni – zaczął.

Skrzyżowałem ręce na piersiach.

– Nie. Słyszałem o twojej obsuwie. Płacę ci, żebyś pilnował, abym dostawał to, czego potrzebuję, kiedy tego potrzebuję. Czy dostanę pakiety *Złoty internet*, gdy będę ich potrzebował?

– Nie.

– Zła odpowiedź. I nie mów mi, kto zawalił. Ty zawaliłeś. A porażka nie wchodzi w grę. Rozumiesz?

– Tak.

– W takim razie powiem ci, jak to widzę. Jeśli nie zamierzasz zwrócić mi ćwierć miliona dolarów, które włożyłem w promocję, dostarczysz mi sześćset pudełek do Cincinnati do północy we wtorek trzeciego maja. Nawet gdybyś musiał ręcznie opisać każdy pakiet i samemu przywieźć go do Ohio.

– Tak jest.

– Powiedz tym z Progressive Printing, że jeśli chcą nadal zarabiać na nas ponad milion rocznie, to wezwą pracowników na nocną zmianę, odłożą zlecenia innych klientów albo sami właściciele przyjdą drukować, czyli zrobią wszystko, co konieczne, żeby wykonać dla nas usługę. Zaczęli nas lekceważyć. Daj im jasno do zrozumienia, że jeśli nie skończą naszego zlecenia, my skończymy współpracę z nimi. Mieli tydzień rezerwy. Ich błąd to nie mój problem.

Glenn poruszył się niespokojnie.

– A jeśli się nie zgodzą?

– To znajdziesz bardziej łasą na pieniądze drukarnię i zaproponujesz im nasze warte milion dolarów zlecenia, jeśli wykonają dla nas tę robotę. W Stanach jest przynajmniej tysiąc drukarni, które dałyby się pokroić za taką szansę. Jedyne, co cię ogranicza, to brak chęci, by traktować porażkę jako część życia. Nie obchodzi mnie, jak sobie poradzisz, masz to załatwić. Zrozumiałeś?

– Tak.

– Przyślij mi esemes, gdy to załatwisz.

– Oczywiście.

Nie ruszał się z miejsca.

– Zmiataj stąd. Roboty czeka!

– Tak, oczywiście.

Obrócił się i wybiegł z mojego gabinetu.

Weszła Amanda.

– I co?

– Dostarczy pakiety. Nie obchodzi mnie jak, ale to zrobi.

– Oby mu się udało.

– Uda się – powiedziałem. – Wkrótce zostanie ojcem, a jego żona to sekretnica. Może powinienem do niej zadzwonić.

Amanda się uśmiechnęła.

- Niezły pomysł.
 - Jeśli życie mnie czegoś nauczyło, to tego, że zawsze jest jakiś sposób.
 - A jeśli nie?
- Spojrzałem na nią.
- Wtedy zaczniemy szukać kogoś na miejsce Glenna.

Rozdział 22

Bez pasji jesteśmy skazani na przeciętność.

Z dziennika Charlesa Jamesa

Sobota, 30 kwietnia

Znowu miałem ten sen. Tylko że tym razem było kilka różnic. Po pierwsze, sen był bardziej szczegółowy i bardziej zrozumiały niż wszystkie poprzednie. Płomienie były wyższe i niemal mnie dotykały. Bijące od nich ciepło czułem tak intensywnie, że aż jęczałem z bólu. Z nieba spadały ogniste kule i odbijały się od szosy jak płonący grad. Nie miałem pojęcia, dlaczego mnie nie parzyły ani we mnie nie trafiały. I była jeszcze jedna rzecz. Tym razem wyły syreny. Mnóstwo syren.

Obudziłem się z rękami na uszach, zlany potem i dygocący. Usiadłem na łóżku i spojrzałem na ekran telefonu, żeby sprawdzić godzinę. Czwarta siedemnaście rano. Przyszedł esemes od Glenna.

Progressive Printers gwarantują dostawę minimum 600 pakietów *Złotego internetu* do Cincinnati do środy wieczorem.

Zabawne, jak niewielka zmiana punktu widzenia potrafi w ludziach wyzwolić siłę do przenoszenia gór. Nigdy nie rozumiałem, dlaczego ludzie tak szybko godzą się z porażką. I właśnie dlatego ja jestem szefem, a nie oni.

Zasnąłem jeszcze raz i wstałem o ósmej. Otworzyłem okno. Było pochmurnie, ale ciepło. Włożyłem strój do ćwiczeń, zszedłem do sali gimnastycznej i przez godzinę ćwiczyłem na orbitreku. Potem wziąłem prysznic, ubrałem się, wypilem koktajl proteinowy zblendowany z surowym jajkiem i napojem energetycznym i pojechałem do centrum na wizytę u psychiatry.

*

W poradni doktor Fordham było cicho i dosyć ciemno. Oprócz nas nie było nikogo. Moja terapeutka miała na sobie dzinsy i jasnoniebieskie tenisówki. Po raz pierwszy widziałem ją ubraną tak swobodnie.

– Nieformalna sobota – zauważyłem.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko. Po naszej sesji spotykam się z przyjaciółką.

– Jasne, że nie mam. Jestem wdzięczny, że chciałaś się ze mną spotkać w sobotę.

– To dla mnie przyjemność – powiedziała. – Wejdz.

Wszedłem pierwszy do jej gabinetu i zająłem swoje zwykłe miejsce, po prawej stronie kozetki. Pani doktor usiadła w fotelu.

– Och, przyniosłam kawę. – Wzięła tekturowy kubek ze swojego biurka i podjechała do mnie na fotelu na kółkach. – Proszę.

Wziąłem kawę.

– Dziękuję.

– Proszę bardzo. – Wróciła do swojego biurka. – Jak się czujesz?

– Dobrze.

– Jesteś gotowy do wyjazdu?

Nabrałem głęboko powietrza.

– Fizycznie tak, ale psychicznie... – Pokręciłem głową. – Trochę się martwię.

– Czym?

– Mam problem z rozpaleniem w sobie ognia, wiesz?

– Nie potrafisz wzbudzić w sobie entuzjazmu – powiedziała, nazywając mój problem wprost.

– Nie potrafię.

– Zwykle brakuje nam entuzjazmu, gdy cele głoszone przez nas oficjalnie nie są spójne z naszymi wewnętrznymi pragnieniami. Należy więc zadać pytanie: czy wierzysz w to, co robisz.

Jak zwykle trafiła w samo sedno mojego problemu.

– Wierzę w zarabianie pieniędzy – odparłem. – I wierzę w swoją zdolność do osiągnięcia sukcesów.

– Na czym więc według ciebie polega twój problem?

Przez chwilę wpatrywałem się w podłogę, potem spojrzałem w jej oczy.

– Nie chcę nikogo krzywdzić.

– To nie jest nic złego.

– Ale na tym polega moja praca.

– Więc może masz niewłaściwą pracę.

Znowu spuściłem wzrok.

– Chyba tym nie powinniśmy się zajmować tuż przed moim wyjazdem. Pociski raketowe już zostały wystrzelone.

– Oczywiście.

– Chciałbym opowiedzieć o pewnym zdarzeniu. W zeszłą niedzielę

jadłem kolację ze swoim starym współpracownikiem. Mówiąc dokładnie, swoim byłym mentorem. To on wprowadził mnie do tego interesu. W niedzielę powiedział mi, żebym się wycofał.

– Jak zareagowałeś?

– Bronilem się. Ale jakaś część mnie zaczęła się zastanawiać, czy on nie ma racji. Potem jednak stwierdziłem, że byłaby to rezygnacja.

– Rezygnacja nie zawsze jest zła. Nie powinniśmy trwać w błędzie tylko dlatego, że popełnienie go zajęło nam mnóstwo czasu.

– Jesteś naprawdę mądra.

– Czasem się zdarzy – skwitowała. – Więc ostatnio skończyliśmy na tym, jak poznałeś swoją żonę, Monicę, w autobusie. Mieliśmy rozwinąć ten temat.

Wzięłem głęboki oddech.

– No dobrze. Po przyjeździe do Los Angeles zaproponowała mi, żebym na jakiś czas zatrzymał się u niej.

– I zatrzymałeś się?

– Tak, i to na dłużej, niż planowałem.

Rozdział 23

W Monice podoba mi się wszystko oprócz jej bogatego chłopaka.

Z dziennika Charlesa Jamesa

Siedemnaście lat wcześniej
Los Angeles, Kalifornia

Wieczorem po naszym przyjeździe do Los Angeles poszliśmy z Monicą na spacer po okolicy. Nigdy nie słyszałem o Culver City, a miejsce to było sławne. Swoją siedzibę miały tam MGM Studios (obecnie Sony Pictures). W Culver City mieściła się też firma lotnicza Howarda Hughesa. Powstało tam mnóstwo filmów. I nadal powstaje. Zdecydowanie nie byłem już w Ogden.

Przed powrotem do domu poszliśmy na kolację do baru o nazwie Signature Burger. Monica zamówiła dla mnie specjalność lokalu, alohę – dużego burgera z plastrem ananasa. Nie miałem pojęcia, że można kupić takie rzeczy. To była wspaniała kolacja.

W drodze powrotnej zapytałem Monicę, kim jest Josh.

– To mój chłopak – odparła.

Zmartwiłem się, że ma chłopaka. Bardzo.

– Długo z nim jesteś?

– Parę lat.

– Gdzie się poznaliście?

– Na imprezie. Po rozwodzie rodziców trochę mi odbiło i zaczęłam ostro imprezować. Czytałam, że takie rzeczy się zdarzają po rozstaniu rodziców. Nie mówię, że to usprawiedliwienie, tylko że przyczyna.

– Rozumiem.

– Któregoś wieczoru razem z Carly poszliśmy na imprezę u znajomego znajomego. Po jakimś czasie ktoś wyciągnął LSD. Wcześniej kilka razy się upiłam i paliłam zioło, ale nigdy nie brałam twardych dragów. Obiecałam sobie, że nigdy nie przekroczę pewnej granicy. Ale na tej imprezie wszyscy na mnie naciskali. Bardzo się bałam, ale już zdecydowałam się wziąć, gdy podszedł do mnie starszy, nieznany mi chłopak, wziął mnie za rękę i rzucił: „Idziemy”. Powiedział mi, że widział, że nie chciałam wziąć tych dragów.

On też nie chciał. Wyjaśnił, że w pracy jest testowany na obecność narkotyków i że za dużo zarabia, aby to stracić w taki sposób. Tamtego wieczoru był poniekąd moim wybawcą. Zawiózł mnie do naleśnikarni i gadaliśmy do trzeciej nad ranem.

Okazało się, że tak samo jak ja jest dzieckiem wojskowego, tylko że jego ojciec był wyższy rangą, prawie generałem. Josh przez całą szkołę średnią mieszkał w Niemczech, więc nie miał zbyt wielu przyjaciół w L.A. Zaczęliśmy się spotykać. Jest naprawdę bystry. Płynnie mówi po niemiecku i ma bardzo dobrą pracę w dużej niemieckiej firmie. Dobrze zarabia.

– To dla ciebie ważne? – zapytałem.

– To, że dobrze zarabia? Nie. Ale to znacznie lepsze niż być biednym.

– Jak ja.

– Jak my – powiedziała.

*

Gdy wróciliśmy, przed domem Moniki stał brązowy ford ranger. Skrzynia ładunkowa była pełna kosiarek do trawy oraz innych narzędzi ogrodniczych.

– Zdaje się, że przyjechał twój ogrodnik – powiedziałem.

Roześmiała się.

– Sama jestem swoim ogrodnikiem. Myślisz, że stać mnie na wynajęcie kogoś do koszenia trawników? To Ryan. Widocznie Carly powiedziała mu o tobie. Naprawdę mu zależy.

Gdy szliśmy do domu, z samochodu wysiadł wysoki dwudziestokilkuletni mężczyzna o jasnobrązowych włosach z zakolami. Od razu zauważyłem jego podobieństwo do Carly.

– Cześć, Ryan! – przywitała go Monica.

– Kasa! Wiesz, jak długo tu na ciebie czekam?

Kasa?

– To może powinieneś się najpierw umówić – odparła Monica.

Ryan podszedł do nas i spotkaliśmy się na środku frontowego trawnika.

– To ten chłopak? – zapytał, taksując mnie wzrokiem.

– Charles – przedstawiłem się.

– Charles czy Chuck? – Zanim zdążyłem odpowiedzieć, dodał: – Zresztą nieważne, i tak wymyślę ci ksywkę. Ile masz lat?

Dodałem sobie:

– Osiemnaście.

- Pokaż ręce.
 - Zawsze to robisz, gdy kogoś widzisz po raz pierwszy? – zapytała Monica.
 - Czytam z dłoni.
 - Super – powiedziałem. – Kapuję. – Pokazałem mu dłonie. – Jesse James kazał napadającym ludziom pokazać ręce. Jeśli mieli spracowane, to ich nie okradał.
 - Zawsze wiedziałem, że mam w sobie domieszkę krwi bandyty.
 - Charles ma ją naprawdę – powiedziała Monica. – Jesse James był jego praprapradziadkiem.
 - Coś takiego. Po twoich rękach widzę, że zarabiasz na życie pracą fizyczną.
 - Masz moje uznanie. Mój ojciec pracuje w ogrodach. Ja też.
- Ryan zwrócił się do Moniki:
- Słyszałaś? Powiedział: „Masz moje uznanie”, co mi się bardzo podoba. Ludzie w Kalifornii nie są tacy grzeczni. Znasz może hiszpański?
 - Trochę. *Hablo español lo suficiente para sobrevivir. Comprendo más de lo que hablo.*
 - Całkiem niezłe. Hiszpański z ogólniaka?
 - Coś w tym stylu.
 - Monica powiedziała ci, że szukam ludzi do pracy?
 - Tak jest.
 - Możesz zacząć od jutra?
 - Mogę zacząć dziś wieczorem.
 - Wieczorem nie pracujemy. Zaczynamy za piętnaście szósta rano. To dla ciebie problem?
 - Nie. Zawsze wstaję wcześnie.
 - To dobrze. Tutaj jest gorąco. Zaczynamy tak wcześnie, żeby mieć sjęstę, kiedy jest najgoręcej. Czekać przed domem. Nic nie wkurza robotników bardziej niż czekanie na kogoś, a na pewno nie chcesz źle zacząć pierwszego dnia w pracy.
 - Będę gotowy. Jaka jest stawka?
 - Jedenaście dolarów za godzinę.
- Spojrzałem szybko na Monicę i z powrotem na Ryana.
- Monica mówiła, że płacisz dwanaście.
 - Monica nie podpisuje czeków.
- Monica skrzyżowała ręce na piersiach i patrzyła na niego ze złością. Ryan

wypuścił powietrze z płuc.

– No dobrze. Zobaczymy, jak sobie poradzisz.

– Nie zawiedziesz się – powiedziałem.

– To dobrze. Nie znoszę, gdy mnie ktoś zawodzi. Do zobaczenia *mañana*.

Wsiadł do pick-upa i odjechał.

– Przepraszam cię. Carly powiedziała, że płaci dwanaście – tłumaczyła się Monica.

– Dostanę dwanaście – powiedziałem. – Mówi na ciebie „Kasa”?

– Każdemu wymyśla przezwisko. Na Carly mówi Carl’s Junior. Takie ma hobby. Tobie też coś wymyśli. – Spoważniała. – Skąd znasz tak dobrze hiszpański?

– Mój ojciec jest Meksykaninem.

– Teraz mi głupio, że pytałam cię, czy nie masz nic przeciwko pracy z Meksykanami.

– Nie przejmuj się. Nie wyglądam na Meksykanina.

– Nie masz meksykańskiego nazwiska.

– Miałem. Nazywałem się Gonzales. Zmieniłem je na James. Ale w jednej czwartej jestem Meksykaninem.

– To dobrze.

– To, że zmieniłem nazwisko, czy to, że jestem Meksykaninem?

– To ostatnie – odparła, kierując się do domu. – Jutro na kolację będziemy mieć tacos.

*

Wkrótce zrozumiałem słowa Moniki o jej matce. Przez pierwszy tydzień jej nie widziałem. Z jej istnienia zdałem sobie sprawę, dopiero gdy pewnego razu o trzeciej nad ranem obudziły mnie nieskładne krzyki i piski.

Wyskoczyłem z łóżka, przekonany, że ktoś zaatakował Monicę. Gdy otworzyłem drzwi swojego pokoju, usłyszałem spokojny głos Moniki:

– No dalej, mamó. Idziemy do łóżka.

Poznałem jej mamę następnego dnia po powrocie z pracy. Gdy wszedłem spocony i brudny, przy kuchennym stole siedziała starsza atrakcyjna, ale zniszczona kobieta. Palila papierosa, a przed nią stało piwo. Na mój widok zaczęła krzyczeć:

– Wynoś się! Monica, dzwoń na 911, mamy w domu intruza!

– Przepraszam – powiedziałem, wycofując się z podniesionymi rękami. – Nie wzywajcie policji.

– Mamo, nie! – zawołała Monica, wbiegając do kuchni. – To jest Charles. Kobieta wodziła wzrokiem ode mnie do Moniki i z powrotem.

– Co za Charles?

– Mój przyjaciel. Mieszka tu.

Matka przez chwilę przyglądała mi się badawczo, po czym zaciągnęła się i zapytała:

– Płaci czynsz?

Tylko tyle miała do powiedzenia. Nigdy nie interesowało jej nic innego. Doszedłem do wniosku, że ta kobieta żyje we własnym świecie, w którym mało jest miejsca dla jej córki.

Rozdział 24

Wydaje mi się, że kiedyś ciężka praca była wyżej ceniona od sprytnego uchylania się przed nią.

Z dziennika Charlesa Jamesa

Lubiłem pracować dla Ryana, co było powodem, dla którego zostałem u niego ponad trzy lata. Po pierwszym dniu zgodził się płacić mi dwanaście dolarów za godzinę. Potem rzadko go widywałem. Zarządzał firmą z domu, pojawiał się w pracy tylko po to, by nas skontrolować albo spotkać się z jednym z naszych klientów. Po siedmiu miesiącach wyznaczył mnie na kierownika ekipy, podwyższył mi stawkę na osiemnaście dolarów i dał pick-upa.

Zgodnie z obietnicą wymyślił mi ksywkę. Desperado. Monica przewróciła oczami, gdy jej o tym powiedziałem, ale mnie przezwisko się spodobało. Pasowało do mojego wizerunku spadkobiercy Jessego Jamesa. Reszcie ekipy też się spodobało. Tylko tak mnie wołali. El Desperado.

Ryan miał trzy ekipy. Siedmioosobowa, w której zaczynałem pracę i którą potem kierowałem, w całości składała się z meksykańskich imigrantów.

Wszyscy mieszkali w Compton, w jednej kawalerce z płytą grzewczą, lodówką, którą dostali za darmo od klienta, i małym czarno-białym telewizorem. Nie miałem pojęcia, że nadal istnieją czarno-białe telewizory. Nigdy nie byłem w ich mieszkaniu, wiedziałem o nim tylko z opowiadań Ryana.

Moimi współpracownikami byli José Luis, Alejandro, Miguel i Jorge oraz dwóch niezarejestrowanych imigrantów: drugi Miguel (którego nazywaliśmy Miguel Junior albo Miguel Dos) i Jesús.

Wszyscy byli pracowici, a zwłaszcza Miguel Jr. i Jesús, którzy posyłali prawie całość swoich zarobków rodzinom w Meksyku. Szanowałem ich oddanie rodzinie, ale sam prędzej bym spalił swoje pieniądze, niż posłał je ojcu, choć czasami wysyłałem coś mamie i Mike'owi.

W pierwszych trzech miesiącach pobytu w Kalifornii co tydzień wysyłałem do domu kartkę albo list. Czasami dołączałem pieniądze.

Mike'owi na urodziny posłałem drogie trampki, których nie widziałem w Utah. Nigdy mi nie napisał, czy pasują czy nie. Właściwie nigdy nie dostałem żadnej wiadomości z domu. Nawet od mamy. Początkowo wynajdowałem dla brata i mamy różne usprawiedliwienia, które jednak z biegiem czasu przestały mnie przekonywać. W końcu doszedłem do wniosku, że już ich nie obchodzę, i przestałem pisać. Było mi przykro, ale to ja ich pierwszy zostawiłem. Myślę, że zasłużyłem na takie potraktowanie.

*

Ogrody, które pielęgnowaliśmy, znajdowały się w nieprzyzwoicie bogatych dzielnicach: Beverly Hills i Pacific Palisades. Tamtejsze domy stały w efektownie zaprojektowanych ogrodach z ogromnymi palmami, fontannami, stawami z karpiami koi, strumykami, kaskadami, przechadzającymi się pawiami, jacuzzi i basenami. Prawdę mówiąc, to nie były domy, tylko rezydencje. Albo pałace. Wiele z nich miało więcej niż jeden basen. Jeden miał nawet osobny basen dla psa, owczarka niemieckiego o imieniu Goering.

Jedna z rezydencji należała do Adama Westa – aktora, który grał Batmana w serialu telewizyjnym z lat sześćdziesiątych i którego powtórki oglądałem jako dziecko. Podczas trzech lat pracy w ogrodzie widziałem pana Westa tylko raz. Formowałem brzegi trawników, gdy aktor wyszedł na ceglane patio w białym płaszczu kąpielowym z drinkiem w dłoni. Nie mogłem się powstrzymać i zacząłem mu się przyglądać. Nie przypuszczałem, że West jest już taki stary, mimo to patrzyłem na niego oczarowany. Spojrzał na mnie, zasalutował i wszedł z powrotem do domu. Znieruchomiałem niczym rzeźby wokół mnie, jakbym zobaczył Meduzę. Tak wyglądało moje spotkanie z wielką gwiazdą. Do dziś opowiadam, że kosiłem trawnik u Batmana.

Następnego dnia zapytałem Ryana, czy mogę podejść do drzwi pana Westa i poprosić go o autograf, a Ryan odpowiedział: „Tylko jeśli chcesz wylecieć z pracy”. Nigdy nie powtórzyłem pytania. Jednak w następnej kopercie z moją wypłatą znajdowała się kartka z papeterii Adama Westa z pospiesznie skreślonym zdaniem:

Charles, dobra robota. Adam West

*

Chyba właśnie w tym czasie zacząłem zwracać większą uwagę na różnice

między ludźmi. Uświadomiłem sobie, że w Stanach istnieją kasty. Że istnieją podziały nie tylko ze względu na rasę, ale przede wszystkim ze względu na zamożność i sławę. I że rasy nie można zmienić, ale można stać się bogatym i sławnym. Było to niezwykle cenne spostrzeżenie – chcesz sięgnąć gwiazd, zostań jedną z nich.

Dostałem obsesji na tym punkcie. Zapragnąłem nie bogactwa, ale sławy i prestiżu. Ludzie, u których pracowałem, byli kimś więcej niż tylko bogaczami. Byli półbogami, których inni wielbili, których inni się bali i którym byli posłuszni. Ci ludzie stali ponad prawem. Zachowywali się niewłaściwie, ponieważ inni tego od nich oczekiwali i na to reagowali. Stanowili amerykańską rodzinę królewską. Nareszcie znalazłem to, czego szukałem. Zapragnąłem tego, co mieli ci ludzie.

Jeśli chodzi o sprawy domowe, to z Monicą dobrze mi się układało do przyjazdu Josha. Darzyłem ją coraz większym uczuciem, nic więc dziwnego, że do jej chłopaka poczułem natychmiastową niechęć. Wątpię jednak, czy polubiłbym go w innych okolicznościach. Był arogancki i zarozumiały jak paw, a po doświadczeniach w Utah miałem dość aroganckich i wymuskanych chłopaków.

Spotkaliśmy się po raz pierwszy, gdy wróciłem do domu po dniu wypełnionym ciężką, brudną robotą. Byłem cały, łącznie z głową, spocony i umazany ziemią, a na rękach miałem zadrapania i zaschniętą krew. Tego dnia pracowaliśmy dłużej, wyrywając krzewy róż. Mimo to byłem w dobrym nastroju, bo zaczynał się weekend. Zamierzałem się umyć, a potem, za pieniądze zarobione w nadgodzinach, zaprosić Monicę na kolację i film. Okazało się, że nie miałem szansy nawet jej tego zaproponować.

– Późno wracasz – stwierdziła Monica, gdy wszedłem do domu. Przyjrzała mi się uważnie. – Co ci się stało?

– Musieliśmy wyrwać dwadzieścia metrów krzewów różanych. Szkoda, że nie widziałaś Jorge. Wygląda, jakby go dopadła puma. Poszarpany na strzępy. Może wyskoczmy razem na kolację?

– Chętnie, ale jestem już umówiona. Przepraszam, zapomniałam ci powiedzieć.

– Aha. Z Carly?

– Nie. Z Joshem. Przyjechał na urlop.

Nie skomentowałem tego, więc spojrzała na mnie uważniej.

– Dobrze się czujesz? – spytała.

– Jasne. Jestem tylko zmęczony. I głodny.

– Wstaw mrożone burrito do mikrofal. Mamy jeszcze trochę tych z fasolą i zielonym chili, które tak lubisz.

W tym momencie ktoś zatrąbił trzy razy. Monica jęknęła.

– Och, nie! Już przyjechał, a ja nie jestem jeszcze gotowa. Powiesz mu, żeby wszedł?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, obróciła się i pobiegła do łazienki. Podszedłem do drzwi, w które ktoś walił. Nie pukał. Walił. Otworzyłem. Josh właśnie uniósł rękę, by walnąć po raz czwarty. Na mój widok znieruchomiał.

Przyjrzałem mu się. Wyglądał na znacznie starszego ode mnie, choć Monica mówiła, że dzieli nas tylko pięć lat. Był drobnej budowy ciała, miał na sobie koszulę wizytową i wąskie, damskie spodnie. Na ulicy stał jego jasnoniebieski mercedes kabriolet z opuszczonym dachem.

– Kim jesteś? – zapytał.

– Tym, który pracuje przy projektowaniu ogrodów – odparłem. – Monica nie jest jeszcze gotowa. Prosiła, abym ci powiedział, żebyś wszedł i zaczekał.

Pokręcił głową wyraźnie poirytowany.

– Kobiety – mruknął pod nosem.

Odsunąłem się od drzwi, gdy wchodził.

– Więc to ty masz tę firmę ogrodniczą? – zapytał.

– Nie, to nie ja. – Wyciągnąłem do niego rękę. – Jestem Charles.

Spojrzał na moją dłoń, ale jej nie uścisnął.

– Lepisz się od brudu.

– Zgadza się. Pracuję fizycznie.

Uśmiechnął się ironicznie.

– Ktoś musi.

W tym momencie zjawiała się Monica. Josh nie widział jej od kilku tygodni, mimo to przywitał ją słowami:

– Pospiesz się, bo spóźnimy się na koncert.

– Przepraszam. Późno wróciłam z pracy.

– Dlaczego? Ktoś wykitował?

Monica spojrzała na mnie ukradkiem, jakby zrobiło się jej głupio.

– Dobranoc, Charles – powiedziała.

– Na razie.

Josh spojrzał na mnie, ale nic nie powiedział.

– Co za cham – powiedziałem do siebie po jego wyjściu.

Owinąłem dwa burrito w ręcznik papierowy, włożyłem do mikrofal,

nastawiłem na trzy minuty i poszedłem wziąć prysznic. Spływający ze mnie brud zbierał się u moich stóp i wyglądał jak błoto. Cały czas myślałem o Joshu. Jak ktoś niższy ode mnie może patrzeć na mnie z góry? Dlaczego jestem taki wkurzony?

Rozdział 25

Dla narcyza cały świat jest teatrem, a inni ludzie aktorami drugoplanowymi albo maszynistami sceny.

Z dziennika Charlesa Jamesa

Coraz gorzej znosiłem Josha. Przychodził prawie codziennie. Za każdym razem mnie lekceważył. Po tygodniu zapytałem Monicę, kiedy jej chłopak wyjedzie.

Spojrzała na mnie zdziwiona.

– Dlaczego?

– Bo moglibyśmy razem gdzieś wyjść.

– Jeśli czujesz się samotny, zadzwoń do Carly.

– Nie to miałem na myśli – odparłem.

Josh zaczął przychodzić rzadziej, przynajmniej wtedy, gdy byłem w domu. Nie wiem, czy się mnie bał czy po prostu uważał, że jestem od niego gorszy, ale robił wszystko, abyśmy się nie spotkali. Jeśli byłem na zewnątrz, gdy przychodził, mijał mnie bez słowa.

Od tego, jak traktował mnie, gorsze było jednak to, jak traktował Monicę. Ich związek był jednostronny jak pizza. Było to dla mnie oczywiste, choć bardzo rzadko widywałem ich razem. Josh robił Monice wyrzuty o wszystko, nawet o własne kiksy: gdy na przykład o czymś zapomniał, miał do niej pretensje, że mu nie przypominała. Cały czas mówił o sobie i przerywał Monice, gdy mówiła o swoich sprawach. Zasadniczo traktował innych, jakby byli aktorami drugoplanowymi w sztuce o Joshu. Z trudem się powstrzymywałem, żeby mu nie przyłożyć.

Pewnej nocy postanowiłem szczerze porozmawiać o nim z Monicą. Gdzieś z nim wyszła i wróciła dopiero po pierwszej. Czekałem na nią na kanapie.

– Hej! – przywitałem ją.

– Jeszcze nie śpisz? – zdziwiła się.

– Możemy pogadać?

– Oczywiście. Rano nie idziesz do pracy?

– Idę. Ale muszę z tobą porozmawiać.

Natychmiast spoważniała. Podeszła i usiadła obok mnie.

– Co się stało?

– Chodzi o Josha.

– Tak?

– Czytałem o ludziach takich jak on.

Na jej twarzy pojawił się niepokój.

– Co rozumiesz przez „takich jak on”?

– On jest narcyzem.

– Nawet nie wiesz, co to znaczy.

– Owszem, wiem. Idealnie pasuje do opisu.

– Po prostu jest pewny siebie.

– To nie pewność siebie, jeśli uważa się za lepszego od innych. To narcyzm.

– Przesadzasz.

– Czy pyta cię, co chcesz robić?

– Czasami.

– A jeśli chcesz czegoś, na co on nie ma ochoty?

Wbiła we mnie wzrok.

– Nie jest narcyzem. Ma po prostu silną osobowość. Czekaleś na mnie tak długo specjalnie po to, aby mi to powiedzieć?

– Tak.

– Dlaczego?

– Chcę, żebyś była szczęśliwa.

– Jestem szczęśliwa – odparła z naciskiem. – Myślę, że to ty masz z tym problem. Dobranoc.

Wstała i poszła do swojego pokoju. Czuję się, jakby serce miało mi pęknąć.

Po tej rozmowie już nigdy nie podejmowałem tematu Josha. Nie było sensu. Jednak moja relacja z Monicą się pogorszyła. Nie byłem pewien, jak długo dam radę to znosić. Po trzech tygodniach sprawy stanęły na ostrzu noża. Częściowo dlatego, że Monica była wiecznie poza domem i czułem się u niej jak dziki lokator. Przede wszystkim jednak zżerała mnie zazdrość. Nigdy nie byłem tak bardzo zakochany, nigdy więc nie przeżywałem takiej udreki. Nie mogłem znieść widoku ich obojga razem i nie potrafiłem przestać myśleć o Monice.

W końcu doszedłem do wniosku, że jedyna ucieczka przed cierpieniem prowadzi przez drzwi frontowe. Musiałem odejść. Powiedziałem o tym

chłopakom ze swojej ekipy i Alejandro zaproponował, abym na jakiś czas wprowadził się do nich. Po prostu jeszcze jedno ciało. Nie był to Ritz, nie był to nawet Best Western, ale na pewno było to lepsze od patrzenia na Monicę i Josha, gdy byli razem.

Postanowiłem powiedzieć jej w sobotę wieczorem. Jak zwykle wychodziła gdzieś z Joshem. Od pewnego czasu mówiła mi o tym. Starła się mi pomóc, ale czułem, jakby jeszcze bardziej rozdrapywała ranę w moim sercu.

Tamtego wieczoru wychodziła w wydekoltowanej sukience na ramiączkach, która wspaniale podkreślała jej krągłości. Wyglądała przejmująco pięknie.

Stała przede mną.

– Jak wyglądam?

Postarałem się nie pokazać, jak bardzo na mnie podziałała.

– Dobrze.

Przechyliła głowę.

– Tylko dobrze?

– Tak. To znaczy wyglądasz świetnie. Pięknie. Oszalamiająco.

– Podoba mi się „oszalamiająco” – powiedziała. – Josh kupił mi ją w Beverly Hills. Lubi się mną chwalić.

Odhaczyłem kolejny punkt w charakterystyce narcyza.

– Nie jest trochę za zimno na taką sukienkę?

– Masz rację. Lepiej wezmę sweter. – Pobieгла do pokoju i po chwili wyszła w swetrze. Usłyszeliśmy znajome trąbienie. – Już jest.

– Dlaczego nie podejdzie do drzwi? – zapytałem.

– Nieważne. – Pocałowała mnie w policzek. – Udanego wieczoru.

– Dzięki. Planuję dużą imprezę. Prawdopodobnie z setką kobiet...

– Baw się dobrze! – zawołała i już jej nie było.

Ból ścisnął mi serce.

Po jej wyjściu spakowałem swoje rzeczy – było ich znacznie więcej, niż gdy się wprowadzałem – potem pojechałem do El Rancho, kupiłem dużą butelkę słodkiego napoju gazowanego, chipsy tortilla, meksykańską potrawę z rozgniecionej fasoli, pomidory, pokrojone w kostkę zielone chili i kostkę cheddara. Potem wróciłem i zrobiłem wielki półmisek nachos.

Położyłem się na kanapie i zacząłem oglądać telewizję. Starłem się nie myśleć o Monice. Bezskutecznie. Co ona w nim zobaczyła? Dlaczego nie widzi, jakim jest palantem? W gruncie rzeczy dręczyło mnie inne pytanie:

Dlaczego woli jego ode mnie? Wkurzało mnie, że jestem biedny i nie mogę rywalizować z Joshem. Potem wkurzyłem się jeszcze bardziej, że w ogóle muszę rywalizować. Dlaczego Monica nie widzi, że ją kocham? A może widzi. Może po prostu nie odwzajemnia mojego uczucia.

Wróciła tuż przed drugą. Przysnąłem, obudziłem się jednak na dźwięk otwieranych drzwi. Usiadłem na kanapie i przetarłem oczy.

– Ojej, wystraszyłeś mnie – powiedziała. – Zasnąłeś na kanapie?

– Tak.

Zamknęła drzwi na klucz i weszła do salonu.

– Jak spędziłeś wieczór?

– Imprezując jak zwykle. Z setką kobiet. Wyrzuciłem je przed twoim powrotem.

Uśmiechnęła się rozbawiona.

– Dzięki, że po nich posprzątałeś.

– Drobiazg. A jak twój wieczór?

– W porządku.

Zaczęła zdejmować sweter. Na jej ramieniu spostrzegłem dużego siniaka. Gdy zauważyła, że na niego patrzę, szybko się odwróciła.

– Masz siniaka – powiedziałem.

– To nic takiego – odparła cicho. – Na pewno uderzyłam się w pracy.

– Nie miałaś go, gdy wychodziłaś.

Spojrzała na mnie zniecierpliwiona.

– Widocznie uderzyłam się o drzwi w restauracji.

– To nie od drzwi. Znam się na siniakach. Ten jest od uderzenia pięścią. –

Podszedłem do niej. – Pokaż, obejrzę.

Odsunęła ramię i zakryła je swetrem.

– Czy Josh cię uderzył?

Nie odpowiedziała.

– Monica...

– Tylko w ramię. Nie w twarz ani gdzie indziej.

Poczułem, jak kipi we mnie złość.

– Dlaczego cię uderzył?

Odwróciła się ode mnie.

– Powiedz – nalegałem.

Gdy się do mnie obróciła, jej oczy były pełne łez. Otarła je i powiedziała:

– Wściekł się, że nadal tu jesteś. Powiedział, że mam cię wyrzucić.

Zaniemówiłem na chwilę.

- Co mu odpowiedziałaś?
- Nie zgodziłam się. Wtedy mnie uderzył.
Wstałem i wziąłem swoje klucze.
- Gdzie idziesz?
- Obić mu mordę.
- Nie. Nic nie rób. To nic wielkiego.
- Właśnie że to jest coś wielkiego.
- Proszę. Zostaw to.

Obróciłem się do niej ze złością:

– Nie zamierzam być powodem, dla którego on cię bije. Albo się z nim policzę, albo odchodzę. Masz dwa wyjścia.

– Jeśli odejdziesz, zrobisz mi większą krzywdę niż on.

Nie wiedziałem, jak na to zareagować. W końcu powtórzyłem:

– Dwa wyjścia.

Nic nie powiedziała, więc ruszyłem do swojego pokoju po plecak.

– Jest jeszcze trzecie – powiedziała.

Odwróciłem się.

– Mogłabym odejść od niego.

Wpatrywałem się w nią bez słowa. Wyglądała na przestraszoną i bezbronną.

– Gdybym go zostawiła, chciałbyś być ze mną?

Były to najpiękniejsze słowa, jakie usłyszałem w życiu.

– Zapragnąłem być z tobą w chwili, gdy cię poznałem. A ty chcesz być ze mną?

Potwierdziła kiwnięciem głowy.

– Tak. Bardzo.

– Bardziej niż z Joshem?

– Tak.

Podszedłem, objąłem dłońmi jej twarz i po raz pierwszy przycisnąłem swoje usta do jej ust. Nigdy nie czułem nic równie słodkiego. To była rozkosz. Gdy przerwaliśmy pocałunek, powiedziałem:

– Planowałem odejść dziś wieczorem. Patrzenie, jak ty z nim... Szalałem z zazdrości.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

– Próbowałem. Nie słuchałaś.

– Przepraszam. Bardzo cię przepraszam. Jutro z nim zerwę.

Rozdział 26

To, czego się kurczowo trzymamy, ściąga nas na dno przepaści. Jesteśmy najsilniejsi, gdy nie mamy nic do stracenia.

Z dziennika Charlesa Jamesa

Powinienem był wiedzieć, że Josh nie pozwoli Monice odejść. Narcyzowie tak łatwo nie ustępują. Porażka to zbyt wielki afront dla ich zaburzonej psychiki. Przez następne dwa dni Josh wielokrotnie dzwonił i przysyłał Monice esemesy, aż w końcu zablokowała połączenia od niego.

W sobotę wcześniej rano zebrał się na odwagę i przyjechał. Jak zwykle walnął pięścią w drzwi. Byliśmy jeszcze w swoich łóżkach. Wstałem, wciągnąłem spodenki i wyszedłem z pokoju. Monica już stała przed swoim pokojem.

– To chyba Josh – powiedziała.

– Zajmę się tym.

– Uważaj.

– Na Josha? To tak, jakbym miał się bać pluszowego misia. –
Podszedłem do drzwi i otworzyłem je gwałtownie.

Atakujący je Josh się zachwiał. Po raz pierwszy zobaczyłem go niewymuskanego. Wyglądał, jakby nie spał.

– Przestań walić w nasze drzwi – powiedziałem.

– Gdzie Monica?

– Nie chce z tobą rozmawiać.

– Nie obchodzi mnie, czego ona nie chce.

– Wiem. I dlatego nie chce z tobą rozmawiać.

Mierzył mnie wzrokiem, a potem, ku mojemu zaskoczeniu, nagle zrobił krok w przód, jakby chciał mnie zaatakować.

– Rozumiem, o co tu chodzi. Ogrodnik myśli, że ma szansę u Moniki. –
Zaśmiał się. – Jeśli rzeczywiście tak uważasz, to jesteś głupszy, niż przewidywałem. Masz w ogóle pojęcie, kim jestem i kogo znam? Mój ojciec jest podpułkownikiem armii Stanów Zjednoczonych. Grywa w golfa z senatorami i kongresmenami. Pracuję dla Franz Krauss Deutsche, jednej z największych firm na świecie. Masz pojęcie, ile osób mi podlega?

– Żadnego – odparłem.

– Ponad setka. Ich życie spoczywa w moich rękach. A ty... – Patrzył na mnie z odrazą. – Jesteś nikim. Absolutnie nikim. Mógłbym cię kupić i sprzedać sto razy.

Patrząc na niego, zacząłem się uśmiechać.

– Masz rację. Jestem nikim. Mój ojciec był pijakiem i awanturnikiem. Uciekłem z domu, gdy miałem siedemnaście lat. Pracuję z nielegalnymi imigrantami. Wyrywam z nimi chwasty, koszę trawniki i jeżdżę pożyczonym pick-upem. Nie jestem tak ważną osobą jak ty. – Pochyliłem się. – Tak jak powiedziałeś, jestem absolutnie nikim. – Obniżyłem groźnie głos. – I dlatego powinieneś się mnie naprawdę bać. Bo to znaczy, że nie mam absolutnie niczego do stracenia.

Przełknął ślinę.

– Tak samo jak moi kumple z gangu Sureños – ciągnąłem. – Nie jest dla nich ważne, czy siedzą w pace czy chodzą na wolności. Tu i tam życie jest niebezpieczne i jedyna różnica polega na tym, że w więzieniu dostają darmowe posiłki i miejsce do spania. Więc zanim zaczniesz mi grozić, zastanów się, czym właściwie chcesz mnie przestraszyć. Co chcesz mi zrobić? A potem pomyśl, ile masz do stracenia, śliczny chłopczyku.

Milczał. Zauważyłem, że drżą mu kolana.

– Chcę... – Zaczął się cofać.

– Nie powiedziałem, że możesz odejść.

Znieruchomiał.

– Jeszcze nie skończyłem. – Zrobiłem krok w przód, skracając odległość między nami. – Powiem ci, jak to jest. Może ja i moi kumple z gangu jesteśmy z marginesu, ale nawet my wiemy, że dziewczyn się nie bije. Pewnie masz przyjaciół na wysokich stanowiskach, ale oni muszą przestrzegać zasad albo wypadają. Dla nas nie ma zasad. Jak jesteś na dnie, nie masz gdzie spać. – Dźgnąłem go palcem w pierś. – Następnym razem, gdy zechcesz nękać Monicę, to zanim tu przyjedziesz, przypomnij sobie moje słowa. Jestem nikim i nie mam nic do stracenia. I wtedy zrozumiesz, dlaczego powinieneś się bardzo bać.

Przełknął ślinę, zbyt wystraszony, by się poruszyć.

– A teraz uciekaj, mały człowieczku.

Zrobił kilka kroków w tył, a potem, gdy już był poza moim zasięgiem, powiedział drżącym głosem, najgłośniejszym, jak potrafił:

– Myślisz, że mi na niej zależy? Ona jest dla mnie niczym. Mam

dziewczyny na całym świecie. Tylko się z nią zabawiałem.

– Spieprzaj stąd! – warknąłem. Ruszyłem do niego, więc obrócił się i pobiegł do samochodu. Wskoczył za kierownicę i natychmiast odjechał.

– Tchórz.

Za moimi plecami stanęła Monica.

– Co powiedziałaś?

– Absolutnie nic.

Tak jak się spodziewałem, Josh nigdy więcej się nie pokazał.

Rozdział 27

Monica jest moją drogocenną perłą.

Z dziennika Charlesa Jamesa

Po spędzeniu Josha życie stało się znacznie lepsze. Oboje z Monicą mieliśmy ustalony porządek dnia. Monica pracowała od dziesiątej do osiemnastej w domu opieki Beverly Manor w Pasadenie. Ja wracałem do domu dwie godziny wcześniej, brałem prysznic i sprzątałem. Po jej powrocie razem przygotowaliśmy obiad, potem jechaliśmy na zakupy albo oglądaliśmy telewizję do dwudziestej drugiej, kiedy kładłem się spać. Zawsze kładłem się przed Monicą, ponieważ musiałem wcześniej wstać. Zwykle też, ponieważ pracowałem fizycznie, o tej porze byłem już zmęczony.

Susan, matka Moniki, pojawiała się tylko okazjonalnie – zwykle po kłótni ze swoim chłopakiem, co zdarzało się mniej więcej co dwa tygodnie. Zazwyczaj była pijana. Chyba nigdy nie widziałem jej radosnej.

Ale przynajmniej przychodziła. Ja nie dostałem ani jednej wiadomości od swojej rodziny. Wmawiałem sobie, że to nie ma znaczenia, ale było inaczej. Nie potrafiłem pojąć, jak mojej mamie mogło przestać na mnie zależeć.

Któregoś wieczoru podczas obiadu zapytałem Monicę:

– Dlaczego twoi rodzice się rozwiedli? Dlatego że Susan tyle pije?

– Nie. Zaczęła pić dopiero po rozwodzie – odparła Monica. Patrzyła na mnie z namysłem. – Myślę, że było wiele powodów, ale ostatecznie chodziło o to samo. Oboje zapomnieli, że są swoimi perłami.

– Perłami?

– To z Biblii. Kupiec szukał pereł i kiedy znalazł drogocenną, sprzedał wszystko, co miał, aby ją kupić.

– Mateusza trzynaście czterdzieści pięć do czterdzieści sześć – powiedziałem.

Była trochę zaskoczona, że znam ten werset.

– Więc wiesz, co mam na myśli. Kiedy znajdziesz tę jedyną, staje się dla ciebie tak droga, że jesteś gotów porzucić wszystkich i wszystko, aby tylko móc ją kochać.

– Te perłę – upewniłem się.

- Tę perłę.
- Ty jesteś moją perłą – powiedziałem. – I zawsze nią będziesz.
- A ty moją.

*

To były piękne dni. Słyszałem kiedyś, jak ktoś nazwał okresy radości „idyllą” – czymś w rodzaju niekończącego się lata. Choć moja praca była męcząca, nigdy nie byłem taki spokojny i szczęśliwy. Nikt nie chciał mnie skrzywdzić ani mną rządzić. Nawet mój szef okazał się całkiem demokratyczny. Przede wszystkim jednak byłem wtedy zakochany, co było magią samą w sobie. Nikt nie umiał wzbudzać miłości tak jak Monica. Była piękna zewnątrz i wewnątrz.

Miałem też cel w życiu. Pracując dzień po dniu w ogrodach sławnych i bogatych, marzyłem, by osiągnąć więcej.

*

Czytałem kiedyś, że do szczęścia potrzeba dwóch rzeczy. Kogoś, kogo się kocha, i celu, dla którego warto żyć. Spełniałem oba warunki – miałem miłość pięknej kobiety oraz obsesyjne marzenie o sukcesie. Byłem wtedy za młody, by wiedzieć, że niemożliwe jest pogodzenie jednego z drugim. Ostatecznie mogło mi się udać tylko w jednej dziedzinie.

Rozdział 28

Nic nas tak nie napędza jak głód.

Z dziennika Charlesa Jamesa

Właśnie minął trzeci rok mojego pobytu w Kalifornii, gdy skończyłem dwadzieścia jeden lat. Wieczorem w dniu moich urodzin rozmawialiśmy z Monicą o małżeństwie. Małżeństwie i rodzinie. Monica chciała ją mieć. Była jedynaczką i pewnie dlatego marzyła o dużej rodzinie. Marzyła o piątce dzieci.

Nie była to nasza pierwsza rozmowa o małżeństwie, ale zdecydowanie najpoważniejsza. Chociaż oboje byliśmy bardzo młodzi, Monica chciała, żebyśmy się pobrali. Ja się wahałem. Nie byłem przeciwny, po prostu nie widziałem sensu. Nie czułem przymusu ani nawet potrzeby, ponieważ ślub był dla mnie jedynie formalnością. Zachowywaliśmy się, jakbyśmy już byli małżeństwem. Kochaliśmy się. Byliśmy sobie wierni. Prowadziliśmy wspólnie dom. I żadne z nas nie zarabiało wystarczająco dużo, aby utrzymać rodzinę. Zwłaszcza dużą. Żadna z naszych rozmów nie kończyła się konkretną decyzją.

Wiedziałem jednak, że ta sytuacja nie może trwać w nieskończoność. Jeśli życie mnie czegoś nauczyło, to tego, że nic nie pozostaje takie samo. Susan zaczęła mówić o poślubieniu swojego chłopaka. Gdyby tak się stało, prawdopodobnie sprzedaliby dom, a to by oznaczało, że musielibyśmy coś sobie z Monicą wynająć. Dzięki temu, że nie musieliśmy płacić czynszu, udało się nam zaoszczędzić pokaźną sumę piętnastu tysięcy dolarów. Byłem maniakiem oszczędzania. Wiedziałem, że nie będę pracować w ogrodzie do końca życia – jeśli nie z innego powodu, to chociażby dlatego, by nie upodobnić się do swojego ojca – ale potrzebowałem pracy. Mogłem się odbić, dopiero gdyby pojawiła się jakaś nadzwyczajna okazja. I taka okazja pojawiła się miesiąc po moich dwudziestych pierwszych urodzinach.

W pracy mieliśmy czas sjesty. Leżałem i piłem zimne jarritos z ananasa, gdy usiadł obok mnie Alejandro, najambitniejszy i najwytrwalszy członek mojej ekipy.

– Hej, Desperado. Chciałbyś pójść ze mną na seminarium dziś

wieczorem?

– Jakie seminarium?

– Nazywa się *Mistrz zamożności*. – Patrzył na mnie poważnie. – Nie mam zamiaru do końca życia kosić trawników u bogaczy. Kiedyś ktoś będzie kosić u mnie.

– Amen – powiedziałem. – Ile to kosztuje?

– Jest darmowe.

Byłem sceptyczny.

– Nic nie jest darmowe.

– Wejście jest darmowe. Ale potem sprzedają pakiety i książki, za które musisz zapłacić. Jak na szkoleniu dla agentów nieruchomości.

– A co się stanie, jeśli nic nie kupisz?

– Nic.

Zastanowiłem się.

– No dobra. Pójdę z tobą. O której?

– Zaczyna się o dziewiątej. Powinniśmy wyjechać o ósmej. Będą tłumy.

– Nie spóźnię się.

*

Seminarium *Mistrz zamożności* odbywało się w wielkiej sali balowej hotelu Marriott przy lotnisku w Los Angeles. Gdy weszliśmy z Alejandro, przywitała nas dudniąca, głośna muzyka. W środku zobaczyliśmy tłumy ludzi, na pewno przyszło ponad pięćset osób, i większość miała na sobie stroje biznesowe. Podniecenie było większe niż na dyskotecce. Nigdy wcześniej nie czułem takiej atmosfery i z łatwością uległem jej wpływowi. Jak dla mnie miejsce to pachniało sukcesem.

Seminarium było połączeniem pikniku religijnego, wiecu politycznego oraz warsztatów z samodoskonalenia i miało służyć jednemu celowi: rzekomo temu, by uczynić nas niewypowiedzianie bogatymi dla dobra naszej planety.

Prezenterem był mężczyzna, o którym nigdy wcześniej nie słyszałem, ale który wydawał się znany publiczności: McKay Benson. Zrobił na mnie wielkie wrażenie. Był wysokim mężczyzną około pięćdziesiątki o charyzmatycznym wyglądzie i nienagannym stroju składającym się z granatowego garnituru, wykrochmalonej śnieżnobiałej koszuli i jaskrawoczerwonego jedwabnego krawata oraz pasującej do niego chusteczki wystającej z kieszeni na piersi. Miał gęste szpakowate włosy

i głos, który modulował niczym ewangelista z dawnych czasów.

Po mistrzowsku panował nad widzami, utrzymując ich w stanie zaangażowania i oczarowania zarówno sposobem przekazu, jak i samym przekazem. Opowiedział nam, jak będąc czternastolatkiem, musiał się zaopiekować matką i dwójką rodzeństwa po tym, jak opuścił ich ojciec. W jego głosie było słychać taki ból, że wiele osób wokół mnie płakało, zarówno kobiety, jak i mężczyźni.

– Jest takie chińskie powiedzenie – ciągnął. – Kiedy uczeń jest gotowy, zjawia się nauczyciel. Byłem gotowy. Byłem głodny. – Popatrzył na widownię. – Czy ktoś tu jest głodny?

– Tak! – wykrzyknęli wszyscy.

– Jesteście pewni?

W sali zagrzmiało jeszcze głośniejsze:

– Tak!

– Umieram z głodu! – zawołał siedzący obok mnie mężczyzna.

– Byłem dokładnie w takiej samej sytuacji – powiedział McKay. – Byłem głodny i gotowy i zjawił się nauczyciel, ktoś, kogo się nie spodziewałem. Życzliwy multimilioner, który nauczył mnie tajników zdobywania bogactwa. Chcecie je poznać?

W sali rozległo się gromkie potwierdzenie.

– Choć bardzo bym tego chciał, nie mam czasu, aby usiąść z każdym z was i uczyć was indywidualnie. Mnie nauka tych tajników zajęła miesiące, a ich doskonalenie trwało lata. Poza tym – uśmiechnął się szeroko – nie byłoby was stać na indywidualne sesje ze mną. Stać was za to na ten superskuteczny kurs *Mistrz zamożności*, który stworzyłem, by przekazać wam uniwersalne zasady zdobywania bogactwa.

Przykucnął na krawędzi sceny, by zagadnąć mężczyznę, który siedział daleko ode mnie. Widziałem tylko tył jego głowy.

– Ty tam! Tak, ty. Zadam ci pytanie. Gdyby tu, na tej scenie, był sejf, a w nim milion dolarów, ile byś zapłacił za szyfr? – McKay podsunął mikrofon mężczyźnie. – Proszę, mów do mikrofonu.

– Ile tylko byś chciał – odparł zapytany.

Wszyscy się roześmiali.

– Zła odpowiedź – powiedział McKay. – Właściwa brzmi: najniższą cenę, za jaką byś mi go udostępnił. – Wstał. – Właśnie to dla ciebie zrobiłem. Czekają na ciebie miliony. Tylko ja znam szyfr. Teraz pytanie: Jakiej najniższej ceny mogę od ciebie żądać? Pewnie myślisz o kwocie w okolicach

pięćdziesięciu tysięcy. Oplacaloby się, prawda? Pięćdziesiąt tysięcy, aby dostać milion? Byłbyś głupcem, gdybyś się nie rzucił na tę okazję. Ale ja nie chcę pięćdziesięciu tysięcy. Nie chcę dwudziestu pięciu tysięcy. Nie chcę nawet dziesięciu. Na pewno teraz część was zastanawia się, dlaczego chcę udzielić tej informacji, podać szyfr do sejfu, za tak niską cenę. Abyście nie zlekceważyli wartości mojego daru, powiem dlaczego. – Jego głos złagodniał jak przed szczerym wyznaniem: – Dwadzieścia lat temu złożyłem obietnicę swojemu nauczycielowi, umierającemu milionerowi, który udzielił mi bezcennych lekcji. Powiedział: „McKay, w zamian proszę cię tylko o to, żebyś rzucił drabinę tym, którzy są na dole, gdy sam znajdziesz się na szczycie. Tak jak ja to zrobiłem”.

McKay popatrzył na widownię z czułością kochającego ojca.

– I właśnie teraz to robię. Rzucam drabinę. To mój dar. Mój prezent. Przyjmiecie go? Czy może zamierzacie dalej żyć w rozpaczach? Wiecie, co się mówi o głupocie? Że to robić ciągle to samo i oczekiwać różnych skutków. To o was? Czy może jesteście gotowi przyjąć ode mnie drabinę?

– Rzuć nam drabinę! – zawołał ktoś.

– Weź moje pieniądze! – krzyknął ktoś inny.

McKay się roześmiał.

– Mądrze – powiedział. – Mądrze. Pomyślałem, że wyglądacie na mądrych, gdy tu dzisiaj wszedłem. – Przez chwilę patrzył na swój mikrofon, potem powoli uniósł wzrok. – Ilu z was chce i weźmie drabinę?

Zagrzmiało zbiorowe „Ja!”.

– Powtórzcie za mną – polecił McKay. – Chcę i biorę!

– Chcę i biorę! – krzyknął posłusznie tłum.

– Wstańcie i krzyknijcie. Chcę i biorę!

– Chcę i biorę! – powtórzyli jak echo zgromadzeni.

McKay uśmiechnął się szeroko.

– W porządku. W porządku. Zrozumieliście. Wiedziałem, że jesteście mądrzy.

Szczerze mówiąc, przyszedłem na to seminarium z ciekawości, ale sceptyczny – i pewnie takie samo nastawienie miało wielu uczestników na tej sali – jednak nigdy wcześniej nie doświadczyłem potęgi perswazji grupy. Dopiero kilka lat później w pełni zrozumiałem, jak dobrze była przygotowana od strony naukowej ta mowa, której wysłuchałem, jak fachowo nami manipulowano.

Wkrótce i ja się poderwałem i krzychałem razem z resztą tłumu.

– Powiem wam, co zrobię – oznajmił McKay wielkodusznie. – Na scenie w rogu sali zarezerwowałem dokładnie sto miejsc dla VIP-ów. Tylko dla setki z was. Nie, nie wchodźcie jeszcze. Za minutę wyjaśnię, jak możecie się stać szczęściarzami siedzącymi na tych krzesłach.

Przeszedł na drugą stronę sceny.

– Ile kosztuje drabina, którą oferuję? Wiecie, ile jest warta. Niemal każdej ceny. Ale dzisiaj jej cena wynosi tylko cztery tysiące dziewięćset dziewięćdziesiąt pięć dolarów. – Wszyscy ludzie wokół mnie podnieśli się z miejsc. – Zaczekajcie. Jeszcze nie skończyłem. Jak mówiłem, drabina kosztuje tylko cztery tysiące dziewięćset dziewięćdziesiąt pięć dolarów. Ale pierwszej setce VIP-ów sprzedam ją za jedyne tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt pięć dolarów, czyli oszczędzicie trzy tysiące! Teraz możecie zajmować miejsca.

Nikt nie szedł do VIP-owskich krzeseł normalnym krokiem, wszyscy pędzili jak oszaleli. Dwóch elegancko ubranych mężczyzn zderzyło się ze sobą w przejściu obok mnie i padło jak długich na podłogę. Osoby, które nie poruszały się wystarczająco szybko, rzucały na scenę swoje portfele i karty kredytowe. Nie zdążyły. Policzyłem: sto krzeseł, każde po dwa tysiące. Dwieście tysięcy dolarów w jedną godzinę. Niewiarygodne.

Po raz drugi w życiu poczułem się zafascynowany kimś wybitnym. Co więcej, poczułem, że nareszcie znalazłem właściwą drogę do realizacji swojego marzenia. Właśnie na coś takiego czekałem. Jeśli chciałem być bogaty i sławny, ten mężczyzna wiedział, jak to osiągnąć. Guzik mnie obchodziły lekcje dochodzenia do zamożności, które sprzedawał. Pragnąłem tego, co on demonstrował. Pragnąłem się nauczyć, jak panować nad ludźmi w taki sposób, jak on to robił. Najbardziej zaimponowało mi, że McKay doszedł do tego samodzielnie. Jego dzieciństwo było takie jak moje, a mimo to udało mu się wybić. McKay Benson stał się moim nowym wzorem do naśladowania.

Alejandro był pod mniejszym wrażeniem.

– Człowieku, tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt pięć za pakiet startowy! I trzy tysiąki za główny pakiet. Gdybym miał trzy tysiące, nie potrzebowałbym ich pieprzonego superpakietu. Spadajmy stąd, brachu.

– Jeszcze nie wychodzę – powiedziałem. – Muszę poznać tego gościa.

– Po co?

Spojrzałem na niego poważnie.

– Bo ten gość jest czarodziejem.

*

Godzinę później, gdy tłum już się przerzedził, podszedłem do McKaya Bensaona. Zanim zdążyłem otworzyć usta, sam się do mnie odezwał. Oczy mu błyszczały od ożywienia.

– Czego potrzebujesz, synu?

Pytanie zrobiło na mnie tak duże wrażenie, że na sekundę zbiło mnie z tropu.

– Był pan niesamowity. Jest pan najlepszym sprzedawcą świata.

– Dziękuję.

– Jak pan to zrobił?

– Co rozumiesz przez „to”?

– To, co pan robił na scenie. Ludzie rzucali karty kredytowe. To było jak... magia. Chcę się nauczyć robić to, co pan.

Patrzył na mnie z mieszaniną zdziwienia i zadowolenia. Potem uniósł ręce i zwrócił się do grupki ludzi, którzy nadal go otaczali:

– Bóg zapytał króla Salomona, czy chce bogactwo czy mądrość. Salomon wybrał mądrość, a bogactwo przyszło do niego samo. Mamy tu dzisiaj Salomona.

– Już się pan taki urodził? – zapytałem. – Czy można się tego nauczyć?

– Bardzo mądre pytanie – stwierdził. – Gdy zacząłem to robić, nie potrafiłem sprzedać kubka zimnej wody spragnionemu milionerowi czołgającemu się przez Dolinę Śmierci. A potem przeczytałem książkę, która zmieniła wszystko.

– Jaką książkę?

– A dlaczego miałbym ci to powiedzieć? Zapytałbyś prezesa Coca-Coli o recepturę coca-coli?

– Nie.

– Więc mnie też nie pytaj.

– Będę pracować dla pana za darmo.

– Żebym wyszkolił swojego przyszłego konkurenta?

– Nigdy nie mógłbym być konkurencją dla pana – powiedziałem. – Chciałbym dla pana pracować.

– Do czasu, aż byś przestał chcieć. W końcu każdy odchodzi na swoje.

– Ja jestem inny – zapewniłem. – Tak jak pan miałem ciężkie dzieciństwo. Co sobotę ojciec zabierał mnie na przeszukiwanie kontenerów na śmieci.

Coś w mojej wypowiedzi zrobiło na nim wrażenie. Popatrzył na mnie z nagłym zainteresowaniem.

– Jak się nazywasz?

– Charles James.

– James, jak ten pisarz?

– Jak ten bandyta – odparłem. – Jesse James był moim praprapradziadkiem.

McKay się uśmiechnął.

– To dobrze. Powinieneś to wykorzystać. – Patrzył na mnie jak przez aparat rentgenowski. – Czym pan się obecnie zajmuje, panie James?

– Pracuję w ogrodach w Beverly Hills. W przyszłym roku planuję pójść do college'u.

– Do college'u! – prychnął drwiąco. – College jest dla ludzi, którzy nie potrafią samodzielnie myśleć. Co planujesz studiować?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, stwierdził:

– Nieważne. To nie ma znaczenia. Studia to strata czasu, chyba że studiujesz medycynę albo inżynierię. Więc jesteś ambitny, co?

– Zawsze byłem. Chcę się nauczyć tego, co pan robi. Chcę być taki jak pan.

McKay zwrócił się do grupki otaczających go ludzi:

– Przepraszam na chwilę. Zaraz wracam.

Położył mi rękę na ramieniu i odciągnął od grupy.

– Gdzie mieszkasz?

– W Culver City.

– Gdzie to jest?

– Blisko centrum L.A.

Pokiwał głową.

– To dobrze. W najbliższych czterech tygodniach mamy szesnaście seminariów w Los Angeles i Południowej Kalifornii. Możesz na nie przyjechać?

– Odbywają się wieczorami?

– Zła odpowiedź.

– Tak. Mogę przyjechać – powiedziałem.

– Właściwa odpowiedź. Widziałeś, jak po mojej prezentacji ludzie chodzili wśród widzów i zbierali umowy?

– Widziałem.

– Nazywają się zbieraczami umów. Taką mam dla ciebie robotę. Po

każdej prezentacji idziesz, zbierasz owieczki i bierzesz ich karty kredytowe. Tak to się odbywa. Od chwili gdy schodzę ze sceny, z każdą upływającą sekundą widzowie stają się mniej skłonni do otwarcia swoich portfeli. Zbieracz umów musi mieć pewność siebie i entuzjazm. Potrafisz taki być?

– Potrafię.

– To bardzo dobrze.

– To jest płatne?

Jego brwi powędrowały w górę.

– Powiedziałeś, że chcesz pracować za darmo. Źle usłyszałem?

– Nie.

– Więc byłbym głupcem, gdybym ci płacił, prawda?

– Zgadza się.

– Czy college ci płaci?

– Nie. College kosztuje.

– Widzisz? Już się uczysz. Ciesz się, że nie każę ci płacić za to, że dla mnie pracujesz. A teraz muszę wracać do roboty. Widzimy się na następnym seminarium.

Zwrócił się do niecierpliwie czekających na niego osób.

Tamtego wieczoru wróciłem do domu odmieniony. Przeżyłem objawienie, przemienienie. Powiedziałem Monice, że wiem, co chcę robić przez resztę życia.

Rozdział 29

Przez setki lat ludzie uprawiali alchemię, próbując zmienić ołów w złoto. Nie odnieśli sukcesu, bo używali nie tej szarej substancji, której należało użyć.

Z dziennika Charlesa Jamesa

Przez następne cztery tygodnie towarzyszyłem McKayowi w jego podróży po Południowej Kalifornii. Nadal chodziłem do pracy, ale cztery razy w tygodniu po skończonej robocie wracałem szybko do domu, myłem się, a potem, jeszcze zanim wróciła Monica, jechałem na następne seminarium, czasami bardzo daleko na południe, na przykład do San Diego i Oceanside.

Choć był to program McKaya, występowali też inni prezesi i każdy z nich sprzedawał inny produkt. Robiłem notatki podczas każdej prezentacji, analizując styl i teksty poszczególnych prezesów. McKay, oczywiście, przewyższał umiejętnościami pozostałych i był ulubieńcem tłumów.

Gdy tylko kończyły się prezentacje, zgłaszałem się u pracowników McKaya i pomagałem im zbierać umowy i karty kredytowe.

Wszędzie, gdzie pojawił się McKay, ludzie reagowali tak samo. Niezależnie od rasy, płci czy wykształcenia. Słyszałem wypowiedzi krytyków, że McKay żeruje na niewykształconych, ale to nie była prawda – prawdą było coś wręcz przeciwnego. Im bardziej wykształceni widzowie, tym chętniej wykładali pieniądze. McKay stworzył superopłacalny model działania firmy. Jakby odkręcał kurek, z którego płynęły pieniądze.

Choć praca na dwóch etatach była wyczerpująca, nie wyobrażałem sobie, że mógłbym zrezygnować z seminariów. Gdy przyszła pora wyjazdu McKaya i jego ekipy z Kalifornii, musiałem znaleźć sposób, aby nadal być z nimi, a to znaczyło, że musiałem zrezygnować z pracy w ogrodnictwie.

Poszedłem do McKaya wyjaśnić swoją sytuację. Nie zdążyłem nawet skończyć, gdy powiedział:

– Lubię cię, James. Sprawdź się. Zatrudnię cię na cały etat. Znajdź Claudię i weź od niej formularz W-4.

Nie mogłem się doczekać, aby powiedzieć Monice. Gdy wróciłem do

domu, myła zęby nad umywalką w łazience.

– Udało mi się! Dostałem płatną posadę na seminariach *Mistrz zamożności*.

– Gratulacje. Ile będziesz dostawał?

– Na początek głównie prowizję. Ale dają mi pięćdziesiąt dolców dziennie i dodatkowe pięćdziesiąt za każde wystąpienie plus dwa procent prowizji od każdej umowy, którą zdobędę. Jeden z chłopaków zarabia ponad dziesięć tysięcy miesięcznie.

– Dziesięć tysięcy miesięcznie? – powtórzyła. – A co sprzedajecie?

– Marzenia.

Wypłukała usta.

– Co to znaczy? – zapytała.

– Sprzedajemy pakiety uczące ludzi, jak stać się bogatym. McKay stworzył całe zestawy DVD i CD łącznie z zeszytami do ćwiczeń, które sprzedaje na seminariach. Kosztują od dwóch do dziesięciu tysięcy dolarów.

Monica obróciła się do mnie.

– Trzeba być bogatym, żeby sobie na nie pozwolić.

– Większość ludzi bierze pożyczki.

– To ryzykowne.

– Życie jest ryzykowne – powiedziałem. – I nie zarobisz, jeśli najpierw trochę nie wydasz.

– Nauczili cię mówić takie rzeczy?

– No tak. Powiedziałem coś głupiego?

– Nie. Byłeś całkiem przekonujący. Kiedy zaczynasz?

– W przyszły poniedziałek. Mamy wystąpienie w San Francisco, potem jedziemy do Seattle, Spokane i Portland.

Monica zrobiła duże oczy.

– Wyjeżdżasz z nimi z naszego stanu?

– Oczywiście. Sprzedaż odbywa się podczas trasy.

– Jak długo cię nie będzie?

– Jednorazowo trzy tygodnie, plus minus kilka dni.

Monica patrzyła na mnie, jakbym właśnie poinformował ją o śmierci jej ojca.

– Coś nie tak? – zapytałem.

– Dotąd nie rozstawaliśmy się na tak długo. Polubiłam to, jak żyjemy.

Objąłem ją.

– Ja też. Ale szybko wrócę. I to jest spełnienie naszych marzeń.

Pocałowała mnie.

– Nie moich – powiedziała, patrząc mi w oczy. – Ja już swoje spełniłam.

Rozdział 30

Oświadczyłem się miłości mojego życia.

Z dziennika Charlesa Jamesa

Choć bardzo tęskniłem za Monicą, czułem się świetnie na trasie i z resztą ekipy. Szybko awansowałem. Pod koniec trzeciego miesiąca byłem drugim najlepiej sprzedającym. Dwa miesiące później byłem pierwszy i w nagrodę dostawałem tysiąc dolarów premii tygodniowo. Stawałem się bogaty. W tydzień zarabiałem więcej niż czasami mój ojciec w ciągu roku.

Po raz pierwszy w życiu odkryłem, jakie „pamiątki” zostawiło moje okropne dzieciństwo. Przeszukiwanie kontenerów na śmieci w sobotnie poranki wytworzyło we mnie głęboko zakorzeniony głód sukcesu, którego zwykłe ego czy ambicja nie są w stanie wytworzyć. Życie dało mi porządnie w kość i zmusiło mnie do walki. Z tego powodu różniłem się od pozostałych sprzedawców. Dla mnie sukces nie był zaspokojeniem ego czy zdobyciem prestiżu – był kwestią życia lub śmierci. Porażka oznaczałaby powrót tam, skąd uciekłem. Sukces ratował mnie przed śmietnikami.

Nowością były dla mnie również finansowe skutki mojego sukcesu. Po raz pierwszy w życiu zarabiałem duże pieniądze. Gdy opuszczałem dom rodzinny, nie miałem nawet walizki. Teraz byłem posiadaczem skórzanego zestawu Louisa Vuittona. McKay i kilka osób z naszej ekipy pomogli mi wybrać nowe ubrania, pokazując, co jest atrakcyjne i modne. Pierwszy raz w życiu kupiłem sobie drogie markowe rzeczy. Musiały być drogie. Nie żebym musiał robić na kimś wrażenie, ale czułem potrzebę pewnego rodzaju oczyszczenia. To był mój sposób na zerwanie z przeszłością.

Pół roku po tym, jak zacząłem pracę dla McKaya, podjechałem pod dom bladezłotym kabrioletem bmw 320. Wszedłem do środka.

– Monica!

Wybiegła z łazienki.

– Nareszcie! – Zarzuciła mi ramiona na szyję. Gdy skończyliśmy się całować, powiedziała, nadal przyciskając czoło do mojego czoła: – Myślałam, że przyjedziesz rano.

– Tak chciałem zrobić, ale miałem jeszcze kilka spraw do załatwienia.

– To ja nie jestem twoją najważniejszą sprawą? – zapytała.

– Nie jesteś sprawą. Jesteś moją perłą.

Uśmiechnęła się i znowu mnie pocałowała.

– Bardzo za tobą tęskniłam.

– Ja za tobą też – powiedziałem, odsuwając się od niej. – I mam dla ciebie niespodziankę.

– Jaką?

– Gdybym ci powiedział, nie byłoby niespodzianki. Zamknij oczy. – Gdy zacisnęła powieki, wziąłem ją za rękę i zaprowadziłem na frontową werandę. – Okej, możesz teraz otworzyć.

Zrobiła, o co ją poprosiłem. Przez chwilę patrzyła w osłupieniu.

– Czyj to samochód?

– Twój.

– Mój?

– Idź i go obejrzyj.

– O rany! – wykrzyknęła. Pomknęła jak strzała do auta. Obejrzawszy je z każdej strony, zapytała: – Naprawdę jest mój?

– Naprawdę.

– Jest piękny.

– Nie tak piękny jak ty – powiedziałem. Podałem jej kluczyki. – Przejedźmy się.

Monica wyjechała z naszego osiedla i ruszyła Jefferson Boulevard do punktu widokowego Baldwin Hills. Po powrocie zatrzymała samochód na podjeździe.

– Muszę go pokazać Carly.

– Wiesz, że będzie zazdrosna.

– Oczywiście. – Roześmiała się. – Dlatego chcę jej go pokazać. – Przechyliła się w moją stronę i mnie uściskała. – Jesteś dla mnie bardzo, bardzo dobry. Szkoda, że musisz wyjeżdżać na tak długo.

– Nie zawsze tak będzie – powiedziałem.

– To możliwe?

Nie mogłem odpowiedzieć.

– Jeszcze nie powiedziałem ci najlepszego.

– Istnieje coś takiego?

– Pewnie. Możesz rzucić pracę.

Monica patrzyła na mnie zdezorientowana.

– Ale dlaczego miałabym to zrobić?

- Bo możesz. Dlaczego miałabyś pracować, gdy nie musisz?
- Lubię swoją pracę. Pomagam ludziom. Dzięki niej czuję, że moje życie ma sens. Poza tym ciebie prawie nigdy nie ma w domu. Co miałabym robić?
- Nie wiem. Co robią bogate żony?
- Nie mam pojęcia. Nigdy nie byłam bogata. I nie jestem żoną.
Zmarszczyłem czoło.
- Jeszcze z tym nic nie zrobiliśmy?
Wyprostowała lewą rękę i zaczęła żartobliwie przyglądać się swojemu palcowi serdecznemu.
- Nic tu nie ma. Nadal pustka.
- Najwidoczniej o czymś zapomniałem. – Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem pudełko z granatowego aksamitu.
Monica spojrzała na nie, potem na mnie.
- Co to? – zapytała.
- Sprawa, którą załatwiłem dziś rano.
Wzięła ode mnie pudełko i uniosła wieczko. W środku znajdował się pierścionek z białego złota z dużą perłą otoczoną małutkimi diamentami o szlifie markiza. Na jego widok Monica gwałtownie wciągnęła powietrze.
- Nigdy nie widziałam takiego pierścionka!
- Ma zawsze ci przypominać, że jesteś moją drogocenną perłą.
Do jej oczu napłynęły łzy.
- Och, Charles...
- Wyjdiesz za mnie?
Ponownie zarzuciła mi ręce na szyję.
- Tak, tak, tak. Tysiąc razy tak! – Odchyliła się. – Włóż mi go na palec.
Wyjąłem pierścionek z pudełka i spełniłem jej prośbę.
- Przypomina kwiat – powiedziała. – Diamenty wyglądają jak płatki.
- Jubilerzy nazywają ten pierścionek perłowym kwiatem. To perła słonowodna. Każdy z diamentów waży jedną dziesiątą karata. Diamentów jest dwanaście. Po jednym na każdą godzinę, w której o tobie myślę.
- Jest cudowny – powiedziała, ściskając mnie i całując. – Kiedy się pobierzemy?
– Możemy od razu jechać do urzędu i wszystko załatwić.
- Chcę mieć prawdziwy ślub. Ale wiem, że nigdy nie będzie wyglądać tak, jakbym sobie tego życzyła. Mama na pewno się upije. I zbojkotuje całą imprezę, jeśli przyjedzie tata.
- To może pobierzmy się w Idaho, żeby na naszym ślubie mógł być twój

tata. Carly kupimy bilet na samolot.

Na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Świetny pomysł. A co z twoją rodziną?

Poczułem lekkie ukłucie bólu.

– Zaprosimy ich – powiedziałem. – Boise nie leży daleko od Ogden.

Może przyjadą.

– Oczywiście, że przyjadą. To wielkie wydarzenie.

– Bo ja wiem. Chyba już nie jestem częścią ich świata.

Popatrzyła na mnie ze współczuciem.

– Ich strata. Dla mnie jesteś całym światem. I nawet jeśli będziemy dla siebie jedyną rodziną, będę się uważać za szczęściarę.

Przyciągnąłem ją do siebie.

– Kocham cię.

– Kocham cię całym sercem – powiedziała, ponownie weselejąc. – To kiedy?

– Może w grudniu?

– Dlaczego w grudniu?

– Bo to jedyny miesiąc w roku, kiedy nie organizujemy seminariów.

Rozdział 31

„Jak pies wraca do tego, co zwymiotował...” Księga Salomona 26, 11.

Z dziennika Charlesa Jamesa

W okresie przedświątecznym frekwencja na seminariach drastycznie spadała, dlatego cztery lata wcześniej McKay, godząc się z faktami, postanowił w grudniu dać pracownikom połowę pensji i wysłać ich na urlop. Sam wyjeżdżał wtedy na narty do Vail w Kolorado i wracał pełen energii w pierwszym tygodniu stycznia, gdy ludzie wciąż trwali w noworocznym postanowieniu, by się wzbogacić.

Nasze dwa ostatnie wystąpienia przed urlopem odbyły się w Salt Lake City i Denver. Drugiego dnia w Salt Lake skończyłem pracę o szesnastej, dzięki czemu miałem wolny wieczór.

Salt Lake City leży tylko sześćdziesiąt kilometrów na południe od Ogden, wystarczająco blisko, by odwiedzić rodzinę. Utah był jednym ze stanów na naszej trasie i od pewnego czasu planowałem pojechać do domu. Wysłaliśmy mojej rodzinie zaproszenie na ślub, nie dostaliśmy jednak żadnej odpowiedzi.

Bywałem w Utah, odkąd stamtąd wyjechałem, ale ani razu nie odwiedziłem krewnych. Po prostu bałem się przekonać, że jestem dla nich martwy. Teraz jednak, gdy pogodziłem się z tym faktem, nie czułem już strachu, jedynie ból z powodu odrzucenia. Chciałem mieć jasność: czy mam szansę naprawić relację z bliskimi czy muszę dać sobie spokój.

Liczyłem na to, że naprawię zerwane więzi. Zmieniłem się. Chciałem znowu mieć rodzinę – przynajmniej jej dwoje członków. Mike był teraz starszy niż ja, gdy opuściłem dom. Chciałem się zobaczyć z mamą. Chciałem, żeby była dumna z moich osiągnięć. Myślę, że częściowo chciałem się nawet zobaczyć z ojcem, choć z innego powodu. Chciałem mu pokazać, że bardzo się pomylił co do mnie – że nie byłem nieudacznikiem.

Wypożyczyłem cadillaca. Przyjmujący moje zamówienie pracownik był trochę zaskoczony. Powiedział, że nigdy nie wypożyczał cadillaca nikomu w moim wieku. Może pragnąłem po prostu coś udowodnić, ale ojciec darzył cadillaki skrajnymi uczuciami. Uwielbiał te auta i wściekał się, że nie stać go na nie.

Wypożyczyłem najdroższy model, jaki mieli, i pojechałem do Ogden.

*

Było już po zmroku, gdy wjechałem na swoje dawne osiedle. Poczułem się dziwnie obco, trochę jak żołnierz powracający na pole bitwy wiele lat po zakończonej wojnie.

Dom mojego dzieciństwa wydał mi się cichy i mały. Kiedyś kojarzył mi się z cierpieniem, teraz wyglądał nieszkodliwie. Ziemię pokrywała piętnastocentymetrowa warstwa śniegu, a w powietrzu wirowały malutkie śnieżynki.

Pick-up ojca stał przy bocznej ścianie domu i wyglądał mniej więcej tak samo jak wtedy, gdy odszedłem. Musiał już mieć prawie czterdzieści lat. Cały był przysypany niemal czterocentymetrową warstwą śniegu, łącznie z szoferką i przednią szybą. Jeśli ojciec był w domu, od dawna z niego nie wyjeżdżał.

Zaparkowałem przed domem i brnąc w śniegu, podszedłem do drzwi wejściowych. Lampa na werandzie nadal była stłuczona, odkąd jako dziewięciolatek rzuciłem w nią kamieniem. Ojciec zbił mnie za to trzonkiem od motyki.

Stałem przed drzwiami, niepewny, czy zapukać. Nacisnąłem klamkę. Drzwi nie były zamknięte na klucz, więc powoli je otworzyłem i wszedłem do środka. W pokoju od frontu było ciemno, zimno i śmierdziało pleśnią.

– Jest tu kto? – zawołałem.

Żadnej odpowiedzi.

– Mamo? Mike?

– Kto tam? – dobiegł mnie szorstki głos ojca.

Oczywiście jest w domu, pomyślałem. Podszedłem do drzwi pokoju rodziców. Ojciec leżał w łóżku. Wyglądał staro, żałośnie i beznadziejnie. Jak wszystko wokół niego.

– Patrzcie, kogo to diabli przynieśli – powiedział.

– Gdzie mama?

– Kto to może wiedzieć. Odeszła.

– Dokąd?

– Nie wiem. Nie rozmawia ze mną.

– Jak długo jej nie ma?

– A niby dlaczego mam ci powiedzieć? To twoja wina, że odeszła.

Nie skomentowałem tego.

– Kilka tygodni po tobie. Obwiniała mnie o twoje odejście.
– Co za niesprawiedliwość – zakpiłem. – Przecież byłeś bardzo dobrym ojcem.

Patrzył na mnie z nienawiścią.

– Nie jesteś lepszy ode mnie. Zobaczymy, jakim ty będziesz ojcem.

Porównanie mnie rozwścieczyło. Byłem teraz od ojca większy i dwukrotnie lepiej od niego zbudowany. Miałem ochotę zbić go tak samo, jak on kiedyś bił mnie.

– Jeździsz teraz cadillakiem?

Zdziwiłem się, że wie.

– Dzisiaj tak.

– No patrzcie państwo! Nosi elegancki garnitur, jeździ cadillakiem. Jesteś teraz wielką szychą? Przyjechałeś mi powiedzieć, że powodzi ci się lepiej ode mnie?

– Przyjechałem powiedzieć, że się żenię.

Na chwilę zaniemówił.

– Okej. Już powiedziałeś. Możesz odjechać.

– Gdzie znajdę mamę?

– Pytasz niewłaściwego człowieka.

– Zawsze byłeś niewłaściwym człowiekiem. Co robisz w łóżku o tej godzinie? Jesteś chory?

Przez chwilę patrzył na mnie ponuro, po czym ze złośliwym uśmiechem odsunął kołdrę. Nie miał prawej stopy. Najwyraźniej był po amputacji. Noga wyglądała koszmarnie. Jej widok przyprawił mnie o mdłości.

– Co się stało?

– Cukrzyca. Cały czas ją miałem. Teraz robię sobie zastrzyki. Ale mało pomagają. Lekarz mówi, że jak tak dalej pójdzie, to niedługo oślepnę.

– Jak sobie radzisz? Finansowo?

– Nie twój interes. Jak zawsze zresztą.

Pomimo żalu o przeszłość poczułem litość.

– Potrzebujesz czegoś? – zapytałem.

Wykrzywił twarz.

– Chcesz wiedzieć, czy czegoś potrzebuję – zadrwił. – Niczego od ciebie nie chcę. Odszedłeś, to nie wracaj. Nie jesteś tu mile widziany, chłopcze.

– Nigdy nie byłem. Do widzenia, tato.

Przed wyjściem zajrzałem do swojego dawnego pokoju. Pstryknąłem włącznik światła, ale bez skutku. Żarówka była przepalona. Obejrzałem

wnętrze dzięki lampie w korytarzu. Wszystko wyglądało tak samo, jak zapamiętałem, tylko było mniejsze.

Moje dawne łóżko było zarzucone listami, które napisałem do Mike'a i mamy. Nawet buty, które przysłałem bratu za pierwszą pensję, leżały nieodwinięte z papieru pakowego. Nic dziwnego, że mama i Mike nigdy nie odpisali na moje listy. Nawet nie wiedzieli, gdzie jestem. Nie zabrałem niczego, choć w listach były czeki.

– Nie ma Boga, jestem ja – powiedziałem cicho.

Wyszedłem z domu, nie odzywając się ani słowem do ojca.

– Nie wracaj! – krzyknął, gdy zamknąłem za sobą drzwi.

Włączyłem cadillaca, kilka razy zwiększyłem obroty silnika, po czym, po raz drugi w życiu, opuściłem świat, którego miałem nadzieję już nigdy nie oglądać.

Jednak w uszach brzęczało mi coś, co powiedział ojciec. Coś przykrego. „Zobaczymy, jakim ty będziesz ojcem”.

Kilka lat później słowa te odżyły w mojej pamięci, by mnie prześladować.

Rozdział 32

Bywa, że na cichym już polu bitewnym nawet po wielu latach żołnierz nadal słyszy huk dział.

Z dziennika Charlesa Jamesa

Przed opuszczeniem Ogden podjechałem pod dom Lois Gant, jednej z najbliższych przyjaciółek i avonowskich klientek mamy. Przez drzwi usłyszałem powolne szuranie jej chodzika, a potem dźwięk zdejmowanych łańcuchów i trzask zasuwki. Kobieta wolno otworzyła drzwi. Nie widziałem jej cztery lata, wyglądała jednak, jakby postarzała się o dwadzieścia. A może tylko zapomniałem, że jest bardzo stara.

– O co chodzi? – zapytała.

– Jak się pani czuje, pani Gant?

Przyglądała mi się zaskoczona, jakby nie wiedziała, kim jestem. W końcu zapytała:

– Przepraszam, ale czy my się znamy?

– Jestem Charles James.

Wyraz jej twarzy się nie zmienił.

– Nie znam żadnych Jamesów.

– Przepraszam. Znała mnie pani jako Charlesa Gonzalesa, syna Fiony.

Otworzyła szeroko oczy.

– A niech mnie, Charles. Oczywiście. Wieki minęły. Wejdz, wejdz. – Otworzyła szeroko drzwi.

Wszedłem do jej małego domu i zamknąłem za sobą. Jakby czas się cofnął. Poznałem starą dębową garderobiankę i wiszący w przedpokoju oprawiony w ramkę obraz z Jezusem trzymającym baranka.

– Proszę, siadaj – zachęciła mnie pani Gant.

– Przepraszam, ale nie mogę długo zostać. Muszę wracać do Salt Lake.

– Szkoda. Brakuje mi towarzystwa. A co u twojej mamy?

– Właśnie dlatego tu przyjechałem. Nie widziałem mamy, odkąd stąd wyjechałem. Liczyłem na to, że pani wie, gdzie ona jest.

– Myślałam, że wyjechała z tobą.

– Nie. Wyjechała po mnie. Nie wiem dokąd. Ojciec też nie wie.

– Oczywiście, że nie wie, stary grzesznik. Fiona zawsze była dla niego za dobra.

– Nie zaprzeczę. Więc nie wie pani, gdzie ona jest?

– Przykro mi. Nie miałam od niej żadnych wiadomości, odkąd wyjechała.

– Mimo wszystko dziękuję. Przepraszam za kłopot.

– Jaki tam kłopot! Miło mieć towarzystwo. Poczęstować cię ciasteczkiem?

– Nie, dziękuję.

– Zawsze miałaś ze sobą oreo, kiedy przychodziłaś. Czasami przychodziłaś, żeby dostać je ode mnie. Cały czas mam kilka w kredensie. Bóg mi świadkiem, że ich nie jem. Trzymam je dla dzieci. Ale ty jesteś jedyny, który do mnie przyszedł.

– Może jedno wezmę – powiedziałem.

– W porządku. – Poszła do kuchni, kuśtykając. Wróciła prawie pięć minut później z jednym oreo w chusteczce higienicznej. – Proszę!

Wzięłam ciastko. Wyglądało na stare i zleżałe. Ponieważ w jej domu nic się nie zmieniło, odkąd byłem w nim ostatnio, nie zdziwiłbym się, gdyby ciastko pochodziło z tej samej paczki co to, którym mnie wtedy poczęstowała.

– Dziękuję. Dziękuję za wszystko. Była pani zawsze miła dla mojej mamy.

– Bo tak uczy nas Pan Jezus. Byliście dobrymi dziećmi. Ale ten wasz ojciec to grzesznik, niech mu Bóg wybaczy. Pewnie wszyscy jesteśmy grzesznikami. Słyszałam, że odciął sobie stopę.

– Właśnie od niego wracam. Amputowali mu stopę.

– W Biblii jest napisane, że jeśli twoja prawa stopa cię gorszy, to ją odetnij*. Lepiej wejść do żywota wiecznego kalekim, niż być wrzuconym do ognia wiecznego. Pewnie Bóg pomógł w tym twojemu ojcu.

– Dziękuję.

– Powodzenia w szukaniu mamy. Pozdrów ją ode mnie.

– Pozdrowię. I jeszcze raz dzięki za ciastko.

– Nie ma za co. Pokaż się tu niedługo.

Gdy szedłem do samochodu, zamknęła drzwi. Rzuciłem oreo w krzaki.

* Mt 18, 8.

Rozdział 33

Walt Whitman napisał: „Byliśmy razem. Reszty nie pamiętam”. Myślę, że to dobre podsumowanie dnia.*

Z dziennika Charlesa Jamesa

Pobraliśmy się w piątek 11 grudnia w bazie lotniczej Mountain Home, około sześćdziesięciu kilometrów na południe od Boise. Uroczystość była skromna i jednocześnie na swój sposób wspaniała. Wzięli w niej udział: tata Moniki, Eileen, jego dziewczyna, Carly i Ryan z Kalifornii oraz trzech współpracowników taty Moniki z żonami.

Tuż przed ślubem zadzwoniła mama Moniki i powiedziała, że już jedzie, ale ostatecznie się nie pojawiła. Nigdy się nie dowiedzieliśmy, co się stało. Monica nie pytała.

Jedynymi gośćmi z mojej strony, poza moim byłym szefem, był Steven Vey, kierownik działu inwentaryzacji, i jego żona Taylor. Znałem Stevena, ale nie byliśmy bliskimi kolegami. Domyśliłem się, że przyjechał, bo ze wszystkich pracowników McKaya miał najbliżej. Mieszkał w Meridian, w Idaho, około piętnastu kilometrów na zachód od Boise. McKay gorąco mnie przeproszał, że nie przyjedzie, ale podjął pewne zobowiązania na długo przed tym, jak ogłosiłem datę ślubu.

Ceremonia odbyła się w ośrodku rekreacyjnym bazy i prowadził ją wojskowy kapelan, mormoński kapłan z Mountain Home w Idaho. Po ślubie pojechaliśmy na uroczysty obiad do mieszkania ojca Moniki.

Monica wyglądała niewiarygodnie olśniewająco. To znaczy niewiarygodne było jedynie to, że była moja. Moje uczucia do niej były bliskie uwielbienia. Miała na sobie atłasową sukienkę bez ramiączek w kolorze szampana z koronkowymi aplikacjami (i oczywiście z miniaturowymi perłami) oraz z trenem.

Chyba jedyną rzeczą bardziej zapadającą w pamięć niż jej uroda była jej przysięga. Spojrzała mi w oczy i powiedziała:

– Ślubuję ci dać całą siebie. Do końca życia będę się starała dać ci szczęście. Będiesz moją drogocenną perłą.

– A ty będziesz moją – odparłem. – Zawsze.

*

Noc poślubną spędziliśmy w hotelu Grove w centrum Boise, a następnego dnia w południe poleciliśmy z lotniska Boise do LAX, skąd bezpośrednio poleciliśmy na Maui na nasz miesiąc miodowy. Dzięki rekomendacji McKaya zatrzymaliśmy się w hotelu spa Grand Wailea.

Choć McKay nie mógł być na naszym ślubie, dał nam drogi prezent: zapłacił za trzy doby naszego pobytu w hotelu i wstęp do term, z których według niego byłoby grzechem nie skorzystać.

Hotel okazał się ekskluzywny, tak jak opisał go mój szef. A nawet jeszcze bardziej. W windzie natknąłem się na Michaela Jordana, gwiazdę koszykówki, a całe piętro nad nami zajmował król Arabii Saudyjskiej ze swoimi licznymi żonami.

Choć spędziłem mnóstwo czasu w ogrodach bogatych ludzi, nigdy nie widziałem tak wielkiego bogactwa i piękna. Ale i tak uważałem, że największa piękność na całej wyspie jest przy moim boku. W głębi duszy wielokrotnie zadawałem sobie pytania: Jak zdarzył się ten cud? Jak to możliwe, że biedny, szukający jedzenia w śmietnikach chłopak, wnuk nielegalnego imigranta, znalazł się w takim miejscu z taką dziewczyną jak Monica? Bo to Ameryka, tak? Niewiele brakowało, abym pomyślał, że może Bóg nie nienawidzi mnie aż tak bardzo.

*

Wróciliśmy z Hawajów wypoczęci i opaleni dwa dni przed Bożym Narodzeniem. Carly ubrała naszą choinkę. Były to najlepsze święta w moim życiu, ale w tamtym czasie prawie każdy dzień był najlepszy w moim życiu. Czuję się obłądnie szczęśliwy.

Monica podarowała mi pióro Mont Blanc, zestaw do golenia, własnoręcznie zrobioną książeczkę z kuponami obiecującymi wszelkiego rodzaju względy (o niektórych mógłbym wam opowiedzieć, o innych nie). Ode mnie dostała drogie perfumy, które zachwalała kobieta na kanale Rodeo Drive, oraz naszyjnik z pereł. Jeśli dotąd nie zauważyliście, perły stały się powracającym motywem naszego wspólnego życia.

Było to moje czwarte Boże Narodzenie w Kalifornii, więc zdążyłem się przyzwyczaić do zielonych świąt. Nadal mieliśmy wakacje i chcieliśmy jak najpełniej wykorzystać nasz miesiąc miodowy, więc tydzień pomiędzy Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem spędziliśmy w pensjonacie w dolinie

Napa. Nigdy nie czułem tak głębokiej miłości. Nowy rok zapowiadał się bardzo dobrze. To się chyba nazywa faza miesiąca miodowego. Gdy się pławisz w błogości stanu małżeńskiego, do głowy ci nawet nie przyjdzie, że coś mogłoby się kiedyś popsuć. Była to jednak cisza przed burzą.

* Parafraza zdania z tomu *Żdźbła trawy*.

Rozdział 34

Mówi się, że rozłąka wzmacnia uczucie. Według mnie uczucie wtedy pleśnieje.

Z dziennika Charlesa Jamesa

Na dobre wróciliśmy do domu pierwszego stycznia. To „dobre” było jednak względne. Nazajutrz rano dostałem telefon z pracy w sprawie moich najbliższych lotów. Tryby należącej do McKaya maszyny do zarabiania pieniędzy zaczęły się znowu obracać. Dwa dni później wyleciałem z L.A. do lodowatego Minneapolis. Byłem żałośnie nieprzygotowany na zimno, więc zaraz pojechałem do Mall of America kupić kurtkę.

Pomimo zimna przyjemnie było znowu zobaczyć ekipę, a zwłaszcza McKaya, który był w świetnym humorze i pełen entuzjazmu z powodu powrotu do pracy. Styczeń jest miesiącem, w którym ludzie postanawiają mniej ważyć i więcej zarabiać, więc na nasze seminaria waliły tłumy i tym samym znacząco wzrosła sprzedaż. Właśnie w tym miesiącu byłem świadkiem, jak po raz pierwszy sprzedaż jednego dnia wyniosła milion dolarów.

Codziennie dzwoniłem do Moniki. Właściwie w pierwszych dwóch tygodniach dzwoniłem do niej sześć lub siedem razy dziennie, czasami tylko po to, by usłyszeć jej głos na automatycznej sekretarce. Po pierwszym tygodniu poprosiła, bym nie dzwonił tak często. To zraniło moje uczucia.

– Dlaczego? – zapytałem. – Tęsknię za tobą.

– Ja za tobą też. Chodzi o to, że nie będziesz w stanie ciągle tak robić. Zaczнеш dzwonić coraz rzadziej. Aż w końcu któregoś dnia zapomnisz zadzwonić.

– To się nigdy nie zdarzy – zapewniłem ją.

– Zdarzy się – powiedziała cicho. – Wiem, do czego to prowadzi. Wyjęta z ognia bryła węgla po chwili robi się czarna. Nie chcę, żeby podobnie było z tobą. Chcę, żebyśmy zawsze tak samo cieszyli się z naszych rozmów.

– No dobrze.

– Ustalmy zasadę: jeden telefon co wieczór przed snem i jeden w ciągu dnia.

- A jeśli wydarzy się coś ważnego?
- Potraktujemy to jako wyjątek. Przecież nie będę się złościć, jeśli zadzwonisz.
- A esemesy?
- Wiesz, że nie znoszę ich pisać. Ale mogą być. Umowa stoi?
- Wypuściłem powietrze z płuc.
- Stoi.
- Kocham cię, mój desperado.
- Kocham cię, moja perło.
- *

W trzecim tygodniu stycznia byłem w Omaha w Nebrasce. Po długim dniu pracy piłem drinka z McKayem. W pewnej chwili mój szef powiedział:

- Szkoda, że cię zabraknie wśród sprzedających.
- Serce mi zamarło.
- Zwalniasz mnie?
- Uśmiechnął się.
- Myślę, że jesteś gotowy stanąć na scenie.
- Tego się nie spodziewałem.
- Mówisz poważnie?
- Śmiertelnie poważnie. Od początku idziesz w tym kierunku. Jesteś przystojny, ambitny, masz naturalną charyzmę i znasz historyjki do opowiadania. Ta twoja opowieść o sobotnich porankach w kontenerach na śmieci jest warta złota, a to, że jesteś prawnikiem Jessego Jamesa, jest niemal zbyt dobre, aby było prawdziwe.
- Prapraprawnikiem – sprostowałem.
- Nieważne. Fakty są jak kotwice, to wyobraźnia dodaje nam skrzydeł. W naszym świecie, gdy fakty zaczynają nam przeszkadzać, to je przerabiamy. Na pewno zagramy twoim pokrewieństwem z Jessem Jamesem, ale oczywiście nie będziemy wspominać o wszystkim. Przedstawimy go tylko jako buntownika, od tej jego legendarnej strony. Nie chcemy, aby nasi klienci kojarzyli cię z Jessem Jamesem, który okradał ludzi.
- Co będę sprzedawał?
- Na początek damy ci pakiety redewelopingu na rynku nieruchomości.
- Nigdy tego nie robiłem.
- To bez znaczenia. Potroisz swój dochód.
- Zrobię, co zechcesz – zapewniłem.

– To oczywiście znaczy, że częściej będziesz w trasie. Monica nie będzie się buntować?

– Nie będzie zadowolona, ale zrozumie. Facet musi robić to, co musi.

McKay roześmiał się i uniósł swojego drinka.

– Za to, co facet musi zrobić.

*

Zadzwoiłem do Moniki około północy mojego czasu. W Kalifornii była dopiero dwudziesta druga. Moja żona wyszła na kolację z Carly, z czego bardzo się ucieszyłem. Nie lubiłem, gdy była sama. Gdy jej przekazałem nowinę, krzyknęła z radości. Była tak szczęśliwa, że nie miałem serca powiedzieć jej o wiążącej się ze zmianą dłuższej rozłące.

Nazajutrz McKay pomógł mi przygotować moje pierwsze wystąpienie. Nie musiał się napracować tak bardzo, jak przypuszczałem, bo od miesięcy przypatrywałem się prezentacjom. Nauczył mnie kilku sekretów perswazji grupowej i reedukacji, których tutaj nie zdradzę.

Mój debiut był przeciętny. Nie narobiłem sobie wstydu, ale na pewno jakoś specjalnie nie porwałem widzów. Sprzedaż okazała się umiarkowanie wysoka. Bałem się, jak to skomentuje McKay, ale on tylko poklepał mnie po plecach i powiedział:

– Świetnie sobie radzisz. Trzeba czasu, aby zbudować stradivariusa.

Dwa dni później robiłem kolejną prezentację, tym razem w Kansas City. Poszło mi lepiej – podobnie ze sprzedażą, która była prawie dwukrotnie wyższa. Trzecia prezentacja była jeszcze lepsza, a czwarta oszałamiająca. Jest coś niesamowitego w kontakcie z tłumami ludzi. Doświadczeni prezenterzy nazywają to iluzją światła sceny – uwielbienie widowni zaczyna się odczuwać jako prawdziwe. To było uzależniające. Oceniając z perspektywy lat, myślę, że właśnie wtedy wszystko zaczęło się psuć. Uzależniłem się od uzależniania od siebie innych.

*

Monica miała rację w sprawie moich telefonów do domu. Pamiętam pierwszy poranek, gdy obudziłem się i zdałem sobie sprawę, że nie zadzwoniłem do niej poprzedniego dnia. Sprawdziłem telefon. Monica dzwoniła do mnie trzy razy, potem przysłała niebieskie serduszko, nasz symbol oznaczający tęsknotę. Presja i pośpiech związane z wystąpieniami wprowadziły mnie do zupełnie innego świata. Przebywanie w innych strefach

czasowych też utrudniało kontakty z domem, prawda była jednak taka, że się zmieniłem. I to pod wieloma względami.

Nie wiedziałem, że prezenter staje się kimś w rodzaju gwiazdy rocka – kimś, za kim jeżdżą fanki. Kobiety zaczęły mi dawać numery telefonów i klucze do pokoi hotelowych, a nawet szły za mną do mojego pokoju. Co jakiś czas zawsze znalazła się pani, która robiła mi niedwuznaczne propozycje. W takich przypadkach uciekałem – tak samo jak biblijny Józef od żony Potifara.

Zacząłem się również spotykać z pretensjami klientów, którzy nie wzbogacili się pomimo zakupu naszych pakietów. Poprzednio, gdy przyjmowałem podpisane umowy, nikogo poza McKayem i dyrektorem sprzedaży nie obchodziło, co robię. Jednak na scenie było inaczej. Byłem twarzą firmy. Byłem tym, który brał pieniądze od ludzi. I kiedy byli niezadowoleni, obwiniali o to mnie.

Jedna z takich nieprzyjemnych sytuacji zdarzyła się w Marriotcie w Dayton w Ohio. Gdy wyszedłem z pokoju, jakiś mężczyzna złapał mnie w korytarzu. Przy pasku miał nóż myśliwski, a jego bicepsy były prawie wielkości moich ud.

Kilka miesięcy wcześniej jego żona kupiła mój program i bezskutecznie próbowała odzyskać pieniądze. Mężczyzna zagroził, że mnie pobije, jeśli ona nie dostanie natychmiastowego zwrotu. Jakoś udało mi się go uspokoić, po czym zadzwoniłem do siedziby firmy i autoryzowałem zwrot. Łatwość, z jaką dostał zwrot, jeszcze bardziej go rozwścieczyła.

– Jesteście oszustami! – wrzasnął na mnie. Potem poszedł do zatłoczonego hotelowego holu i krzyknął:

– Nie dajcie się nabrać tym oszustom z *Mistrza zamożności*! Dobrze pilnujcie swoich portfeli i uciekajcie!

Byłem wstrząśnięty. Po raz pierwszy poważnie zwątpiłem w uczciwość naszej działalności. Wróciłem do pokoju i zadzwoniłem do McKaya, ale nie odebrał. Wieczorem odszukałem jego asystentkę Amandę.

– Wiesz, gdzie jest McKay?

Kiwnęła głową.

– W barze.

– Z kimś?

– Nie. Upija się.

– Muszę z nim pogadać.

Uśmiechnęła się ironicznie.

– Powodzenia – rzuciła i odeszła.

Kilka minut później znalazłem szefa w kącie hotelowego baru. Zobaczył mnie, gdy wszedłem, i przywołał gestem dłoni.

– Hej, Desperado. *Qué pasa?*

– Szukałem cię.

– I znalazłeś. O co chodzi?

– Muszę cię o coś zapytać.

– Siadaj.

Wyjąłem nawilżaną chusteczkę, po czym wytarłem krzesło i usiadłem naprzeciwko McKaya. Dopiero gdy znalazłem się tak blisko niego, zorientowałem się po jego oddechu, ile wypił. Jego szklanka była do połowy napełniona jackiem daniel'sem.

– No? O co chciałeś zapytać?

– Ilu twoim klientom rzeczywiście udało się wzbogacić?

Odparł bez wahania:

– Niewielu. Oczywiście to nie nasza wina. Możesz zaprowadzić konia do wody, ale nie możesz go zmusić, żeby pływał. Ponad połowa nawet nie otwiera pakietów po powrocie do domu.

– Wielu prosi o zwrot pieniędzy?

– Mniej, niżbyś przypuszczał. Osiem i dwadzieścia siedem setnych procent.

Zaskoczyło mnie, że podał bardzo dokładną liczbę.

– Dlaczego tak niewielu?

– Głównie ze wstydu. – Upił łyk i odstawił szklankę. – Z tego samego powodu, dla którego wykupują kartę członkostwa na siłowni, a potem z niej nie korzystają. Nie chcą się przyznać, że są nieudacznikami, którymi rzeczywiście są.

– Więc zwracamy osiem procent zysków ze sprzedaży.

– Skądże, nie! Ostatecznie ta liczba jest mniejsza. Stawiamy kilka przeszkód na drodze do odzyskania pieniędzy. Drobny druk. Tych ludzi nietrudno zniechęcić. Mamy do czynienia z kapitulantami. Stawiasz próg zwalniający, a oni widzą mur. Tacy są nieudacznicy. Ostatecznie mniej niż pół procent z nich dostaje zwrot.

Wpatrywałem się w niego zdumiony.

– Niecały procent odzyskuje swoje pieniądze?

– Szkoda, że nie mniej – powiedział McKay. – Ci nieudacznicy tylko marnują nasz czas. I to jedyne, co im wychodzi. – Znowu pociągnął łyk, tym

razem nie spuszczać ze mnie wzroku. – Ujmę to tak. To, że poszedłeś do college’u, nie znaczy, że dostaniesz pracę. To nawet nie znaczy, że skończysz szkołę. College kończy niecała połowa tych, którzy go zaczęli. Mniej niż dziesięć procent absolwentów znajduje pracę zgodnie ze swoim wykształceniem. Ale widzisz, żeby stali w kolejce po zwrot pieniędzy, które wydali na naukę?

Pytanie wydało mi się retoryczne. Nie wiedziałem, że McKay oczekuje odpowiedzi.

– No, odpowiedz. Widzisz? – naciskał.

– Nie.

– Nasze produkty ujawniają ich nieudacznictwo za o wiele mniejszą kwotę niż przeciętna pożyczka studencka. – Zaśmiał się. – Może wykorzystamy to jako hasło? Kup nasz pakiet, a my pokażemy ci twoje nieudacznictwo.

Nie roześmiałem się.

Pochylił się.

– Coś nie tak? Nagły atak wyrzutów sumienia? Myślisz, że to, co robimy, jest niewłaściwe? Że to manipulacja psychologiczna?

– Tego nie powiedziałem.

– Powiedziałeś, tylko innymi słowami. Czegoś cię nauczę, James. Cały świat jest manipulacją psychologiczną. Włączasz telewizor i już ją masz. Słuchasz radia, a ono cię hipnotyzuje. Manipulacja jest na drogach i w internecie. Nie można od niej uciec: sto milionów istot rywalizujących o piętnaście centymetrów nieruchomości w twojej czasce. To nie dotyczy tylko branży reklamowej. Raperzy zaczynają bełkotać o zabijaniu gliniarzy i gliniarze zaczynają umierać. Taki jest ten świat. Mózg każdego człowieka jest na sprzedaż. Nawet twój. Tylko że my mówimy o tym trochę bardziej otwarcie. – Patrzył na mnie ze złością. – Jeśli masz z tym problem, to jesteś w niewłaściwej branży. Sprzedajemy błękitne niebo. Dajemy ludziom narzędzia do osiągnięcia sukcesu. Czy to się komuś podoba czy nie, pokazujemy im ich prawdziwe ja. Jeśli są zbyt głupi albo zbyt leniwi, aby skorzystać z tego, co im dajemy, to już nie nasz problem. Skazują się na porażkę w obliczu zwycięstwa. Powinniśmy żałować tych głupców? – Patrzył mi w oczy. – Powinniśmy?

– Nie.

– I to jest właściwa odpowiedź. – Przyglądał mi się przez chwilę, po czym powiedział: – Nigdy tego nie zapominaj. Ponieważ gdy jesteś na

scenie, nawet nieudacznicy wyczują twoją niepewność, tak jak świnia wyczuwa trufle. Jesteśmy w tym samym biznesie rozrywkowym co cała reszta.

Nie miałem nic do powiedzenia. Milczałem. McKay, który cały czas mi się przypatrywał, nagle parsknął śmiechem.

– Człowieku, ale masz ponurą minę. Rozchmurz się. Strzel sobie jednego.

– Nic mi nie jest.

– Chyba jednak tak. – Popchnął swojego drinka w moim kierunku. – No dalej. Napij się.

Przeraziłem się na myśl o picciu z jego szklanki. Nie chciałem nawet jej dotknąć.

– Pij – powtórzył.

Przełknąłem łyk, po czym oddałem szklankę. Pod blatem wytarłem dłonie w spodnie, a McKay dopił whiskey.

– Zapytam cię o coś, James. Wiesz, które zwierzę jest najniebezpieczniejsze na naszej planecie?

– Nie.

– Spróbuj zgadnąć.

– Nie wiem. Rekin biały?

– *Homo sapiens*. Jesteśmy drapieżnikami alfa na tej planecie. Końcem łańcucha pokarmowego, panami rzeźni, mistrzami mordy. My kontra oni, zjadasz albo zostajesz zjedzony. Jesteś albo rzeźnikiem, albo bydłem. Nie ma trzeciej opcji. Żadnej szarej strefy. Żadnej przytulnej niszy.

Pochylił się w moim kierunku tak bardzo, że odrzucił mnie jego oddech.

– Na tym świecie nie ma miejsca na sentymenty. Lew nie żałuje antylopy i nie ma zębów do jedzenia trawy. – Jego usta ułożyły się w szeroki, wyniosły uśmiech. – Więc, panie Jamesie, tak samo jak pana praprapradziadek nie ma pan zębów do gryzienia trawy. Nigdy o tym nie zapominaj. Ponieważ ostatecznie to nie współczucie, nie litość, a zwłaszcza nie miłość cię uratują. Tylko znajomość ludzkiej natury. To ona uratuje cię przed kontenerami na śmieci.

Rozdział 35

Myślałem, że dążę do sukcesu, a w rzeczywistości cały czas uciekam przed porażką.

Z dziennika Charlesa Jamesa

Nazajutrz show McKaya pojechał do Cleveland, siedziby galerii sław rock and rolla. Dowiedziałem się o tym fakcie tylko dlatego, że nasz prezenter powtarzał go wielokrotnie, wprowadzając publiczność w stan szaleństwa. Musiałem udawać, że dzielam te emocje.

Nie spałem prawie całą noc, myśląc o tym, co powiedział mi McKay. Doszedłem do wniosku, że miał rację. Chciałem, aby było inaczej, ale nie potrafiłem zaprzeczyć przytoczonym przez niego faktom. Monica i ja żyliśmy teraz lepiej niż wcześniej. Praca u McKaya była jak VIP-owska przepustka do luksusowego życia: samochodów, jedzenia, strojów i przede wszystkim statusu. Prawie całe życie żywiłem się tym, co wyrzucali inni. Byłem podporządkowany ojcu, bity i wystraszony. Strach był moim odwiecznym towarzyszem.

Nie można żyć na tym świecie tak, jakbyśmy chcieli: to myślenie życzeniowe. To tak, jakbyśmy grali w bejsbol i powiedzieli sędziemu, że zasady nas nie dotyczą. To nie w ten sposób się odbywa. Świat to gra z niewzruszonymi zasadami i niewzruszonymi sędziami. Mądrość podpowiada, aby grać według tych reguł, które zostały nam narzucone. To nie moja wina, że są takie, jakie są. To nie ja ustanawiałem zasady. Nawet nie muszę ich akceptować. Ale odrzucić je byłoby głupotą i mogłoby mi zaszkodzić. Takie jest życie. A ja skończyłem ze śmietnikami, używanymi ciuchami i zgniecionymi puszkami. Już nie byłem małym, bezradnym chłopcem. Przyszła pora, abym porzucił strach i stał się bezwzględny. Byłem drapieżnikiem alfa.

*

Gdy schodziłem ze sceny po swojej prezentacji, natknąłem się na McKaya. Kiwnąłem do niego głową, a on odkiwnął mi porozumiewawczo. Sporo wypił poprzedniego wieczoru, więc nie byłem pewny, ile pamięta z naszej rozmowy, ale po wyrazie jego twarzy poznałem, że dużo. Wiedział,

że kupiłem to, co mi sprzedał. Wiedział, że potomek Jessego Jamesa też jest waleczny. A może nawet jest przestępcą.

Po tamtej rozmowie całkowicie poddałem się regułom gry. Żadnych wyrzutów sumienia. Żadnych jeńców. Prezentacje odbywały się jedna po drugiej. Czas płynął. Straciłem rozeznanie, w jakim jestem mieście. Straciłem rachubę dni. Przestałem nawet pamiętać, od ilu dni jestem poza domem. Przejechaliśmy południowo-zachodnie stany, zatrzymując się między innymi w Albuquerque, Santa Fe, Phoenix i Tucson.

Byłem rozgorączkowany. Podróż przynosiła korzyści wszystkim, ale mnie szczególnie. Dostawałem piętnastoprocentową prowizję od pakietów, które sprzedałem, co oznaczało, że w niektóre dni zarabiałem ponad pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

McKay miał rację. Nie miałem zębów do gryzienia trawy. Myśliwi polują. I nie mogą tego robić w domu.

Rozdział 36

Kiedy prom kosmiczny wraca do atmosfery ziemskiej, wchodzi w temperatury powyżej tysiąca pięciuset stopni. Ostatnio atmosfera moich powrotów do domu wydaje się równie gorąca.

Z dziennika Charlesa Jamesa

Nasza sytuacja finansowa była coraz lepsza. Trzy miesiące po moim awansie przeprowadziliśmy się z domu wynajmowanego w Culver City na osiedle w Arcadii, blisko arboretum. Mieszkanie było trochę mniejsze od naszego poprzedniego lokum, ale znacznie ładniejsze. Było nowe, w bloku znajdowały się pływalnia i siłownia, a po terenie osiedla swobodnie przechadzały się pawie. I miało tę zaletę, że nie zjawiała się w nim co kilka tygodni o trzeciej nad ranem pijana matka Moniki.

Jednak dom i finanse to tylko dwa aspekty małżeństwa. Mieliliśmy mnóstwo wszystkiego poza sobą nawzajem.

*

Przed awansem wyjeżdżałem z domu na dwa tygodnie, po czym wracałem na tydzień. Teraz nie było mnie przez miesiąc. To musiało wywrzeć niekorzystny wpływ na nasze małżeństwo. Im dłużej mnie nie było, tym bardziej humorzasta i poirytowana była Monica. W niektóre dni nawet nie odbierała moich telefonów.

Moje powroty do domu stały się trudne. Jakbyśmy potrzebowali czasu, żeby sobie przypomnieć, dlaczego się kochamy. Czasami Monica zaczynała się do mnie odzywać dopiero po kilku godzinach.

Tak właśnie było w pewien piątek wieczorem, kiedy wróciłem z Fort Wayne w Indianie. Przyleciałem późno, po dziesiątej wieczorem. Monica odebrała mnie z lotniska. Włożyłem torbę do bagażnika bmw i wsiadłem. Przechyliłem się, aby pocałować żonę, ale ona patrzyła prosto przed siebie, skupiona na jeździe. Milczała. Po dziesięciu minutach zapytałem:

– Zrobiłem coś złego?

Nie odpowiedziała.

– Jeśli tak, to przepraszam. Nie chciałem cię urazić.

Obróciła się do mnie.

– Może powinieneś się bardziej starać.
– Co to ma znaczyć? – zapytałem oburzony.
– Mam dość. Nie znoszę naszego życia. Nigdy cię nie ma. Nie wyszłam za ciebie, żeby ciągle być sama.

Nic nie powiedziałem i kilka minut jechaliśmy w milczeniu. W końcu powiedziałem:

– Przepraszam. Kiedyś to się zmieni.
– W tej pracy może się zmienić? Jakbyś pracował w cyrku.

Roześmiałem się.

– Rzeczywiście tak to wygląda, jakbym pracował w cyrku.

Nie uśmiechnęła się.

– Posłuchaj, przykro mi z tego powodu, ale takie jest życie. Taką mam pracę. Gdybym studiował medycynę, nigdy byś mnie nie widywała, prawda? Gdybym był w wojsku, przebywałbym poza domem kilka miesięcy. A zarabiam znacznie więcej niż wojskowy. Cholera, nawet znacznie więcej niż lekarz.

Monica się nie odezwała. Gdy przyjechaliśmy na miejsce, wyskoczyła z samochodu i pobiegła do mieszkania. Poszedłem za nią.

– Proszę, nie zachowuj się w ten sposób. Mamy tak mało czasu dla siebie.

– Właśnie o to mi chodzi – powiedziała.

Jęknąłem.

– Okej. Nieważne.

Poszła prosto do naszej sypialni, rozebrała się, wyłączyła światło i położyła się do łóżka. Zdjąłem ubranie i położyłem się obok niej.

– Dobranoc – powiedziałem.

Nie odpowiedziała.

Dzieliły nas centymetry, a równie dobrze mogłem nadal być w Fort Wayne. Pół godziny później usłyszałem, jak płacze.

– Monica, kocham cię.

– Wiem – powiedziała cicho. Obróciła się w moją stronę. – Przepraszam.

Po prostu bardzo mi ciebie brakuje, wiesz?

– Mnie ciebie też. Bardziej, niż umiem wyrazić słowami.

– Kiedy założymy rodzinę?

– Niedługo – odparłem. – Już niedługo.

Przez kilka minut leżeliśmy, obejmując się.

– Tak sobie pomyślałam, że może zrezygnuję z pracy w domu opieki.

– Naprawdę? Myślałem, że ją lubisz.

– Lubię. Ale pomyślałam, że mamy dużo pieniędzy, więc zanim urodzą się dzieci, mogłabym pójść do szkoły pielęgniarstwa. – Patrzyła na mnie czule. – Albo mogłabym podróżować z tobą...

– Byłoby cudownie.

Na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Naprawdę tak uważasz?

– Oczywiście. Będiesz świetną pielęgniarką. Moja mama była pielęgniarką.

Jej uśmiech zgasł. Po chwili powiedziała:

– Okej. Przejrzę programy kursów. – Odwróciła się na drugi bok.

Nie rozumiałem, co złego powiedziałem.

Dziś nie mogę uwierzyć, że mogłem być taki tępy.

*

Choć doskwierała nam rozłąka, nasze życie toczyło się w ten sposób przez następnych kilka lat. Moje zarobki ciągle rosły. Gdy kończył się okres wynajmu naszego mieszkania, wyprowadziliśmy się z Arcadii i za gotówkę kupiliśmy dom w Santa Monica, z drzewkami cytryny, awokado i pomarańczy w ogrodzie.

Monica zapisała się na kurs pielęgniarstwa nie w college'u, ale w jego filii. Nauka bardzo ją absorbowowała. Jej plan zajęć jeszcze bardziej utrudniał nam bycie ze sobą. W miarę upływu czasu coraz częściej przypominałem sobie słowa Moniki o stygnącej bryle węgla. Było oczywiste, że nasz „węgiel” nie był tak gorący jak kiedyś. Nie był zimny, ale z całą pewnością stygł. Nie miałem pojęcia, jak go z powrotem rozżarzyć.

Przyszło mi do głowy, że może rozwiązaniem będzie dziecko, ale Monica się sprzeciwiła.

– Nie chcę być samotną matką – powiedziała. – Byłoby zbyt ciężko. Dla nas wszystkich.

Wiedziałem, że ta sytuacja nie może trwać wiecznie. W końcu zacząłem się zastanawiać, czy nie zrezygnować z pracy. Spłaciliśmy dom i na koncie mieliśmy ponad pół miliona oszczędności.

Problem polegał jednak na tym, że w rzeczywistości wcale nie chciałem zrezygnować. Wtedy tego nie wiedziałem, ale byłem uzależniony od aplauzu tłumu. Wieczorami zastanawiałem się, czy nie jest on dla mnie ważniejszy od miłości mojej żony. Albo od żony. Wiedziałem, że to drugie pytanie jest właściwe.

Również inny problem spędzał mi sen z powiek: pomimo sukcesów, które odnosiłem, nie byłem szczęśliwszy. Gdybym był szczery wobec siebie, a nie byłem, przyznałbym, że jestem zdeterminowany, ale samotny i niezadowolony. Najszczęśliwszy byłem, gdy Monica i ja stanowiliśmy jedność i wiedliśmy proste życie. Był tylko jeden sposób, aby do tego wrócić. Bałem się, że jeśli będę czekał dłużej, może być za późno.

Nie mówiąc nic Monice ani McKayowi, zacząłem planować swoje odejście. A potem zdarzyło się coś, co zmieniło wszystko.

Rozdział 37

W chwili gdy zamierzałem przesiąść się na inne miejsce w pociągu, pociąg zmienił trasę.

Z dziennika Charlesa Jamesa

Byłem w Montgomery, w Alabamie, gdy moje życie znalazło się w punkcie zwrotnym. Może dobrze, że stało się to akurat tam, bo Montgomery jest miastem, w którym dokonują się wielkie zmiany. Podczas wojny domowej było pierwszą stolicą konfederatów, później stało się ośrodkiem walki o prawa obywatelskie. To w Montgomery miał siedzibę zbor baptystów, na którego czele stał Martin Luter King Jr., i to tam doszło do bojkotu autobusów miejskich po aresztowaniu Rosy Parks.

Lubię Montgomery, bo zachowuje pewną staroświeckość, południową formalność i poprawność, których, nie licząc Savannah, nie spotka się nigdzie indziej. (Zwłaszcza w oddalonym o dwieście czterdzieści kilometrów na południe Mobile, gdzie ludzie nadal wierzą w skrzaty i rzucają na scenę ciastka, gdy im się coś bardzo podoba. Idealny teren łowiecki dla McKaya).

*

Właśnie skończyłem bardzo udaną prezentację dla mniej więcej sześciuset uczestników i stałem w tłumie potencjalnych nabywców, gdy zauważyłem, że z odległości kilku metrów przygląda mi się jakaś para.

Przyciągali wzrok, bo nie pasowali do tego miejsca, wyglądali, jakby brali udział w pokazie mody. Oboje byli piękni. On – przystojny i w eleganckim popielatoszarym garniturze, który błyszczał, jakby był wilgotny. Do tego nieskazitelnie ułożone włosy, włoskie buty o ostrych czubkach, biała koszula zapinana na czarne guziczki, bez krawatu. Wyglądał nie tylko modnie – wyglądał na bogatego.

Jeszcze bardziej przyciągała uwagę stojąca obok niego kobieta. Była oszałamiająca – oszałamiająca w photoshopowym stylu. Wyraźnie nie tylko ja tak uważałem, bo niemal każdy, kto obok niej przechodził, zerkał na nią raz i drugi. Była młodsza od towarzyszącego jej mężczyzny, wiekiem zbliżona do mnie, pomiędzy dwudziestym piątym a trzydziestym rokiem życia, i tylko dwa lub trzy centymetry niższa od niego, choć wzrostu

dodawały jej buty na szpilkach. Miała wspaniałą figurę, którą doskonale podkreślała obcisła sukienka z dużym dekoltem. Jej ciemnobrązowe włosy były gładko zaczesane do tyłu. Miała wysokie kości policzkowe i egzotyczne oczy w kształcie migdałów. Powinna być modelką, pomyślałem. Jeśli już nią nie jest.

Nawiązałem krótki kontakt wzrokowy z mężczyzną, a on uśmiechnął się do mnie z wyższością. Emanował pewnością siebie i siłą.

Kiedy otaczający mnie tłum się przerzedził, oboje do mnie podeszli. Czekali cierpliwie, gdy młody student college'u opowiadał mi rozwlekłe o swoich finansowych planach. W końcu skierowałem chłopaka do jednego z podpisujących umowy i zwróciłem się do dwojga nieznajomych:

– Czym mogę państwu służyć?

– Świetnie pan wypadł – powiedział mężczyzna. – Zniewolił pan publiczność.

– Dziękuję. Mają państwo pytania dotyczące mojego pakietu?

Uśmiechnął się.

– Nie potrzebuję pańskiego produktu. Jestem zainteresowany panem.

– Słucham?

– Nazywam się Chris Folger. To moja asystentka Mila.

Kobieta już wcześniej się uśmiechnęła, a teraz nieco przechyliła głowę.

– Dzień dobry.

– Witam – powiedziałem.

Chris podał mi wizytówkę.

GRUPA MENEDŻERSKA FOLGERA

Chris Folger

Prezes

Birmingham, Alabama * Londyn, Anglia

Spojrzałem na niego.

– Co mogę dla pana zrobić, panie Folger?

– Ja mogę zrobić dla pana więcej. Dziś po raz drugi oglądałem pana na scenie. Wczoraj byłem w Birmingham. Radzi pan sobie coraz lepiej.

Zaintrygował mnie. Nie pojmowałem, dlaczego za mną jeździ.

– Myślę, że pana największą zaletą, oprócz oczywistej charyzmy, jest zdolność do wytworzenia wizji w umysłach słuchaczy. Jest pan mistrzem

opowiadania. Historia o potomku Jessego Jamesa jest świetna, podobnie ta z kontenerami na śmieci. Nie wiem, czy są prawdziwe, ale są genialne. Prawdę mówiąc, byłbym pod większym wrażeniem, gdyby żadna z nich nie była prawdziwa.

– Obie są prawdziwe – powiedziałem.

– Mistrzostwo. Mogę zapytać, ile ma pan lat?

– Dwadzieścia pięć.

– Jest pan młody – skomentowała kobieta.

– Dwadzieścia pięć – powtórzył Folger. – I już jest pan lepszy od swojego szefa. Jeśli mogę zapytać, jaki dostaje pan procent? Siedemnaście, dwadzieścia procent? Czy zmiennie?

– Zawsze piętnaście procent – odparłem. Nie wiem, co takiego w nim było, że udzieliłem mu tak osobistej informacji.

Pokiwał głową.

– Nie tyle, ile powinno być, ale jest pan dobry w tym, co robi, więc jestem pewien, że nie czuje się pan pokrzywdzony.

Jego słowa mnie zaniepokoiły.

– W czym mogę panu pomóc, panie Folger?

– Proszę mi mówić Chris. Będę prostacko bezpośredni. Lubię pieniądze, panie James. A sądząc po pana prezentacji, pan też je lubi. Chcę zarobić jeszcze więcej, pomagając panu zarobić więcej, niż się panu kiedykolwiek wydawało możliwe. Mówię o prawdziwych pieniądzach – powiedział z naciskiem na „prawdziwych”. – Takich, za które można kupić dom na plaży w Miami, prywatny odrzutowiec, jeśli rozumie pan, co mam na myśli. – Ściszył głos, jakby zamierzał powierzyć mi sekret. I pewnie tak było. – Podobałoby się panu mieć autorskie seminaria i zarabiać nie tylko pięćdziesiąt procent od sprzedaży, ale też dwadzieścia pięć procent od zysku z każdej prezentacji?

Wpatrywałem się w niego.

– Sprzedać jest łatwo. Prawdziwym wyzwaniem jest zapełnienie miejsc na widowni.

– To z kolei jest łatwe dla mnie. Właśnie tym się zajmuję. To znaczy moja korporacja. Należą do nas firmy organizujące zjazdy i prezentacje. Mamy dwie firmy zajmujące się marketingiem sieciowym i dwa z największych w Stanach konwentów miłośników komiksów. Brakuje nam tylko kogoś, kto robiłby coś takiego jak pan. Moi partnerzy i ja chcemy to zmienić i uważamy, że pan jest odpowiednią osobą. Jesteśmy skłonni

zainwestować w pana wielkie pieniądze, panie James. Jestem gotów podpisać umowę na milion dolarów z roczną gwarancją, aby korzystać z pańskich usług.

Jego oferta mnie oszłomiła.

– Co pan myśli? – zapytał Folger.

Spuściłem wzrok.

– Nie jestem pewny.

Roześmiał się.

– Serio? – zapytał z niedowierzaniem. – Właśnie zaproponowałem panu milion dolarów, a pan nie jest pewny?

Spojrzałem na niego, potem na Milę. Przygryzała dolną wargę.

– A co mogłoby powstrzymać pana przed pracą dla mnie?

– To stało się tak... nagle. Pracuję dla McKaya. Jest moim mentorem.

Chris zwrócił się do Mili:

– Bardzo ładnie. Lojalność. Lubię lojalność. – Ponownie zwrócił się do mnie: – O ile jest dobrze ulokowana. Student nie zostaje w college'u, bo lubi profesora. Idzie w świat robić to, co powinien. W tym wypadku student przerósł nauczyciela.

– Był pan dzisiaj gwiazdą – powiedziała Mila.

– Niech pan spojrzy na to z innej strony – powiedział Folger. – McKay głosi ideę nieograniczonego bogacenia się. Jeśli wzniesie się ponad osobisty interes, powinien być dumny, że chce pan więcej.

Trudno było zarzucić mu brak logiki.

– To samo robią gwiazdy sportu. Czasami sportowcy przechodzą do innej drużyny. To nic osobistego, normalna praktyka. Budujemy nową drużynę. A pan jest zawodowym graczem. Czy to brzmi sensownie?

Kiwnąłem głową.

– Tak.

– Świetnie. Dokąd teraz jedziecie?

– Do Des Moines.

– Des Moines – powtórzył. – Rivière des Moines, Rzeka Mnichów. Jedyne miejsce na świecie, gdzie jedzą smażone masło orzechowe i galaretkę na patyku.

Mila się skrzywiła.

– A ten drugi specjał, który jedli? Oblany czekoladą boczek na patyku?

– Jeśli potrafią to zatknąć na patyku, to na pewno to jedzą – powiedział Chris.

– Nie miałem jeszcze przyjemności – odpowiedziałem.
– Niech mi pan wierzy, to żadna przyjemność. Kiedy wyjeżdżacie?
– Jutro rano. Ale nie muszę się spieszyć. Mamy trzydniową przerwę między prezentacjami.

– Świetnie. Jeśli jest pan zainteresowany zapoznaniem się z moją ofertą, mogę pana zawieźć do Birmingham, oprowadzić po naszych biurach i zaaranżować spotkanie z moimi współpracownikami.

Mila pochyliła się w moim kierunku.

– Grupa Folgera zajmuje się tylko obiecującymi transakcjami, panie James. Uważamy, że pan jest taką transakcją.

– To prawda – potwierdził Chris. – Pytanie tylko, czy i pan tak uważa. Zawahałem się przed odpowiedzią.

– Mam nadzieję, że tak.

Mila się uśmiechnęła.

– Ja też mam nadzieję.

– No więc jest pan zainteresowany?

Spojrzałem na jego wizytówkę, potem na swoich współpracowników i znowu na niego.

– Będę musiał kupić bilet na inny lot.

Uśmiechnął się.

– Świetnie. Cieszę się, że korzysta pan ze swojej własnej rady. Rano przyjadę po pana. Powiedzmy o dziewiątej?

Pokręciłem głową.

– Nie zdążę. O wpół do dziewiątej jem śniadanie z McKayem.

– Która godzina panu odpowiada, panie James? – zapytała Mila.

– McKay wyjeżdża na lotnisko około dziesiątej.

– To może podjadę po pana o dziesiątej czterdzieści pięć? – zapytał Chris.

– Powinienem się wyrobić. O której bym wrócił?

– Birmingham leży dziewięćdziesiąt minut drogi stąd.

– Przy twojej jeździe sześćdziesiąt – zauważyła cicho Mila.

Chris się uśmiechnął i ponownie zwrócił do mnie:

– Kiedy musi pan być z powrotem?

– Muszę sprawdzić, na kiedy mogę przebukować lot stąd.

– Nie musi pan wracać do Montgomery – powiedziała Mila. – Byłoby panu dogodniej wylecieć z Birmingham. Stamtąd jest więcej lotów. Chętnie panu pomogę. Dziś po południu sprawdzę loty. Kiedy chciałby pan wylecieć:

jutro wieczorem czy w sobotę rano?

– Jest mi to obojętne – odparłem. – Po przyjeździe do Des Moines będę siedział w pokoju hotelowym.

Chris kiwnął głową.

– Skoro tak, to zarezerwujmy panu lot na sobotę, bo gdy nasze sprawy dobrze się ułożą, możemy zjeść kolację z moimi współnikami i zacząć robić plany. Mila, zarezerwuj panu Jamesowi apartament w Westin.

– Oczywiście – powiedziała, uśmiechając się do mnie. – Gościł już pan w tym hotelu?

– Chyba nie.

– Będzie pan otoczony troskliwą opieką. Gwarantuję.

– Dziękuję.

– To ja dziękuję za rozmowę z nami – powiedział Chris. – Przyszłość przyniesie wiele ekscytujących zmian. Dla nas wszystkich.

– Do widzenia – rzuciła Mila.

Oboje odeszli. Przyszedł mi na myśl fragment z piosenki Eagles: „Może to niebo, a może piekło”^{*}.

^{*} Cytat pochodzi z piosenki *Hotel California*.

Rozdział 38

Przynęta musi błyszczeć i być pożądana, aby wciągnąć ofiarę w sidła.

Z dziennika Charlesa Jamesa

Rano McKay nie usłyszał budzenia telefonicznego i pewnie spóźniłby się na samolot, gdyby nie obudziła go Amanda, jego asystentka. Z konieczności odwołał nasze śniadanie, ale przyszedł do mojego pokoju przed opuszczeniem hotelu.

– Chciałem tylko podzielić się dobrą nowiną – powiedział. – Nakręciłeś wczoraj najwyższą sprzedaż.

– To świetnie. – Po raz pierwszy dokonałem takiej rzeczy.

– Świetnie? Fantastycznie! Przebiłeś nawet mnie. Nikomu to się nie udaje. – Klepnął mnie w ramię. – Cieszę się, że postanowiłem dać szansę temu biednemu chłopcu z kontenerów na śmieci. Do zobaczenia w Des Moines.

– Bezpiecznej podróży.

Zamknąłem za nim drzwi i poczułem przygniatające wyrzuty sumienia. Albo McKay wiedział, że coś się szykuje, albo wszechświat postanowił mnie dręczyć.

*

O dziesiątej czterdzieści zniosłem walizkę do holu i się wymeldowałem. Pięć minut później podjechał po mnie Chris Folger. Był sam w grafitowym bentleyu za pół miliona dolarów. Cenę znałem tylko dlatego, że podczas przestojów technicy rozmawiali głównie o wymarzonych samochodach i wymarzonych kobietach.

Odległość pomiędzy Montgomery a Birmingham wynosi niecałe sto pięćdziesiąt kilometrów, które przejechaliśmy w godzinę. Miła nie przesadzała, mówiąc o upodobaniu Chrisa do szybkiej jazdy. Tuż za Montgomery nacisnął pedał gazu, aby mi pokazać, co potrafi bentley. Aż mnie wcisnęło w oparcie fotela. W głowie poczułem przeciążenie.

– I jakie to uczucie? – zapytał, zwalniając prawie do dozwolonej szybkości. – To sześćset czterdzieści koni mechanicznych.

– Jak w myśliwcu odrzutowym.

– Zgadza się.

Podczas jazdy Chris pytał mnie o dzieciństwo. Nie mógł się nadziwić, że pochodząc z takiego środowiska, zaszedłem tak daleko.

– Trudne dzieciństwo nie zawsze jest przeszkodą – powiedziałem. – Twarde życie utwardza charakter.

Oderwał wzrok od drogi i spojrzał na mnie.

– Dobrze powiedziane. Możesz wykorzystać to na scenie. – Znowu skierował spojrzenie przed siebie. – A więc jeśli chodzi o dziś. Spotkamy się z dwoma moimi współnikami oraz Milą. Pamiętasz Milę?

– Raczej trudno ją zapomnieć – powiedziałem.

– To prawda.

*

Pojechaliśmy bezpośrednio do prywatnej rezydencji Chrisa, budowli w stylu Południa o powierzchni prawie dwóch tysięcy metrów kwadratowych, stojącej na niemal półtorahektarowej posiadłości w Abingdon, dzielnicy Mountain Brook, jednego z najbogatszych przedmieść Birmingham. Ogród był profesjonalnie wypielegnowany, na co z przyzwyczajenia nadal zwracałem uwagę, i jako ofiara manii porządkowania szybko zrobiłem w myślach listę zabiegów, które na pewno zostały tam wykonane.

Do domu prowadził szpaler dojrzałych klonów palmowych. Przed drzwiami wejściowymi znajdował się portyk z betonowymi kolumnami i ceglany łukami. Z boku domu zobaczyłem kort tenisowy oraz basen z rzeźbami i fontanną. Ocenilem, że domek przy basenie jest większy od mojego domu rodzinnego. Ogród Chrisa wyglądał na mniejszy od tych, którymi zajmowałem się w Beverly Hills, ale był równie piękny jak tamte.

Chris wjechał samochodem do garażu, po czym weszliśmy do domu. Wnętrze było przestronne, z marmurowymi podłogami i wysoko sklepionymi sufitami.

Za kuchnią i jadalnią, na stojących przed kominkiem skórzanych kanapach siedzieli Mila oraz dwaj współnicy Chrisa. Ocenilem, że są dobrze po czterdziestce. Jeden z nich z pewnością mierzył ponad dwa metry wzrostu, był opalony, miał jasnobrązowe włosy i koszulkę polo. Drugi z mężczyzn był mojego wzrostu i miał na sobie koszulkę z długim rękawem oraz muszkę. Był dobrze zbudowany i miał ciemne włosy, podobne do moich. Obaj wstali, gdy wszedłem. Tylko Mila siedziała.

– Panowie – powiedział Chris. – To jest pan James. Charles, to moi wspólnicy.

Obaj mężczyźni entuzjastycznie mnie przywitani.

– Jestem Kelly Birch – przedstawił się ten wysoki. – Miło pana w końcu poznać.

– Jeremy Cunningham – powiedział ten drugi.

Wymieniłem z nimi uścisk dłoni.

– Charles James. Proszę mi mówić po imieniu.

Mila siedziała na kanapie. Miała na sobie skórzaną spódniczkę i kremową jedwabną bluzkę z dużym dekoltem. Pomachała do mnie.

– Miło pana znowu widzieć.

– Wzajemnie – zrewanżowałem się.

– To zaczynamy. Proszę, usiądź tutaj – powiedział do mnie Chris, wskazując obity pluszem i pikowany guzikami fotel zwrócony przodem do stojaka. Usiedliśmy wszyscy oprócz Kelly’ego, który podszedł do stojaka.

– Cieszymy się, że jesteś skłonny rozważyć naszą propozycję – zaczął. – Perspektywa współpracy z tobą bardzo nas ekscytuje i myślę, że kiedy zrozumiesz naszą koncepcję, będziesz równie podekscytowany jak my. Jesteśmy przekonani, że współpracując z tobą, uda się nam stworzyć firmę przynoszącą ponad trzysta milionów dolarów dochodu rocznie. Oto ta firma. – Podniósł płótno i odsłonił stylowe logo:

Seminaria Charlesa Jamesa

– I co o tym myślisz? – zapytał Chris.

– Czcionka użyta w tym logo jest taka sama jak na dolarze – powiedział Jeremy. – Taki mały bodziec podprogowy.

Choć Chris wspominał, że będę prowadził seminaria, nie dodał, że planuje nazwać je moim nazwiskiem.

– Będą firmowane moim nazwiskiem?

– Oczywiście – odparł Chris. – Jesteś gwiazdą.

– Zgadza się – powiedział Kelly. – Jesteś twarzą tej maszynerii. Nie wątpię, że Chris powiedział ci o skali naszego zaangażowania. Jesteśmy gotowi wypłacić ci milion dolarów gwarantowanej podstawy w pierwszym roku plus prowizje. Zapewniamy też trzydziestoprocentowy udział w firmie.

Serce waliło mi jak młotem, ale starałem się sprawiać wrażenie tylko nieznacznie zainteresowanego.

Jeremy otworzył aktówkę i wyjął plik kartek.

– Poprosiliśmy naszych prawników, aby przygotowali projekt umowy. –
Podał mi dokument.

Był gruby, liczył około dwudziestu kartek. Przejrzałem je pobieżnie.

– Będę musiał dać to do sprawdzenia mojemu prawnikowi –
powiedziałem, choć nie miałem nikogo takiego. – Oraz żonie.

– Oczywiście – powiedział Chris. – Spodziewaliśmy się tego.

Zacząłem czytać umowę uważnie. Na piątej stronie zobaczyłem coś,
czego nie rozumiałem.

– Co to jest klauzula o poufności posiadanych informacji? – zapytałem.

– Twoja przydatność dla naszego przedsięwzięcia polega nie tylko na
twoich umiejętnościach oratorskich – powiedział Kelly. – Wnosisz do gry
również wiedzę branżową, którą zdobyłeś, pracując u boku McKaya
Bensona. Zakładamy, że znasz jego plany na najbliższy rok, jego strategię
sprzedaży, i wiesz, co robi, że osiąga takie zyski. Klauzula ta stwierdza, że
zgadzasz się udostępnić naszej firmie całą swoją wiedzę, by pomóc nam
pozyskać jak najwięcej twoich dotychczasowych klientów.

– Przez „pozyskać” rozumiesz „ukraść” – stwierdziłem.

– Mówisz to tak, jakby byli czyjaś własnością – skomentował Jeremy.

– Takie są prawa biznesu – powiedział Kelly. – Sednem biznesu jest
rywalizacja.

– Żebyś nie miał złudzeń – dodał Jeremy. – Gramy w ostry bejsbol.

Chris zwrócił się do mnie:

– Nie chcemy sprawiać wrażenia makiawelicznych. Ale w tym świecie
McKay już nie jest twoim przyjacielem, tylko konkurentem. Jeśli jest coś,
czego nie potrafisz zrobić, powinniśmy się o tym dowiedzieć teraz. Bo jeśli
nie wchodzisz w to całkowicie, to my też nie.

Popatrzyłem na nich czworo, potem na gwarantującą mi milion umowę
i jeszcze raz na nich.

– Nie mam zastrzeżeń. Sfinalizujmy to.

Rozdział 39

Syreny, które spotykamy przy drodze do sukcesu, mają ostre zęby.

Z dziennika Charlesa Jamesa

Chłopcy, zanim przejdziecie do szczegółów – odezwała się Mila. – Dochodzi druga. Powinniście zjeść lunch.

– Ma rację – przyznał Chris.

Mila zwróciła się do mnie.

– Lubisz sushi?

– Uwielbiam.

Wstała.

– Zarezerwuję nam stolik w Jinsei – poinformowała Chrisa.

Pojechaliśmy do centrum Birmingham dwoma samochodami: Kelly i Jeremy land roverem, Chris, Mila i ja bentleyem Chrisa. Jinsei to bar sushi o prawdziwie japońskim klimacie – to miejsce, w którym zdejmuje się buty i siada przy niskim stoliku.

Przy lunchu Chris i jego wspólnicy nie rozmawiali o swojej biznesowej propozycji. Kelly i Jeremy opowiadali o najnowszych przedsięwzięciach, których było mnóstwo.

– Kelly był gwiazdą koszykówki w Auburn – powiedziała Mila.

Kelly pokręcił głową.

– Myślałem, że przejdę na zawodowstwo, ale podczas drugiego meczu na turnieju NCAA rozwalilem sobie kolano. Zerwane więzadło krzyżowe przednie.

– Współczuję – powiedziałem.

– Niepotrzebnie. Najlepsze, co mi się przytrafiło w życiu. Dopiero teraz czuję, że żyję. Kariera sportowca jest krótka i nie gwarantuje przyszłości. A tutaj mój potencjał jest nieograniczony. Budujemy imperium.

Chris uniósł kieliszek z ciepłą sake.

– Za nowe imperia!

Wszyscy wypiliśmy toast.

*

Po lunchu pojechaliśmy do oddalonego o kilkanaście kilometrów

biurowca firmy, osobnego, dwupiętrowego budynku ze szkła i cegły stojącego pośród innych równie luksusowych i identycznie wyglądających biurowców. Na frontonie widniał napis z trzydziestocentymetrowych liter:

GRUPA MENEDŻERSKA FOLGER

Pomimo soboty wszędzie widziałem pracowników na swoich stanowiskach. Luksusowa recepcja jaśniała delikatnym złotym światłem sączącym się z alabastrowych kinkietów i oświetlenia podtynkowego. Podłogi wykonano z płytek z białego marmuru. W miejscu ich łączenia położono romby z czarnego marmuru. Długi perski dywan biegł od wejścia do stanowiska recepcji z polerowanego drewna sekwoi i z marmurowym kontuarem. Na turkusowej szybie za biurkiem widniała nazwa firmy wypisana mosiężnymi literami. Powyżej wisiał kryształowy żyrandol.

– Witaj w naszych skromnych progach – powiedział Chris.

– Skromnych? – zapytałem żartobliwie.

Mila dotknęła mojego ramienia.

– Jesteśmy bardzo zamożną firmą.

Zamożną. Przypomniałem sobie, że po raz pierwszy usłyszałem to słowo od Moniki, gdy jechaliśmy autobusem.

Chris zwrócił się do mnie:

– Przykro mi, ale musimy przerwać nasze spotkanie, bo mamy kilka pożarów do ugaszenia. Mila, oprowadź Chrisa po firmie. Za pół godziny zobaczymy się w sali konferencyjnej.

– Bardzo chętnie – powiedziała Mila, ponownie dotykając mojego ramienia. – Proszę, chodź ze mną.

Chris nie przesadził z wielkością firmy. Jedno piętro było prawie w całości zajęte przez dział handlu nieruchomościami. Firma była właścicielem biurowców na Południu i Środkowym Zachodzie. Mila powiedziała mi, że zarządzają aktywami wartymi ponad miliard dolarów.

Ściana przy stołówce była ozdobiona zdjęciami Chrisa oraz jego współników w towarzystwie sławnych osób i celebrytów: aktorów, muzyków i polityków.

Gdy skończyliśmy zwiedzać firmę, Mila zaprowadziła mnie do przeszklonej sali konferencyjnej na głównym piętrze. Chris, Kelly i Jeremy już siedzieli przy stole z polerowanego drewna klonu, otoczonego czternastoma skórzanymi fotelami z wysokimi oparciami.

– Porozmawiajmy o interesach – zagał Chris.

Przez następne cztery godziny planowaliśmy, jak zbudować zarabiającą miliard dolarów firmę. Skupione na mnie zainteresowanie, otaczające mnie bogactwo i liczne pochlebstwa miały oszałamiające działanie. Im bardziej ekscytowałem się przedsięwzięciem, tym łatwiej przychodziło mi ujawnianie niektórych sekretów biznesowych McKaya, które bardzo chcieli poznać jego konkurenci.

– Wiem, kto by się nam najbardziej przydał – powiedziałem, odchylając się na oparcie i splatając dłonie na karku. – Asystentka McKaya, Amanda Glade. Ona wie o tym biznesie więcej niż McKay. Zna wszystkich sprzedawców, harmonogramy produkcji, terminarz imprez, media, wszystko. Żartowaliśmy kiedyś, że gdyby zechciała przejąć firmę, wystarczyłoby, żeby dała McKayowi do podpisania dokument własności, a potem zarezerwowała mu bilet w jedną stronę do Kirgistanu. McKay nawet by nie spojrział na dokument, który by mu podsunęła, i bez niej nigdy by nie trafił z powrotem do domu. Myślę, że nie wiedziałby, w jakim jest mieście, gdyby ona mu nie powiedziała.

Chris przyglądał mi się z powagą.

– Myślisz, że Amanda przejdzie do nas?

– Nie wiem. Ale myślę, że za odpowiednią cenę tak.

– Za ile? – zapytał Chris.

– Ile możecie jej dać?

Mężczyźni popatrzyli na siebie. Potem Jeremy, który, jak wywnioskowałem, był od finansów, powiedział:

– Dwieście tysięcy rocznie plus premia za przejście.

Kelly pokiwał głową.

– Premia za przejście jest kluczowa.

– Ile za przejście? – zapytałem.

– Pięćdziesiąt tysięcy.

– To duża zachęta – stwierdziłem.

– Nie, jeśli potrafi zarządzać firmą – powiedział Chris. Mimo wszystko wyglądał bardziej na zmartwionego niż zadowolonego. – Bardzo ryzykujesz. Jeśli Amanda nie przejdzie, powie wszystko McKayowi. A to może poważnie przeszkodzić nam w realizacji planów.

Wolno pokiwałem głową.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

Przez chwilę wszyscy milczeliśmy, po czym Chris powiedział:

– Ona jest naprawdę taka ważna?

Skinąłem głową.

– Tak.

Po chwili zastanowienia powiedział:

– W porządku. Zrób to.

Myślałem, że jestem mistrzem przekonywania, ale przy tych facetach okazałem się amatorem. Umieli wabić profitami niczym mitologiczne syreny śpiewem. Siła ich perswazji była oszałamiająca. Podpisałem umowę bez wcześniejszej rozmowy z Monicą i prawnikiem, jeszcze przed wyjściem z sali konferencyjnej.

– Gdzie mam przesłać twoje zatwierdzone umowy? – zapytała Mila.

– Wezmę je ze sobą.

– Dam ci coś, w co będziesz mógł je włożyć.

Chris poklepał mnie po plecach.

– Gotowy na jazdę życia, Bandyto Jamesie?

– Wkrótce się przekonamy – odparłem.

*

Wieczorem wszyscy pięcioro zjedliśmy kolację w Shula's Steak House, wyszukanej restauracji będącej własnością Dona Shula, legendy NFL*. Chris polecił mi zupę z homara, filet mignon i ogon homara. Jedzenie było wyborne. Moje podpisanie umowy uczciliśmy butelką Dom Pérignon.

Kilka razy zauważyłem, że Mila na mnie patrzy. Nie odwracała wzroku. Mimo że byłem najedzony, na deser zamówiła dla mnie suflet czekoladowy, po nim cappuccino i drogą szkocką. Byłem zaskoczony, ile towarzyszący mi mężczyźni potrafią wypić. Ja już byłem wstawiony.

W końcu Chris ogłosił koniec wieczoru.

– To był bardzo dobry dzień – powiedział. – Wspaniały wstęp do obiecującej znajomości i przedsięwzięcia. – Podał Mili żeton dla parkingowego. – Muszę jeszcze pogadać. Mogłabyś odwieźć Charlesa do hotelu?

– Z przyjemnością – odparła. – Twoim autem?

– Tak. Odstaw je rano. Mnie odwiezie Kelly.

*

Trochę się zataczałem, gdy wszyscy wychodziliśmy z restauracji. Pożegnaliśmy się, kiedy parkingowy podjechał bentleyem. Chłopak otworzył Mili drzwi, a ja zająłem miejsce dla pasażera, opadając na luksusowe

siedzenie ze skóry. Kręciło mi się w głowie.

– Proszę, zapnij pasy – powiedziała Mila.

– Przepraszam.

Gdy ruszyliśmy, Mila zapytała:

– Jak się czujesz?

– Jakbym za dużo wypił.

Uśmiechnęła się szeroko.

– Nie jesteś przyzwyczajony do takiego picia. Panowie piją jak szewc.

– Marny ze mnie pijak – powiedziałem i dodałem: – Szewc zresztą też.

Roześmiała się.

– A pomijając stan upojenia alkoholowego, jakie to uczucie być dwudziestopięcioletnim milionerem?

– Powiedziałbym, że czuję się... doceniony.

– Doceniony – powtórzyła. – Podoba mi się to. Wiesz, bardzo mi przypominasz Chrisa.

– To znaczy?

– Jesteś ambitny. Lubię ambitnych mężczyzn. Chris dostaje wszystko, czego zapragnie. – Zawahała się, po czym spojrzała na mnie. – A ty dostajesz to, czego pragniesz, Charles?

– Staram się.

– Czego chcesz dziś wieczorem?

Nie byłem pewien, czy miała na myśli to, co myślałem, że ma.

– Spać – odpowiedziałem.

Uśmiechnęła się.

– Dobra odpowiedź. Sen jest dobry.

*

Mila wjechała pod hotelowy portyk, wysiadła z samochodu i dała parkingowemu kluczyki.

– Proszę zanieść bagaż pana Jamesa do apartamentu prezydenckiego.

Młody parkingowy niemal padł przed nią na kolana.

– Oczywiście, proszę pani. Coś jeszcze?

– Nie – rzuciła i odeszła. Wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do holu.

– Powiedziałaś apartament prezydencki? – zapytałem.

Potwierdziła kiwnięciem głowy.

– Yhm.

Gdziekolwiek Mila się pokazała, ludzie się jej przyglądali. Większość

dyskretnie, ale niektórzy robili to otwarcie. Pewien krępy i łysy mężczyzna nie tylko odprowadzał ją wzrokiem, ale też obrócił za nią głowę, potem całe ciało. Stojąca obok niego kobieta dała mu kuksańca.

– Wszędzie tak jest? – zapytałem.

– Co wszędzie?

– Wzbudzasz zainteresowanie.

Uśmiechnęła się, ale nie odpowiedziała. Podeszła do recepcji.

– Czym mogę służyć? – zapytał recepcjonista.

– Zarezerwowałam apartament prezydencki dla pana Jamesa na rachunek firmy pana Folgera.

Mężczyzna spojrział w komputer.

– Zgadza się. Tylko na jedną noc. Ile kluczy do apartamentu będzie potrzebnych?

– Tylko jeden. Pan James jest sam. – Zwróciła się do mnie: – Chyba że chcesz, abym została na noc.

Nie odpowiedziałem. Powinienem był odmówić. Powinienem był uciec.

– Okej – powiedziała filuternie, lekko opierając się o mnie. – Dziś wieczorem jesteś gwiazdą. Jak sobie życzysz. Będzie miło.

Na pewno wyglądałem jak jeleń w światłach reflektorów samochodu. Co gorsza, byłem coraz bardziej zamroczony alkoholem. To nie usprawiedliwienie, tylko fakt. Nie powiedziałem: „Nie”.

Mila obróciła się do recepcjonisty.

– Potrzebujemy dwóch.

– Proszę – powiedział, podając jej klucze, i spojrział na mnie z zazdrością.

Pojechaliśmy do mojego apartamentu, który był pięknie ozdobiony i był mniej więcej połowy Ogden. Mój bagaż już czekał w środku.

– A teraz położę cię do łóżka – powiedziała Mila, rozpinając guziki mojej koszuli.

– Resztę zdejmę sam. – Rozebrałem się i położyłem na łóżku. Mila zrzuciła z siebie ubranie, zgasła światło i położyła się obok mnie.

*

W niecałą dobę zdradziłem dwie najważniejsze w moim życiu osoby.

* NFL, National Football League, Zawodowa Liga Futbolu Amerykańskiego.

Rozdział 40

„Mądrość ustrzeże cię także od cudzej żony, od obcej, która uwodzi słodkimi słowami... Bo jej ścieżka schodzi w dół do śmierci, a jej drogi do krainy cieni”. Przypowieści Salomona 2, 16.18.

Z dziennika Charlesa Jamesa

Było jeszcze ciemno, gdy rano Mila obróciła się, pocałowała mnie w policzek i wstała z łóżka. Poszła do łazienki, skąd wyszła już ubrana, zakładając kolczyki.

– Zamówiłam samochód, który podjedzie po ciebie o jedenastej piętnaście – powiedziała cicho. – Przyjemnego lotu.

I wyszła z pokoju.

Wszystko wydawało mi się nierzeczywiste. Czy to naprawdę się zdarzyło? Przygniatało mnie poczucie winy. Pałace, piekące, druzgoczące poczucie winy. Przeczesałem palcami włosy. Jak o tym powiedzieć Monice? Nie mogłem jej powiedzieć. Nie w tej sytuacji. Odeszłaby ode mnie. Głowa pękała mi od kaca. Zadzwoiłem do obsługi po kawę i torebkę z lodem, po czym znowu położyłem się do łóżka.

– Nie ma Boga, jestem ja.

Wciąż leżałem, gdy zadzwonił telefon. Spojrzałem na wyświetlacz. Monica. Wpatrywałem się w telefon, aż w końcu przestał dzwonić. Nie mogłem odebrać. To nie była dobra pora na rozmowę. Wiedziałem, że z łatwością zostałemby rozszyfrowany. Miałem ochotę rzucić się pod autobus.

Gdy wymeldowywałem się z hotelu i wsiadałem do zamówionego samochodu, nadal czułem mdłości. Miałem paskudnego kaca, był on jednak niczym w porównaniu z wyrzutami sumienia. Zrobiłem krok w przód nad bardzo stromym urwiskiem i chciałem wrócić na pewny grunt. Ale to tak się nie dzieje. Gdy już skoczysz, jedyne, na co masz wpływ, to sposób lądowania.

*

Z lotniska Birmingham zadzwoniłem do Amandy, asystentki McKaya. Jak zwykle odebrała po pierwszym sygnale.

– Charles, gdzie jesteś? McKay cię szuka.

- Jestem na lotnisku.
- Chcesz, żeby ktoś cię odebrał?
- Na lotnisku w Birmingham.

Pauza.

- Co tam robisz?
- Nieważne – odparłem. – Muszę z tobą porozmawiać. Jesteś sama?
- Tak. Dlaczego?
- Jesteś pewna?
- Oczywiście, że jestem. Co się dzieje?

Wziąłem głęboki oddech. Nagle uświadomiłem sobie, że nie wiem, jak Amanda zareaguje. Musiałem postępować ostrożnie.

- Chodzi o coś bardzo poufnego.

– Jeśli chcesz się wdać w romans, to jesteś żonaty – powiedziała żartobliwie, próbując rozładować napięcie.

Przypomnienie tego faktu mocno mnie zapiekło.

- Wiem.

- Masz przerażony głos. O co chodzi?

– To ryzykowne. Bo kiedy już powiem, co chcę powiedzieć, nic nie będzie jak dotąd. Będziesz musiała podjąć jedną z najpoważniejszych decyzji w swoim życiu.

– Może nie chcę usłyszeć tego, co chcesz mi powiedzieć – powiedziała po pauzie.

- Może. Zadam ci tylko jedno pytanie. Jak ważne są dla ciebie pieniądze?

– Bardzo bezpośrednie pytanie – stwierdziła. – Nie wiem. Jak ważne jest jedzenie?

- Czy zarabiasz na to, czego potrzebujesz?

- To bardzo osobiste pytanie.

- Bo to bardzo osobista sprawa.

– W porządku. Na potrzeby starcza. To, czego chcę, to inna sprawa. Nie poskarżyłabym się, gdyby McKay płacił mi więcej. Zwłaszcza że daję z siebie wszystko tej firmie i widzę, ile zarabiają na niektórych prezentacjach. Więc tak, chciałabym mieć trochę większy udział w tym bogactwie.

- Ile McKay ci płaci?

– Siedemdziesiąt pięć. Plus opieka zdrowotna i dentystyczna. Ta dentystyczna jest trochę do bani. Po co te pytania, Charles?

– A gdybym ci zaoferował dwieście tysięcy rocznie i pięćdziesiąt tysięcy za przejście?

Zapadła dłuższa cisza.

– A co miałabym robić?

– Dokładnie to samo, co robisz teraz.

Zawahala się.

– To realne?

– Tak.

– Dla kogo?

– Dla mnie.

– I kogo jeszcze?

– Jeszcze nie mogę ci powiedzieć.

Milczała przez chwilę.

– Co ty kombinujesz? – zapytała.

– Chcesz się dowiedzieć?

– Tak.

– Mogę liczyć na twoją dyskrecję?

Zapadła kolejna dłuższa cisza.

– Miałaś rację – powiedziała. – Nie ma drogi pośredniej. Tak czy owak, jestem już zamieszana.

– Uprzedzałem. Mogę liczyć na twoją dyskrecję?

– Tak.

– Okej. Porozmawiajmy dziś wieczorem, jeśli możesz się wyrwać.

– O której lądujesz?

– O piętnastej czterdzieści.

– Powiem McKayowi, że odbieram cię z lotniska. Wtedy możemy pogadać. Co mam mu powiedzieć o twoim spóźnieniu?

– Wymyśl coś. Robiłaś już takie rzeczy.

– W porządku. Dam sobie radę. Tylko asekuruj mnie, gdybym spadała.

Rozdział 41

Zdrajca zawsze szuka sojuszników.

Z dziennika Charlesa Jamesa

Zanim wylądowałem w Des Moines, dostałem dwa maile. Pierwszy był od Chrisa.

Charles, jesteśmy gotowi do działania. Uzgodniliśmy, że prezentacja odbędzie się w Vegas za czterdzieści pięć dni.

Musimy opracować produkt asap. Jesteś nam tu potrzebny. Goni nas czas. Kiedy powiesz McKayowi, że odchodzisz? Możesz przyjechać do Birmingham przed piątkiem?

Druga wiadomość przyszła od Mili.

Hej, Wspaniały. Uciekłam tak szybko, że nie zdążyłam Ci odpowiednio podziękować. Liczę na to, że niedługo będę miała szansę to nadrobić. Całuję, Milla.

PS Jesteś dobry nie tylko na scenie.

Amanda odebrała mnie sprzed lotniska Des Moines. Wyglądała na zdenerwowaną i miała minę winowajczynie.

– W co ty nas wpakowałeś, James?

– Wielkie pieniądze, wielki świat.

– Jak to się stało?

– Po prezentacji w Montgomery podszedł do mnie pewien mężczyzna. Jest prezesem dużej firmy inwestycyjnej z ponad miliardem dolarów w holdingach. Zaproponował mi prowadzenie własnych seminariów.

– Ile ci płacą? – zapytała.

– Wolałbym nie mówić.

– Ja ci powiedziałam, ile zarabiam. Jeśli mamy oszukiwać razem, nie może być między nami żadnych sekretów.

– Milion dolarów rocznie – odparłem. – Podstawy.

– Och! – wyrwało się Amandzie i zaraz dodała: – Zaslugujesz na tyle.

– Nie szokuje cię ta suma?

– Skądże. Chcę tylko, żeby była między nami szczerłość. A dlaczego ta firma chce mnie?

– To był mój pomysł. Bo jesteś najbardziej kompetentnym pracownikiem, jakiego zatrudnia McKay. Wiesz wszystko.

– Nie wszystko. Nie wiem, jak mu o tym powiedzieć. To będzie jak rozwód. On to odbierze osobiście.

– Powiedz mu, że to nic osobistego.

Roześmiała się.

– Racja. A ty kiedy masz zamiar mu o tym powiedzieć?

– Jutro po prezentacji.

– Kiedy odchodzisz?

– Jestem pewien, że McKay od razu mnie wyrzuci, nie uważasz?

Pokiwała głową.

– Zwolni. I mnie też. Możesz mi kupić bilet do domu?

– Do domu nie. Ale kupię ci bilet do Birmingham.

Rozdział 42

Nie wiem, czego oczekiwałem od McKaya. Rozgrzeszenia?

Z dziennika Charlesa Jamesa

McKay już był w paskudnym nastroju, gdy przyszedłem z nim porozmawiać. Sytuacji nie ułatwiał fakt, że sprzedaż w Des Moines nie poszła zbyt dobrze. Mimo że znowu nakręciłem najwyższą sprzedaż, ogólnie zarobiliśmy połowę tego, co zwykle, co oznaczało, że ledwo wyszliśmy na zero.

McKay pił od kilku godzin. Moje oświadczenie tylko pogorszyło jego nastrój. Mniej więcej tak, jak mogłoby go pogorszyć zrzucenie bomby atomowej na jego głowę.

– Odchodzisz – warknął, patrząc na mnie nienawistnym wzrokiem. – Rzeczywiście odchodzisz. – To było stwierdzenie, nie pytanie.

– Tak.

– Powiedz dlaczego.

– Aby się zająć innymi projektami.

Zacisnął usta.

– Innymi projektami – wycedził. – Celowo mówisz tak mętnie. Co ukrywasz? Co to za inne projekty? Przestań się chować za słowami, ty tchórzu. Chodzi o seminaria, które będą konkurować z moimi?

– Nie będą konkurować. Ale faktycznie chodzi o seminaria.

– Nareszcie jesteś szczery. Głupi, ale szczery. Jeśli nie będziesz sprzedawać toników albo maści końskiej, będziesz dla mnie konkurencją. – Prychnął ze złością. – Sukces uderzył ci do głowy, mój głupi przyjacielu. Nie masz pojęcia, ile potrzeba czasu i kapitału, aby rozkręcić takie przedsięwzięcie. Milionów. A ja cię pogrzebię.

– Mam pojęcie.

– I nadal się do tego rwiesz.

– Mam inwestorów.

Te słowa go rozwścieczyły.

– Co powiedziałem, gdy się po raz pierwszy spotkaliśmy? W końcu każdy odchodzi na swoje. A ty powiedziałeś: „Nie ja. Ja jestem inny. Nigdy nie mógłbym być konkurencją dla pana”. – Pokręcił głową z odrazą. – Od ilu miesięcy to knujesz?

– To nie tak. Dopiero kilka dni. Pewni inwestorzy skontaktowali się ze mną w Montgomery.

– A ty rzuciłeś się na tę okazję bez rozmowy ze mną?

– Zaproponowali milion dolarów.

McKay upił łyk.

– Za kilka lat u mnie zarobiłbyś tyle samo.

– To na początek. Dostanę też działkę od każdego występu. Seminaria nazwali moim nazwiskiem.

Zobaczyłem, jak tężeje mu twarz. Po sekundzie uśmiechnął się ponuro.

– Gratulacje. – Przyglądał mi się przez chwilę, po czym zapytał: – Powiedz mi jedno. Planujesz zabrać ze sobą kogoś z moich ludzi?

Zawahałem się.

– Amandę.

Rzucił szklanką o ścianę, roztrzaskując ją na drobne okruchy.

– Wynoś się stąd!

– Przykro mi, McKay.

– Dopiero będzie ci przykro. Zobaczymy się w sądzie.

Rozdział 43

Jak może zaświadczyć każdy, kto kiedykolwiek był na diecie, z chwilą gdy się złamiesz i zjesz pierwsze ciastko, mało jest rzeczy, które są w stanie powstrzymać cię przed skończeniem całego pudełka.

Z dziennika Charlesa Jamesa

Nazajutrz oboje z Amandą wylecieliśmy z Iowa bezpośrednio do Birmingham. Wieczorem powiedziałem Monice o nowej firmie i wynoszącej milion dolarów pensji. Nie ucieszyła się tak bardzo, jak się spodziewałem, co mnie rozżłościło. Pomyślałem, że moja żona jest niewdzięczna. Był to jednak tylko mój punkt widzenia. Powinienem być zrozumieć, że znaczę dla niej więcej niż milion dolarów.

– Czy to znaczy, że będę cię teraz widywać jeszcze rzadziej? – zapytała.

– Przez jakiś czas.

– W porządku. – Westchnęła. – Dziękuję, że jesteś wobec mnie uczciwy.

Poczułem ukłucie w sercu. Można było o mnie wiele powiedzieć, ale na pewno nie to, że jestem uczciwy.

*

Nie pojawiłem się w domu przez ponad dwa miesiące. Powodem nie było tylko nowe przedsięwzięcie. Chris i wspólnicy zrozumieliby, gdybym zechciał wskoczyć do samolotu i polecieć do żony na weekend. Opłaciliby mi lot. Chodziło o mnie. Bałem się spojrzeć Monice w twarz. Zbyt dobrze mnie znała. Domyśliłaby się, co zrobiłem.

Jakaś część mnie podpowiadała mi, że gdyby to był jednorazowy wyskok, Monica by mi wybaczyła. Ale to też mi się nie udało. Mila nie zostawiła mnie w spokoju. Próbowałem ją zniechęcić, ale jej nieustępliwość dorównywała jej urodzie. I była równie biegła w kuszeniu co jej pracodawcy. Albo jeszcze lepsza. Im bardziej starałem się jej opierać, tym bardziej była nieustępliwa. Nie przypuszczam, żeby przedtem ktoś jej powiedział: „Nie”. Ostatecznie ona wygrała, a ja poległem. Sromotnie.

*

W interesach natomiast wszystko udało się tak, jak to zaplanowaliśmy.

A nawet lepiej. Mieliśmy produkt i ludzi. Pierwsze seminarium odbyło się w Las Vegas. To było niesamowite uczucie zobaczyć swoje nazwisko wypisane ponaddwumetrowymi literami w holu MGM Grand. Ostatni raz byłem w Vegas z Monicą, na dworcu linii Greyhound. Wtedy miasto mnie onieśmiało. Teraz czułem się, jakbym był jego częścią.

Zyski ze sprzedaży przekroczyły nasze najśmielsze oczekiwania. Pierwszego dnia zarobiliśmy ponad milion dolarów. Wieczorem Chris i jego wspólnicy urządzili szaloną imprezę w luksusowym apartamencie Chrisa. Słyszałem o tego typu przyjęciach, ale nigdy na takim nie byłem. Można było zaspokoić każdą zachciankę, jaka tylko przychodziła do głowy.

W trakcie imprezy Chris wziął mnie na bok. Miał zaczerwienioną od wypitego alkoholu twarz.

– Nasz dzisiejszy sukces to tylko część dobrych wieści – powiedział.

– Jest coś jeszcze?

– Twojemu poprzedniemu szefowi nie idzie zbyt dobrze. Po twoim odejściu cztery jego ostatnie seminaria zrobiły plajtę. Plus dobijający cios, Federalna Komisja Handlu wniosła przeciwko niemu sprawę za nieprawdziwe informacje o produkcie.

Wiadomości wcale mnie nie ucieszyły.

– Nie mieliśmy nic wspólnego z FKH, prawda?

– Możliwe, że mieliśmy mały wpływ – odparł Chris, podnosząc kieliszek z wódką do ust. – A najpiękniejsze jest to, że jeśli nawet McKay wygra proces, jego firma nie wytrzyma dochodzenia.

– Nie ma Boga, jestem ja – mruknąłem pod nosem.

– Co powiedziałaś?

– Nic.

– Musisz się napić – stwierdził Chris.

– Zgadza się.

Byłem coraz lepszy w picciu, jeśli można być lepszym w czymś takim. A przynajmniej miałem mocniejszą głowę.

W apartamencie było jacuzzi. Około trzeciej nad ranem dwie kobiety w skąpych bikini wciągnęły mnie do wody i próbowały rozebrać. Miła się wściekła i wypadła jak burza z apartamentu. Pobiegłem za nią, ociekając wodą. Skończyło się na tym, że znowu spędziłem z nią noc.

Moje życie całkowicie wymknęło mi się spod kontroli.

*

Rano w biurach obsługujących seminaria było cicho, jakby wszyscy cierpieli na zbiorowego kaca. Wysłałem Amandę po nowy telefon dla mnie, ponieważ mój poprzedni zamókł, gdy zostałem wciągnięty do basenu. Ranek spędziłem w pokoju Mili, pijąc kawę i ćwicząc prezentację.

*

Przyjechałem na miejsce czterdzieści pięć minut wcześniej, aby zaproponować technikom zmiany w oświetleniu. Potem kupiłem puszkę coca-coli i usiadłem z boku sceny, przyglądając się, jak poprzedzający mnie prezynter sprzedaje specjalistyczny produkt. Jego, tak samo jak pozostałych prezynterów, też podkradliśmy innej firmie seminaryjnej.

Mniej więcej piętnaście minut przed moim wyjściem na scenę zobaczyłem, jak zbliża się do mnie jakaś kobieta. Było coś znajomego w jej chodzie i sylwetce. Nagle ją rozpoznałem. To była moja żona. Natychmiast poderwałem się z miejsca.

– Monica, co ty tu robisz?

Miała zacięty wyraz twarzy i zapuchnięte oczy.

– Przyjechałam się przekonać, czy jeszcze mam męża.

– O czym ty mówisz?

– Nie oddzwoniasz do mnie od czterech dni. Gdzie byłeś wczoraj wieczorem?

– Przepraszam. Chris urządził wielkie przyjęcie. Wszyscy szaleją z radości. Zarobiliśmy wczoraj ponad milion dolarów.

– Nic mnie to nie obchodzi. Dlaczego nie odbierałeś moich telefonów?

– Nie mam telefonu – odparłem stanowczym głosem. – Wpadł do basenu. Amanda pojechała kupić mi nowy.

Monica skrzyżowała ręce na piersi i wpatrywała się we mnie. Podszedłem, by ją objąć, ale cofnęła się.

– Szkoda, że mi nie powiedziałaś, że przyjedziesz. Zarezerwowałbym nam bilety na przedstawienie Cirque de Soleil. Zabawilibyśmy się.

– Jestem w ciąży.

– Co?

– Będę miała twoje dziecko.

Stałem oniemiały. W końcu wydusiłem z siebie:

– Jak to się stało?

– Dobre pytanie. Chyba spotkaliśmy się raz w ostatnich trzech miesiącach. A może to sobie wyobraziłam i doszło do niepokalanego

poczęcia.

Zakręciło mi się w głowie. W tym momencie kierownik sceny krzyknął:

– Charles, masz dziesięć minut!

– Rozumiem! – odkrzyknąłem. Obróciłem się do Moniki. W jej oczach lśniły łzy i była blada, jakby miała za chwilę zemdleć.

Wytarła oczy i zapytała:

– Masz mi coś do powiedzenia? – Jeszcze nigdy nie wpatrywała się we mnie tak intensywnie.

– O co ci chodzi?

W jej spojrzeniu dostrzegłem złość i desperację.

– Charles, daję ci szansę. Masz mi coś do powiedzenia?

Udałem, że się uśmiecham.

– Monica, nie wiem, o co ci chodzi. Naprawdę.

Spuściła wzrok, a potem zakryła oczy i zaczęła płakać.

Wyciągnąłem rękę, aby ją pogłodzić.

– Kochanie...

– Nie dotykaj mnie! – Gdy podniosła wzrok, jej oczy były mokre, ale spojrzenie surowe. – Kim jest Mila?

Serce mi zamarło. Usta miałem jak porażone. Nie byłem w stanie mówić.

– McKay przysłał mi maile z twojego konta. Kim ona jest? Oprócz tego, że twoją nową miłością.

Odpowiedziałem po dłuższej chwili:

– Nikim ważnym.

– Najwyraźniej jednak kimś ważniejszym ode mnie! – krzyknęła łamiącym się głosem pełnym złości. Zdjęła obrączkę i położyła na stolku. – Nie jestem twoją perłą.

Wtedy widziałem Monicę po raz ostatni.

Rozdział 44

W pogoni za wszystkim straciłem wszystko.

Z dziennika Charlesa Jamesa

Doktor Fordham odchyliła się na oparcie fotela.

– Jak dawno temu to było?

– Koło ośmiu lat.

– Urodziła to dziecko?

– Chłopca. Gabriela.

– Widziałeś go?

– Nie osobiście. Na zdjęciach.

– Dlaczego do niej nie wróciłeś?

– Duma. Czekałem na krok z strony Moniki.

– Jak długo czekałeś?

– Kilka miesięcy. Do końca trasy.

– A gdy nie zrobiła pierwszego kroku?

– Byłem zły. Nie mogłem uwierzyć, że zostawiła mnie po tym wszystkim, co jej dałem.

Doktor Fordham przechyliła głowę.

– Tym wszystkim, co jej dałeś?

– Pieniądze, samochód, dom w Santa Monica...

– Dziecko?

Spojrzałem na nią.

– Potrzebowała ciebie, nie przedmiotów. Zwłaszcza gdy była w ciąży.

Nabrałem powietrza głęboko do płuc.

– Wiem.

– Co się stało potem?

– Byłem zrozpaczony. Dzwoniłem i esemesowałem przynajmniej pięćdziesiąt razy, ale nie odpowiadała. Wtedy popadłem na jakiś czas w depresję. Może nadal ją mam. I taki jest mój stan na dziś.

– Zdajesz sobie sprawę, że to, co mi opisałeś, to etapy żałoby?

– Co to znaczy?

– Psychiatra Elizabeth Kübler-Ross opisała pięć stanów emocjonalnych,

przez które przechodzą ludzie w obliczu śmierci. Zasadniczo pokrywają się z tym, co opisałeś: zaprzeczenie, gniew, targowanie, depresja, akceptacja. Nie usłyszałam od ciebie jedynie o akceptacji.

– Może dlatego, że Monica nie umarła – skwitowałem.

– Człowiek nie musi umrzeć, abyśmy przeżywali po nim żałobę.

Zakłopotany poprawiłem się na kozetce.

– Myślałeś kiedyś, żeby pojechać i porozmawiać z nią osobiście?

– Wiele razy.

– Dlaczego tego nie zrobiłeś?

Opuściłem głowę.

– Było mi wstyd. Minęło osiem lat. Nie da się wrócić do tego, co było kiedyś. Nic nie pozostaje takie samo.

– Masz rację. Nic nie pozostaje takie samo. Wszystko się zmienia. Ale czasami na lepsze.

– Myślę, że Monica nie chciałaby mnie z powrotem.

– Ale tego nie wiesz na pewno. – Poprawiła się na fotelu. – Zapytam cię o coś. Gdyby Monica zadzwoniła właśnie teraz i poprosiła, abyś do niej wrócił, zrobiłbyś to?

Spuściłem wzrok, a potem z moich ust wypłynęły słowa, jakby poza moją kontrolą:

– Tak. Zrobiłbym.

Doktor Fordham milczała przez chwilę, aby wyznanie dotarło do mojej świadomości.

– Nikt nie wie tak dobrze jak ty, że są rzeczy, o które warto walczyć. Walczysz całe życie. Jesteś wojownikiem.

Wypuściłem powietrze z płuc. Moja tolerancja na ból się wyczerpała. Przeczesałem palcami włosy.

– Sam nie wiem.

– Zdaję sobie sprawę, że to dużo. Dobrze, jeśli o tym pomyślisz.

Wolno pokiwałem głową. Spojrzałem na zegar ścienny. Do pełnej godziny brakowało trzech minut.

– Nasz czas się kończy, ale czy mogę zapytać o jedną rzecz? Jeśli masz czas. Powiedziałaś, że z kimś się spotykasz.

– Dam sobie radę. Pytaj.

– W nocy znowu miałem ten sen. Tylko że gorszy.

– W jakim sensie gorszy?

– Był bardziej realny. Było więcej ognia. I wyły syreny.

– Jakie syreny?

– Pojazdów uprzywilejowanych. Kilkunastu, jakby gdzieś wydarzyła się jakaś katastrofa. – Nabrałem głęboko powietrza. – Chcę o coś zapytać. To będzie trochę dziwne pytanie...

Wpatrywała się we mnie intensywnie.

– Tak?

– Czy wierzysz, że sny mogą być prorocze?

Zawahała się.

– Jeśli pytasz, czy wierzę, że pójdziesz Route 66 otoczony płomieniami, to nie, nie wierzę.

– Miałem na myśli ogólnie.

– Zwykle nie komentuję zjawisk paranormalnych. Nie dlatego, że w nie nie wierzę, ale dlatego, że nie mam sposobów na udowodnienie ich istnienia ani sposobów na ich zrozumienie. Jednakże nie wykluczam istnienia proroczych snów oraz intuicji. Przykłady są znane z historii. Jeśli wierzysz w Biblię...

– Nie wierzę – powiedziałem szybko.

– Nawet jeśli potraktujemy Biblię jako archetyp, nadal pozostanie przejawem wiary ludzi w prorocze sny, na przykład wyjaśniony przez Daniela sen króla Nabuchodonozora o kamieniu oderwanym od góry bez udziału rąk albo zinterpretowany przez Józefa sen faraona zapowiadający plagę głodu w Egipcie.

Oczywiście znałem obie historie.

– Istnieją też przykłady proroczych snów w historii świeckiej. Abrahamowi Lincolnowi przyśniło się, że wszedł do gabinetu owalnego, w którym odbywało się czuwanie przy zmarłym. Gdy zapytał jednego z żołnierzy, kto umarł, ten odpowiedział, że prezydent został zabity przez zamachowca. Dziesięć dni później Lincoln został postrzelony w teatrze Forda.

– Właśnie tego się obawiam – powiedziałem. – Ten mój sen... wydaje się dokądś zmierzać.

Pani doktor patrzyła na mnie zamyślona.

– Dużo myślałam o twoim śnie – powiedziała. – I mam ciekawy pomysł. Może byś przeszedł część tej drogi?

– Którą część?

– Nieważne którą, byleby przypominała to, co widzisz w śnie. Po prostu przejdź ten odcinek. Zobacz, co się stanie. Może ci to pomóc uwolnić umysł

od tego, na czym się zafiksował. Ostatecznie tym, co cię dręczy, jest strach. I zwykle najlepszym sposobem pozbycia się strachu jest bezpośrednio skonfrontowanie się z jego źródłem. Myślę, że przejście tą drogą może przynieść ci ulgę.

– A jeśli nie?

Uśmiechnęła się szeroko.

– To zaliczysz przyjemną przechadzkę. Na pewno ci nie zaszkodzi. Gdyby każdy chodził godzinę dziennie, zniknęłaby połowa chorób psychicznych obywateli naszego kraju.

Zastanowiłem się nad jej propozycją.

– Mogę to zrobić – powiedziałem. – Już planowałem przejechać tę drogę.

Pani doktor była zaskoczona.

– Naprawdę?

– Kilka miesięcy temu zaplanowałem z kilkoma przyjaciółmi podróż Route 66. Chcemy przejechać ją na harleyach.

Pani doktor wyglądała na jeszcze bardziej zaskoczoną.

– Nic mi o tym nie mówiłeś. To było przed czy po tym, jak zaczęły się te koszmary?

Musiałem się zastanowić.

– Chyba kilka dni później.

– Myślisz, że twoje sny mogą mieć coś wspólnego z podróżą?

– Nie mam pojęcia. – Nabrałem głęboko tchu i wolno wypuściłem powietrze. Zbyt wiele myśli cisnęło mi się do głowy. – Powiniennem przestać zajmować twój czas w sobotę. Dziękuję, że przyjechałaś.

– Drobiazg. Powodzenia na trasie.

– Dziękuję. Przyda się.

– Jak długo cię nie będzie?

– Około sześciu tygodni.

– Chciałbyś umówić się na spotkanie po powrocie?

– Tak, ale wolę najpierw poczekać kilka tygodni, żeby zobaczyć, jak to się wszystko ułoży. Czasami pewne sprawy zajmują nam więcej czasu.

Odprowadziła mnie do drzwi wyjściowych.

– W takim razie do dzieła. A ja muszę tu wszystko pozamykać.

– Jeszcze raz dziękuję. Do zobaczenia za kilka tygodni.

Uśmiechnęła się.

– Szczęśliwej drogi.

*

Później zachodziłem w głowę, dlaczego użyła słowa „droga”. Była taka spokojna. Zastanawiałem się potem, czy w jakiś sposób nie przeczuwała, co miało się wydarzyć.

Rozdział 45

Moje życie sprowadza się do szczegółów.

Z dziennika Charlesa Jamesa

Poniedziałek, 2 maja

Przed kolejnym wyjazdem w trasę musiałem sprawdzić milion szczegółów. Zarówno w domu, jak i w pracy. Centrum konferencyjne w Bostonie zarezerwowało dla nas salę, która mogła pomieścić tylko siedemdziesiąt pięć osób. Salę balową wynajęli już na inną imprezę, zmuszając nas albo do odwołania prezentacji, albo do pospiesznego szukania nowego miejsca. Na szczęście jeszcze nie zaczęliśmy się reklamować w Bostonie.

Razem z Amandą i Glennem zjadłem lunch w sali konferencyjnej, po czym zaczęliśmy omawiać punkt po punkcie każdą imprezę, aby mieć pewność, że mamy właściwą lokalizację, odpowiedni marketing, personel oraz produkty. Sześć tygodni, czterdzieści dwa dni, dwadzieścia jeden miast. Cały czas w biegu. Nie bez powodu takie trasy są nazywane błyskawicznym objazdem.

Skończyliśmy spotkanie po wpół do ósmej. Amanda i Glenn zaprosili mnie na kolację, ale miałem dużo roboty przed wyjazdem. Przebywałem w budynku tak długo, że nie zauważyłem, że padał deszcz, choć gdy szedłem do swojego samochodu, w powietrzu wisiała lekka mgiełka.

Po przyjeździe do domu spakowałem się. Kilka osób zadzwoniło z pilnymi pytaniami, z których wiele wcale nie było pilnych. Wyjeżdżam w podróż handlową, nie umieram, pomyślałem. Po piątej rozmowie wyłączyłem telefon.

Nie przejąłem się bałaganem. Sprzątaczkom zostawiłem kartkę z przypomnieniem, aby przed wyjściem włączyły alarm.

Nie zrobiłem wszystkiego, co zamierzałem, ale miałem Amandę. Uzgodniliśmy, że do mnie dołączy pod koniec drugiego tygodnia. Miała klucz do mojego domu i знаła kod do alarmu. Mogła się zająć wszystkim, czego nie zdążyłem zrobić.

Około północy włączyłem telefon, żeby nie przegapić ewentualnej

wiadomości o zmianie w godzinach lotów. Byłem zbyt podekscytowany, by zasnąć, więc poszedłem do pokoju telewizyjnego i zacząłem przeglądać kanały. Ostatecznie obejrzałem stary musical *Tęcza Finiana* i około trzeciej zawlokłem się do łóżka.

Prawda była taka, że choć bardzo potrzebowałem snu, bałem się zasnąć. Zasnąć! Może śnić?*. Bałem się, że znowu przyśni mi się ten sen.

* Cytat z *Hamleta* W. Szekspira w przekładzie J. Paszkowskiego.

Rozdział 46

Zaczyna się.

Z dziennika Charlesa Jamesa

Wtorek, 3 maja

Znowu miałem ten sen. Jeszcze nigdy nie był tak straszny. I nigdy wcześniej nie był tak realny. Ryk syren i krzyki były tak głośne, że uklęknąłem na drodze i zasłoniłem dłońmi uszy. Właśnie w tej pozycji się obudziłem – klęcząc z dłońmi zakrywającymi uszy. Po raz pierwszy obudził mnie mój krzyk.

Po wizycie u doktor Fordham przeczytałem o proroczym śnie Abrahama Lincolna. Prezydent bardzo się przejął i był niespokojny – aż do zamachu niecałe dwa tygodnie później. Czułem się dokładnie tak samo. Byłem niespokojny. Nadal nie wiedziałem, co zrobić. Nie wyobrażałem sobie jednak, że mogłoby być gorzej.

Spojrzałem na zegar. Wpół do dziesiątej. Było ciemno jak na tak późną godzinę. Wstałem i podszedłem do okna. Chmury zasnuwały niebo. Ulica przed moim domem była mokra, ale nie padało. Rozejrzałem się w poszukiwaniu telefonu, jednak nie było go w pokoju. Najwyraźniej zostawiłem go przed telewizorem.

Gdy szedłem na dół, usłyszałem potężny grzmot. Nie znośm latać w taką pogodę. Nalałem sobie szklankę soku jabłkowego i poszedłem do pokoju telewizyjnego. Telefon leżał na podłodze. Zapomniałem go naładować. Podniosłem go i włączyłem. Stan naładowania baterii wynosił siedem procent. Przyszedł esemes od Amandy.

Zadzwoń, jak tylko będziesz mógł.

Sprawdziłem nieodebrane połączenia. Amanda dzwoniła do mnie kilka razy. Wybrałem jej numer. Odebrała po pierwszym sygnale.

- Znowu wyłączyłeś telefon?
- Zostawiłem go w innym pokoju.
- Nadal chcesz, żebym zawiozła cię na lotnisko?
- Tak.
- Wpadniesz do biura przed wyjazdem?

– Nie miałem tego w planach.

– Gdybyś miał czas, dobrze by było, żebyś porozmawiał z pracownikami, zanim wyjedziesz. To ich zawsze nakręca. – Milczałem, więc dodała: – Proszę.

Absolutnie nie miałem ochoty, ale Amanda rzadko o coś prosiła i nie znośłem jej odmawiać.

– W porządku. Daj mi godzinę. Nie jestem jeszcze ubrany.

*

Amanda podjechała pod mój dom kwadrans po jedenastej. Jej białe bmw było mokre od deszczu. Wytaszczyłem swoją największą walizkę przed drzwi wejściowe.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziała Amanda, podchodząc. – Tuż pod miastem złapała mnie ulewa. Pomóc ci w czymś?

– Muszę jeszcze wziąć plecak i zamknąć drzwi. Możesz zawlec tego potwora do swojego samochodu. Jeśli dasz radę.

Spojrzała na walizkę.

– O rany! Zwykle podróżujesz z minimalnym bagażem. Dlaczego teraz bierzesz taką dużą walizkę?

– Wiozę umowy sprzedaży – odparłem. – W Toledo zużyli prawie wszystkie i nie starczy im na Cincinnati.

– To dobrze.

– Tak, to dobrze – przyznałem.

Wszedłem do domu, wziąłem plecak, nastawiłem alarm i zaryglowałem drzwi. Amanda stała obok mojej walizki przy otwartym bagażniku swojego auta.

– Nie dam rady jej unieść – powiedziała.

– Zaraz ją włożę. Przy okazji, nastawiłem alarm. To na wypadek gdybyś musiała wejść.

– Tylko gdybym musiała.

– Pewnie będziesz musiała. Na pewno coś zostawiłem.

*

Gdy jechaliśmy do centrum, znowu się rozpadało.

– W jakim jesteś nastroju? – zapytała Amanda.

– Optymistycznym. To jak dotąd nasza najdłuższa trasa. Mamy najlepsze produkty.

- Myślę, że to będzie nasz najlepszy rok. Jaki jest plan?
- Pięćdziesiąt siedem milionów.
- Suma, z której możesz wyżyć.
- Gdybym nie płacił tak wielu ludziom.
- Może zacznij jeździć w trasę bez tak wielu ludzi – odcięła się.
- Zrobiłaś się złośliwa.
- Uśmiechnęła się rozbawiona.
- Uczyłam się od mistrza.

Sznur aut wiozących kierowców na wczesny lunch oraz deszcz spowodowały, że jazda do biurowca zajęła nam prawie godzinę. W windzie Amanda powiedziała:

- Personel czeka w sali konferencyjnej.
- W porządku. Muszę jeszcze wpaść do swojego gabinetu. Będę za chwilę.

Wszedłem do siebie, podłączyłem telefon do kontaktu, po czym udałem się do sali konferencyjnej.

Przez matową szybę zobaczyłem sylwetki osób. Nikt się nie ruszał. Drzwi były zamknięte. Coś się szykowało. Otworzyłem drzwi.

– Niespodzianka! – krzyknął chóralnie mój personel i odśpiewał *Happy Birthday*.

Gdy skończyli, powiedziałem:

- Zrobiliście mi niespodziankę, bo nie mam dziś urodzin.
- Wiem – powiedziała Amanda. – Ale w dniu urodzin będziesz w trasie, a chcieliśmy uczcić je razem z tobą.
- Myślisz o wszystkim.
- Na tym polega moja praca.

Czekało na nas podwójnie czekoladowe ciasto przekładane karmelem i polane czekoladą oraz lody z pokruszonymi migdałami firmy Jeni's Splendid Ice Creams.

- Moje ulubione lody – zauważyłem.
- Wiem – powiedziała Amanda.

Nałożyłem sobie trochę ciasta i lody. Gdy skończyłem jeść, podziękowałem wszystkim. Była już pora, by jechać na lotnisko. Pożegnałem się i poszedłem do swojego gabinetu. Wylogowałem się z systemu komputerowego i wyjąłem wtyczkę telefonu z kontaktu. Poziom naładowania wynosił dwa procent.

- Amanda!

Przyszła do mojego gabinetu.

– Tak?

– Mój telefon był podłączony do prądu przez godzinę, ale się nie naładował.

– A do którego gniazdka?

– A to ma jakieś znaczenie?

– Coś jest nie tak z gniazdkami w południowej ścianie. Już zadzwoniłam do właściciela budynku. Jutro przyjdzie konserwator.

– Szkoda, że tego nie wiedziałem godzinę temu.

– Przepraszam. Możemy naładować go w drodze na lotnisko. Musimy już jechać. Leje jak z cebra.

Wsunąłem telefon do kieszeni marynarki.

– Którą linią lecę?

– United. – Zanim zdążyłem zadać pytania, powiedziała: – W Delcie nie było miejsc w pierwszej klasie. Poprowadzisz auto?

Gdy sygnalizowałem wyjazd z budynku, podałem Amandzie swój telefon.

– Możesz go naładować?

– Oczywiście. Gdzie jest ładowarka?

Spojrzałem na nią.

– W moim samochodzie. Ty nie masz ładowarki?

– Mam inny telefon. Samsunga.

Jęknąłem.

– Po co komu telefon?

Jakieś piętnaście minut później rozległ się dźwięk odebranego esemesa w telefonie Amandy.

– Twój lot jest trochę opóźniony.

– Ile?

– Dwanaście minut.

– To dobrze. Nie będę musiał się przepychać w kolejce do kontroli bezpieczeństwa.

*

Odległość między centrum Chicago a lotniskiem O'Hare wynosi około trzydziestu kilometrów, ale z powodu deszczu i tłoku na drogach jechaliśmy prawie godzinę, co pozbawiło mnie dodatkowego czasu, na który liczyłem. Podjechałem samochodem Amandy pod wejście dla pasażerów wylatujących

liniami United.

- Proszę, przebukuj mi hotel z Cincinnati na Millennium.
- Uwielbiasz Cincinnati. Jest taki klasyczny.
- Ostatnim razem musiałem czekać pół godziny, aby się zameldować.

Dopilnuj, żebym miał pokój na piętrze portiera. Zdaje się, że to siódme.

– Jedenaste. O tej porze roku prawdopodobnie wszystkie pokoje są zajęte. Ale znam dyrektora. Zobaczę, co da się zrobić. Gdyby nie mieli odpowiedniego pokoju, nadal chcesz się zatrzymać w Millennium?

– Tak, tylko nie zapomnij mi o tym napisać. Po przyjeździe na miejsce chciałbym wiedzieć, dokąd jechać.

– Twój telefon się rozładował, pamiętasz?

Pokręciłem głową.

– No tak. Spróbuję go naładować przed wylotem. Czy w moim samolocie są gniazdka?

– Przepraszam, ale nie wiem. Mam sprawdzić?

– Nie. Jeśli nie będę go mógł naładować, zadzwonię do ciebie z automatu. Gdy zobaczysz numer, którego nie znasz...

– Sprawdzę kierunkowy do Cincinnati.

Gdy chwyciłem klamkę, Amanda powiedziała:

– Zaczekaj, mam dla ciebie trochę gotówki. – Wsunęła dłoń do torebki i wyciągnęła bankową kopertę. – Tu są trzy tysiące.

– Po co tak dużo?

– Firma, którą zatrudniamy w Indianie, chce zapłaty w gotówce. Około tysiąca siedmiuset. Resztę będziesz miał na swoje wydatki. Napiwki i różne takie.

– Dziękuję. – Z tylnego siedzenia wzięłem plecak i włożyłem do niego kopertę. Potem nacisnąłem przycisk na desce rozdzielczej otwierający bagażnik i wysiadłem. Amanda też wysiadła i stanęła obok mnie, gdy wyjmowałem walizkę.

– Od dźwigania dostaniesz przepukliny – skomentowała. – Nie dokładaj niczego. Udanej prezentacji. Zobaczymy się za parę tygodni.

– Dzięki. – Zatrzasnąłem drzwi i krótko się objęliśmy. Amanda wyglądała na zasmuconą moim wyjazdem. – Pilnuj interesów na miejscu.

– Będę. Jak zawsze. Udanej trasy. Rzuć ich na kolana.

– Rzucę. Jak zawsze. Do zobaczenia za parę tygodni.

Wsiadła do samochodu. Pomachałem jej, gdy odjeżdżała, włączając się na powrót do ruchu ulicznego niczym ryba wrzucona z powrotem do rzeki.

Niespodziewanie poczułem się samotny. Wziąłem głęboki oddech.
– Nie ma Boga, jestem ja.

Rozdział 47

Pomimo moich wysiłków, by odebrać sobie życie, ktoś mi je dzisiaj uratował.

Z dziennika Charlesa Jamesa

Na lotnisku było tłoczno, nawet jak na standardy O'Hare. Burze spowodowały opóźnienie kilku samolotów i doszło do typowego efektu domina: opóźniały się kolejne loty, a pasażerowie się wściekali, że nie zdążą na przesiadki.

Na szczęście mój lot z Chicago do Cincinnati był bezpośredni i trwał tylko trochę ponad godzinę. Odprawiłem bagaż przy kasie biletowej i dostałem papierową kartę pokładową. Zwykle do odprawy używałem swojego telefonu, ale był zupełnie rozładowany.

Kolejka do kontroli osobistej przesuwała się bardzo wolno i jakby moje opóźnienie nie było wystarczająco duże, do kontroli antyterrorystycznej losowo wybrano z taśmociągu akurat moją walizkę. Gdy mi ją oddano, pobiegłem do swojej bramki. W korytarzu zobaczyłem tłum pasażerów wychodzących z rękawa lotniczego.

Agentka linii, starsza pani o ufarbowanych na czarno włosach, wygłosiła komunikat:

– Do pasażerów czekających na lot numer 227 do Cincinnati: mamy nadzieję, że opóźnienie będzie minimalne. Gdy z samolotu, który wylądował, wysiądą wszyscy pasażerowie, natychmiast zaczniemy wpuszczać państwa na pokład. Najpierw rodziców podróżujących z dziećmi oraz osoby wymagające pomocy przy wsiadaniu. Prosimy przygotować bilety.

Pomyślałem, aby skorzystać z biletu pierwszeństwa, ale uznałem, że ważniejsza jest ładowarka do telefonu. Dwie bramki dalej znajdował się sklep z upominkami.

Znalazłem przenośną ładowarkę i przekonany, że mam mnóstwo czasu, zanim tłum współpasażerów wsiądzie na pokład, zacząłem przeglądać magazyny. Ostatecznie postanowiłem kupić „Robb Report” i „USA Today”, dwa napoje energetyzujące oraz torebkę żelków.

W sklepie była długa kolejka i tylko jedna czynna kasa. Gdy wróciłem do

bramki, ku swojemu zaskoczeniu nie zobaczyłem żadnej kolejki. Najwyraźniej linii lotniczej naprawdę zależało na jak najszybszym wylocie. Agentka linii, przed której kontuarem nadal stała kolejka, podniosła mikrofon do ust.

– Ostatnie wezwanie do pasażerów lotu 227 do Cincinnati. Wszyscy pasażerowie powinni być już na pokładzie. Panowie Yin Cheng oraz Charles James są proszeni o natychmiastowe zgłoszenie się przy stanowisku odprawy. Pasażerowie są już na pokładzie i za chwilę drzwi zostaną zamknięte. Panowie Yin Cheng i Charles James są proszeni o natychmiastowe zgłoszenie się przy stanowisku odprawy.

– Jestem! – zawołałem, podnosząc rękę.

Wyszła zza kontuaru.

– Nazywa się pan Cheng czy James?

– Naprawdę pani o to zapytała? – zakpiłem, podając jej bilet.

Nie uśmiechnęła się. W dniu seryjnych opóźnień była ponad złośliwość.

– Proszę, panie James. Dziękuję za częste korzystanie z naszych linii. Życzę miłego lotu.

Ruszyłem rękawem lotniczym. Na jego końcu stało przynajmniej dziesięciu pasażerów czekających na wejście na pokład, a członek załogi nadal zbierał bagaż podręczny, który podróżujący zostawili przed wejściem do samolotu. W tym momencie uświadomiłem sobie, że nie mam ze sobą plecaka. Na pewno zostawiłem go w sklepie z upominkami. W środku był komputer i spora ilość gotówki, więc jeśli nie został już skradziony, to mogło to się stać w każdej chwili. Popędziłem z powrotem do budynku dworca lotniczego.

Drzwi terminalu nadal były otwarte. Gdy wyszedłem z rękawa, agentka linii ponownie stała za kontuarem i pomagała w czymś niezadowolonemu klientowi.

Próbowałem zwrócić na siebie jej uwagę, jednak bez powodzenia, więc pomyślałem, że będzie lepiej, gdy pobiegnę po plecak. Przyglądałem się każdej osobie wychodzącej ze sklepu, ale nikt nie niósł mojego plecaka.

Nerwowo obiegłem cały sklep, nigdzie jednak nie wypatrzyłem swojej zguby. W kolejce stały cztery osoby i czynna była tylko jedna kasa, którą obsługiwała inna ekspedientka. Podeszedłem na początek kolejki.

– Przepraszam, ale mój samolot startuje dosłownie za dwie minuty. Czy ktoś oddał plecak?

Ekspedientka wolno skierowała wzrok na mnie.

– Nie wiem. Dopiero co przyszedłam – odparła i wróciła do kasowania zakupów kolejnego klienta.

– Przepraszam, że sprawiam pani kłopot – powiedziałem szorstko – ale w plecaku było dużo pieniędzy oraz mój laptop. Zaraz zamknę drzwi do mojego samolotu. Czy mogłaby pani poświęcić dziesięć sekund, żeby sprawdzić, czy ktoś oddał mój plecak?

Spojrzała na mnie obojętnie.

– Jestem zajęta.

– Bardzo proszę! – zawołałem.

Obsługiwana klientka patrzyła na mnie ze współczuciem.

– Mogę zaczekać.

Ekspedientka westchnęła i poszła na zaplecze. Liczyłem na to, że zaraz wróci, ale płynęły cenne sekundy, a jej nie było widać. Gdy minęła pełna minuta, już chciałem zapukać do prowadzących na zaplecze drzwi, kiedy nagle kobieta się pojawiła z moim plecakiem w ręku.

– To ten?

– Tak. Dziękuję. – Chwyciłem plecak, zarzuciłem go na ramię i popędziłem do bramki. Gdy tam dotarłem, drzwi wyjściowe były zamknięte. Przed stanowiskiem obsługi stała kolejna, jeszcze większa grupa pasażerów. Podeszedłem do drzwi i spróbowałem je otworzyć.

– Przepraszam, ale co pan robi? – zapytała mnie agentka linii.

Obróciłem się do niej.

– Chcę wsiąść do swojego samolotu.

– Drzwi samolotu są już zamknięte. – Przyglądała mi się uważnie. – Czy pan już się nie odprawił?

– Tak, ale musiałem wrócić po plecak. Czy mogłaby pani otworzyć te drzwi?

– Przykro mi. Po tym, jak zostaną zamknięte, nie wolno mi ich otworzyć.

– Ale samolot jeszcze nie wystartował. Widzę go – powiedziałem, wskazując samolot ręką. – Jest tam.

– Bardzo mi przykro, ale takie są przepisy. Nie powinien pan być odchodzić.

– Nie miałem wyboru – powiedziałem, starając się z całych sił zachować spokój. – Proszę. Zajmie to pani dwie sekundy.

– Naprawdę bardzo mi przykro – powtórzyła. W jej głosie nie było cienia żalu.

– Co mam teraz zrobić?

– Trzy bramki stąd jest stanowisko z harmonogramem lotów. Tam panu pomogą.

– Dam pani sto dolarów za otwarcie drzwi.

Patrzyła na mnie z niedowierzaniem.

– Próbuje mnie pan przekupić?

– A kim pani jest, gliną? Tak, próbuję. Dwieście dolarów.

– Nie mam uprawnień. Proponuję, aby pan poszedł do stanowiska obsługi klientów.

Nie mogłem uwierzyć, że spóźnię się na samolot, który stoi na wprost mnie. Agentka ponownie zajęła się czekającymi pasażerami.

Rozłoszczony poszedłem do działu obsługi klienta. Jak można się było spodziewać, panował tam taki sam tłok jak w Walmarcie w czarny piątek. Czynne były tylko cztery stanowiska i przed każdym stała długa kolejka.

Prawie pół godziny stałem w kolejce, która posuwała się najwolniej, coraz bardziej się niecierpliwiąc. Wszystko wskazywało na to, że niecierpliwość jest motywem przewodnim dnia. Pewien czerwony na twarzy mężczyzna rzucał przekleństwami i wykrzykiwał pogrożki pod adresem obsługującego go pracownika, aż został siłą usunięty przez policję.

Dom wariatów, pomyślałem. W pewnej chwili, gdy przede mną stała już tylko jedna osoba, rozległ się ryk syren. Po kilku sekundach na każdej tablicy wyświetlono informację, że wszystkie loty są opóźnione albo mają zmienione trasy.

– O mój Boże... – powiedział agent lotniczy, na którego obsługę czekałem.

W korytarzu przeraźliwie krzyknęła jakaś kobieta.

– Co się stało? – zapytałem.

– Rozbił się samolot – odparł blady jak płótno agent.

– Który?

Agent spojrzął na monitor komputera.

– United, lot 227 do Cincinnati.

Rozdział 48

Koszmar stał się realny. Wszystko stało się realne.

Z dziennika Charlesa Jamesa

Samolot United, ten, którym miałem lecieć, rozbił się wkrótce po starcie. To było wszystko, czego się dowiedziałem. W tamtej chwili nikt nie wiedział niczego więcej.

Trudno opisać, co się działo na lotnisku. Podróżni krążyli w stanie szoku i niedowierzania. Mówili szeptem albo nienaturalnie głośno. Niektórzy szlochali. Inni zawodzili. Grupka osób przykucnęła przy kobiecie, która zemdląca.

Już po kilku minutach telewizja lotniskowa zaczęła pokazywać zdjęcia z wypadku. Część podróżnych podeszła do ekranów telewizorów, inni zgromadzili się przy wschodnich oknach i wpatrywali się w kłęby dymu.

Wkrótce rozległo się ogłuszające wycie syren, jakby były ich setki, a ich dźwięk był równie ponury jak kłębiący się nad rozbitym samolotem dym.

Nagle zdałem sobie sprawę, że to sceny z mojego snu – że mój koszmar stał się rzeczywistością. Wszystko się zgadzało: zawodzący ludzie, wyjące syreny, ogień. A także strach. Wyczuwalny strach oraz brak pewności, który ten strach podsycił. Co się stało? Był to wypadek czy zamach? Jeśli zamach, to będzie ich więcej?

Chaos na lotnisku spowodował, że dał o sobie znać mój maniackalny wstręt do bałaganu. Musiałem wyjść. Po drodze minęli mnie biegnący policjanci. Niektórzy prowadzili psy na smyczy. Wyszedłem z budynku i ruszyłem w stronę postoju taksówek. Chodniki były nietypowo puste. Nie rozumiałem, dlaczego nikt nie opuszcza lotniska. W gruncie rzeczy jednak wiedziałem, że uciekam z miejsca wypadku.

Podszedłem do taksówki, otworzyłem tylne drzwi, wrzuciłem plecak na tylne siedzenie i usiadłem obok niego.

Szofer, młody Jamajczyk, zapytał:

– Gdzie jedziemy, szefie?

– Do centrum. Michigan Boulevard Building.

– Już się robi, szefie.

Gdy ruszaliśmy, zobaczyłem, jak za nami staje czarna furgonetka SWAT*. Pomyślałem: Dlaczego jadę do swojego biura? Co tam będę robił? Jediną osobą, z którą naprawdę chciałem się zobaczyć, była doktor Fordham. Albo barman. Właśnie tego mi potrzeba. Mocnego drinka. Albo tuzin mocnych drinków.

– Zmiana planu – powiedziałem do szofera. – Proszę mnie zawieźć do Green Door Tavern. To na Orleans.

– Nie ma problemu, szefie.

Gdy się oddalaliśmy od terminalu, po wschodniej stronie był widoczny potężny słup ognia. Z radia płynęły przyciszone słowa spikera i kierowca je pogłośnił. Nadawano wiadomości o wypadku.

– Mógłby pan zrobić ciszej? – zapytałem.

– Jasne, szefie. – Spojrzał na mnie we wstecznym lusterku. – Na lotnisku był wypadek.

– Wiem.

– Nikt nie przeżył.

– Skąd pan wie?

– Mówili w radiu.

Milczałem przez chwilę, po czym powiedziałem:

– Jedna osoba przeżyła.

Ponownie spojrział na mnie we wstecznym lusterku, ale nic nie powiedział. Milczeliśmy obaj aż do końca kursu.

* SWAT, Special Weapons and Tactics, jednostka policji do zadań specjalnych.

Rozdział 49

Bóg albo Los naciśnął przycisk kosmicznego resetu w moim życiu.

Z dziennika Charlesa Jamesa

Green Door Tavern to chicagowski bar popularny od chwili powstania w 1872 roku. W czasach prohibicji nielegalnie sprzedawano w nim alkohol kupowany od samego Ala Capone. Wnętrze jest bogato ozdobione zabytkowymi przedmiotami typowymi dla amerykańskiej kultury i tradycji, eklektycznym kolażem neonów, starych plakatów z wesołych miasteczek, szkła tiffany oraz tablic reklamowych – niektóre są autentyczne, a niektóre wyprodukowano w Chinach.

Ucieszyłem się, widząc, że w barze nie ma zbyt wielu klientów. Postawiłem plecak na parkietowej podłodze przy barze i usiadłem na stołku kilka metrów od mężczyzny w garniturze, który powitał mnie nieznacznym skinieniem głowy. Wyglądał jak typowy biznesmen, trzymał prawie pusty kufel piwa i był trochę zaczerwieniony na twarzy od alkoholu.

Barman podszedł do mnie.

– Co podać?

– Gin z tonikiem. Podwójny. Na początek.

– Już się robi.

Na ekranie wiszącego na ścianie za barem telewizora ukazał się obraz płonącego samolotu. Na pasku biegła wiadomość: Z ostatniej chwili. Katastrofa lotu 227 na O'Hare.

Siedzący obok mnie mężczyzna wpatrywał się w ekran. Odwrócił się do mnie i powiedział zachrypniętym głosem:

– A myślałeś, że masz zły dzień.

– Faktycznie tak myślałem. – Ponownie spojrzałem na ekran, a barman postawił przede mną drinka.

– Proszę. Gin z tonikiem.

– Dziękuję.

– Proszę dać znać, gdyby pan potrzebował jeszcze czegoś.

Upiłem łyk. Po chwili powiedziałem do biznesmena.

– Miałem lecieć tym samolotem.

– Tym? – Wskazał telewizor. – Tą płonąca kupą metalu?
– Lot 227 do Cincinnati. – Sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni i wyciągnąłem odcinek kontrolny biletu. – Spójrz.
Podałem mu bilet. Chwilę mu się przyglądał, po czym mi go oddał.
– Nie żartowałeś. Spóźniłeś się?
– Dotarłem znacznie bliżej – odparłem, chowając bilet do kieszeni. – Już się odprawiłem. Miałem wsiąść na pokład, gdy się zorientowałem, że zostawiłem plecak w jednym ze sklepików, i pobiegłem po niego. Kiedy wróciłem, drzwi już były zamknięte. Agentka nie chciała mi ich otworzyć.
– Jesteś jej winny drinka – stwierdził. – Co najmniej. – Upił łyk. – Mówisz, że już się odprawiłeś na ten lot?
– Tak.
Niespodziewanie zaczął się śmiać.
– Co w tym śmiesznego?
– Powiedziałeś, że już się odprawiłeś.
– Zgadza się.
– I agentka wprowadziła twój bilet do systemu?
– Oczywiście.
– Usunęła twoje nazwisko z listy pasażerów?
– Nie. Była zajęta. – Nagle uświadomiłem sobie, do czego dąży mój rozmówca. – Czyli wychodzi na to, że byłem w tym samolocie.
– Wszyscy pomyślą, że zginąłeś.
– Faktycznie.
Uderzył dłonią w blat.
– Jesteś największym farciarzem na ziemi. Nieraz wyobrażałem sobie, co bym zrobił, gdyby przydarzyło mi się coś takiego. W jednej chwili masz cały świat na swoich barkach, w następnej, bach!, jesteś wolny. Żadnych podatków, żadnych zobowiązań, nic. Jesteś niewidzialny. Jesteś niewidzialnym człowiekiem, niedotykalnym jak duch. – Wolno pokręcił głową. – Och, stary, co ja bym dał, żeby być teraz na twoim miejscu. – Zniżył głos. – Przyjacielu, jesteś wolny. Możesz zacząć zupełnie nowe życie.
Patrzyłem na niego przez chwilę.
– Jakby ktoś nacisnął przycisk resetowania.
Roześmiał się.
– Trafne określenie. – Ponownie uniósł kufel. – Za przycisk kosmicznego resetu! – Dopił piwo i głośno stuknął pustym kuflem o kontuar. Barman spojrzał w naszą stronę.

– Jeszcze jednego pilsnera! – zawołał, po czym zwrócił się do mnie: – To co zamierzasz teraz zrobić?

– Nie wiem.

– A ja wiem, co bym zrobił. Nic. Z nikim bym się nie skontaktował. Absolutnie z nikim. A gdy wszyscy pogrążyliby się w żałobie, wyczyściłbym wszystkie swoje konta, zanim zostałyby zamrożone, a potem bym się zastanowił, czego tak naprawdę chcę od życia.

– Rzeczywiście to sobie przemyślałeś.

– Mówiłem ci. Mógłbyś zrobić wszystko. Zabić kogoś i nikt by cię nie ścigał. – Uśmiechnął się, jakby nagle dał się ponieść fantazji. – Na pewno poszedłbym na swój pogrzeb. Obowiązkowo. Ale koniecznie w przebraniu: sztuczna broda, okulary. – Pokręcił głową. – Nie, pieprzyć to. Zbyt ryzykowne. Ktoś mógłby cię rozpoznać. Masz rodzinę? Żonę?

– Nie.

– To będziesz miał łatwiej. Trochę czasu zajmie ci wykombinowanie, czego chcesz, ale co to za problem? Masz czasu, ile dusza zapagnie. A przynajmniej do chwili, gdy cię ktoś rozpozna. Wtedy po zabawie.

Barman postawił przed nim kolejne piwo.

– Co pijesz? – zwrócił się do mnie.

– Gin z tonikiem.

– Gin z tonikiem dla mojego drogiego przyjaciela! – zawołał do barmana.

Barman spojrzał na mnie, a ja wzruszyłem ramionami. Gdy barman zaczął przygotowywać mój drink, biznesmen powiedział:

– Gdy usiadłeś, pomyślałem, że skądś cię znam. Chciałem zapytać o twoje nazwisko, ale się rozmyśliłem. Musisz je chronić. Dostałeś niepowtarzalną szansę. Nie zmarnuj jej. Wyjedź z miasta. Jedź gdzieś, gdzie nikt cię nie rozpozna, na wyspę albo gdzieś. Idź na długą wędrowkę.

Rozdział 50

Nie przychodzi mi do głowy żaden powód, dla którego moje życie zostało ocalone. Ani jeden.

Z dziennika Charlesa Jamesa

Biznesmen wyszedł z baru dziesięć minut po naszej rozmowie, zostawiwszy mi swoją wizytówkę. Był prawnikiem w dobrze znanej kancelarii adwokackiej mającej swoją siedzibę dwie przecznice od biurowca mojej firmy.

– Zadzwoń do mnie, kiedy się ujawnisz – powiedział. – Jeśli kiedykolwiek to zrobisz. Chcę wiedzieć, jak to się skończyło.

Wziąłem od niego kartonik. Nadal nie potrafiłem otrząsnąć się z szoku. Zamówiłem specjalność zakładu – burger przemytnika z boczkiem, jajkiem sadzonym i ketchupem z whiskey.

Podczas posiłku oglądałem doniesienia z miejsca katastrofy. Ktoś sfilmował wypadek telefonem komórkowym i stacja telewizyjna w kółko odtwarzała to nagranie. Gdy nie pokazywano zdjęć rozbijającego się samolotu czy starających się ugasić płonący kadłub strażaków, gadające głowy zastanawiały się, co mogło być przyczyną katastrofy.

Nieustannie napływały nowe informacje. Katastrofie uległ boeing 757-200. Na jego pokładzie znajdowało się trzynaście osób załogi oraz stu dziewięćdziesięciu dziewięciu pasażerów.

Według doniesień wszyscy zginęli w chwili zderzenia samolotu z ziemią. Oczywiście niemożliwe było stwierdzenie, czy tak się rzeczywiście stało. Miałem nadzieję, że wszyscy zginęli natychmiast. Nawet nie chciałem myśleć o tym, że spłonęli żywcem.

Pojawiły się pogłoski, że był to zamach terrorystyczny, jednak później władze je zdementowały, sugerując, że winę ponosił pilot. Po kilku tygodniach śledztwo wykazało, że do katastrofy doszło wskutek awarii mechanicznej. Podczas startu oderwał się jeden z silników, uszkodzając skrzydło i odcinając podtrzymujące je przewody hydrauliczne. Prawe skrzydło się wznosiło, natomiast lewe nie miało siły nośnej, co spowodowało przechylenie się maszyny na bok i runięcie na ziemię.

Zbiorniki z paliwem były pełne, więc gdy służby ratownicze ugasiły ogień, na pasie startowym zostały tylko zgliszcza. Nic nie ocalało z piekielnego żaru. Jeden z komentatorów stwierdził, że jest wątpliwe, aby udało się znaleźć jakiegokolwiek szczątki ludzkie.

– Paliwo odrzutowca płonące na wolnym powietrzu osiąga temperaturę równie wysoką jak w krematorium – powiedział.

Co znaczyło, że nie tylko nikt nie przeżył, ale też że nie było żadnych szczątków ofiar.

Odnosiło się to również do mnie. Oficjalnie zginąłem tak samo jak pozostali pasażerowie. Co robisz, kiedy cały świat myśli, że już cię nie ma? Może mój sąsiad przy barze miał rację. Robisz, co tylko chcesz.

Rozdział 51

Jestem duchem.

Z dziennika Charlesa Jamesa

Z baru wyszedłem dopiero po zmroku. Złapałem taksówkę i kazałem się zawieźć do sklepu z używaną odzieżą, gdzie kupiłem tanie spodnie dresowe, kurtkę z kapturem, parę tenisówek marki Converse oraz okulary przeciwsłoneczne.

Przebrałem się w sklepie, a garnitur zapakowałem do torby. Przypomniałem sobie, że moje nazwisko jest wyhaftowane wewnątrz marynarki. Oderwałem naszywkę z nazwiskiem i wrzuciłem garnitur do stojącego przed sklepem pojemnika na śmieci. Do głowy przyszła mi osobliwa myśl: jak bardzo bym się ucieszył, gdybym jako dziecko znalazł taki garnitur.

Była dwudziesta druga, gdy taksówka wjechała na moje osiedle.

– Który dom? – zapytał kierowca.

– Niech pan się tutaj zatrzyma – powiedziałem, wskazując chodnik przed moim domem. Nie chciałem, aby wjeżdżał na podjazd i zwrócił czyjąś uwagę.

Zatrzymał taksówkę. Zapłaciłem gotówką i zabrałem plecak. Rozejrzałem się, aby sprawdzić, czy nie ma kogoś w pobliżu albo czy ktoś nie wygląda przez okno. Potem wysiadłem. Taksówka odjechała.

Najpierw przerzuciłem plecak przez płot, potem sam przeskoczyłem. Otworzyłem tylne drzwi, wystukując kod na klawiaturze, i wszedłem do środka. Wyłączyłem alarm. Wiedziałem, że to działanie może zostać wykryte przez firmę ochroniarską, ale nie było powodu, dla którego mieliby tu zaglądać. Nie żyłem. Byłem martwy. Umowa wygasła. Koniec.

Zapaliłem tylko kilka świateł. Wyjąłem piwo z lodówki i poszedłem na górę, do sypialni. Włączyłem telewizor, aby obejrzeć dalszy ciąg wiadomości.

Katastrofa samolotu była nie tylko lokalnym, ale również ogólnokrajowym tematem dnia. Zamknięcie O'Hare spowodowało chaos we wszystkich liniach lotniczych i odwołanie ponad tysiąca lotów w całym

kraju. W mojej głowie rodziły się coraz to nowe pytania i krążyły w niej niczym koło ruletki.

A gdybym nie zapomniał naładować telefonu? A gdyby gniazdka w ścianie nie były zepsute? Nie poszedłbym wtedy kupić ładowarki. A gdyby kolejka w sklepie na lotnisku była krótsza? Co by się stało, gdybym nigdzie się nie zatrzymywał?

Za każdym z tych pytań kryło się poważniejsze pytanie: Dlaczego moje życie zostało ocalone, a tylu innych osób nie? Czy to był tylko przypadek? A jeśli to nie był przypadek, dlaczego wszechświat wybrał takiego grzesznika jak ja?

Nie potrafiłem dojść do żadnego wniosku. Nic nie miało sensu. Piwo w niczym mi nie pomogło. Tuż po północy wypilem jeszcze jedno i zasnęłem na kanapie.

Rozdział 52

Zakończę swój sen. Wybiorę się na wędrówkę.

Z dziennika Charlesa Jamesa

Nazajutrz obudziłem się z pulsującym bólem głowy. Słońce świeciło mi prosto w oczy. Wyrząłem przez okno. Burza minęła. To już było coś. I nie przyśnił mi się koszmar. Może dlatego, że przeżyłem go w realnym życiu. Może nareszcie się skończył. A może wszystko dopiero się zaczynało.

Przekręciłem się na drugi bok i spojrzałem na zegar. Dziesięć po dziewiątej. W mojej firmie zaczął się dzień pracy. Ci, którzy jeszcze nie wiedzieli o mojej śmierci, właśnie się o niej dowiadawali. Wyobraziłem sobie ten chaos. Choć właściwie nie miałem pojęcia, jak zareagują moi współpracownicy. Będą zmartwieni, w to nie wątpiłem, jeśli nie z powodu tego, co mnie spotkało, to na pewno z powodu swoich stanowisk, które przepadły w katastrofie samolotu.

Pierwsza dowiedziała się o wszystkim Amanda. Zawsze śledziła przebieg moich lotów, więc prawdopodobnie wiedziała o katastrofie już po kilku minutach. Była jedyną osobą w firmie, o którą naprawdę się martwiłem. Nie wątpiłem, że będzie mnie oplakiwać. Jeśli będzie pogrzeb, zorganizuje go właśnie Amanda. Byłem ciekaw, czy pogrzeb się odbędzie, czy brak ciała nie stanie się przeszkodą. Może zostanie odprawiona tylko msza pogrzebowa. A może wszyscy pójdą na drinka i będą świętować.

Pojawiło się więcej pytań. Czy moja matka i brat się dowiedzą? A jeśli tak, to co zrobią? A może dla nich już byłem martwy i pogrzebany?

A przede wszystkim: co pomyśli Monica? Będzie mnie oplakiwać? Może już dość nade mną się napłakała? Czy moja śmierć w ogóle ją obejdzie?

I pozostawało jeszcze najważniejsze pytanie: co mam teraz zrobić?

W uszach zabrzmiały mi słowa McKaya: „Im bardziej zrywam z dawnym życiem, tym bardziej odnajduję siebie. Odejdź. Najdalej i najszybciej, jak tylko potrafisz”. A potem przypomniałem sobie słowa mężczyzny przy barze: „Dostałeś niepowtarzalną szansę. Nie zmarnuj jej. Wyjedź z miasta. Jedź gdzieś, gdzie cię nikt nie rozpozna, na wyspę albo gdzieś. Idź na długą wędrówkę”.

Przyszło mi do głowy, że wszechświat od jakiegoś czasu podsuwa mi myśl o wędrówce. Nawet w moim powracającym śnie. Oczywiście, najprostszym rozwiązaniem byłby powrót do życia. I wtedy zdałem sobie sprawę z nagiej prawdy: nie chciałem wracać do życia, które miałem przed katastrofą samolotu. Nie byłem szczęśliwy. Pracowałem jak szalony, aby unikać chwil samotności i żalu. Pod wieloma względami byłem tak samo nieszczęśliwy jak w dzieciństwie. Jedyny okres prawdziwego szczęścia w moim życiu to kilka lat spędzonych z Monicą. Na co zamieniłem jej miłość?

Podczas naszej pierwszej sesji doktor Fordham coś zasugerowała w związku z moim snem. Dlaczego moja trasa nie miałaby się zaczynać tam, gdzie jestem, i kończyć tam, gdzie jest Monica? Odpowiedziałem jej, że moja była żona nie ma z tym nic wspólnego, ale nawet wtedy czułem podświadomie, że terapeutka ma rację. Dlatego tak się zdenerwowałem, gdy to zaproponowała. Jednak to, że w śnie szedłem Route 66 do Moniki, było sensowne. Moja podświadomość i doktor Fordham wskazywały mi to, do czego bałem się przyznać – jeśli Monica zgodziłaby się mnie przyjąć, poszedłbym do niej, porzucając wszystko. Sprzedałbym wszystko, co mam, aby kupić tę jedyną drogocenną perłę.

Już wiedziałem, co zrobię. To, co musiałem. Możliwe, że wiedziałem o tym cały czas. Wyruszę w drogę. Tak jak poradzili mi McKay, doktor Fordham i nieznajomy w barze. Odejdę jak najdalej od swojego poplątanego życia. To chyba nie przypadek, że droga, którą pójdę, też jest nazywana poplątaną.

Pójdę do niej. Swoją wędrówką udowodnię jej, że się zmieniłem, że chcę zaryzykować i się przekonać, czy mi wybaczy. Z jakiegoś nieznanego mi powodu ślepy los albo wszechświat dały mi drugą szansę. Może Monica zrobi to samo.

Podziękowania

Powieść ta ukazuje się z rocznym opóźnieniem. Na szczęście. Książka, którą bym oddał w terminie, byłaby pełna gniewu i bólu. Chciałbym podziękować mojemu przyjacielowi Jonathanowi Karpowi, redaktorce Trish Todd, Carolyn Reidy oraz całej załodze Simon & Schuster, którzy wspierali mnie duchowo w bardzo trudnym okresie mojego życia. Bez Waszej dobroci i miłości ta książka nigdy by nie powstała. Dziękuję mojej nowej redaktorce, Christine Pride. Ruszyłaś z kopyta! Ta powieść jest znacznie lepsza dzięki Twojej pracy i przenikliwości. Cieszę się na naszą przyszłą współpracę. Ponadto dziękuję swojej agentce, Laurie Liss, na którą zawsze mogłem i mogę liczyć, tak samo jak moja rodzina.

Sprzedawca marzeń jest luźno oparty na prawdziwej historii o odkupieniu win. Mężczyzna, który stał się pierwowzorem Charlesa, głównego bohatera tej powieści, podczas naszego pierwszego spotkania powiedział mi z pokorą, że jest grzesznikiem, ale ma nadzieję, że Bóg mu kiedyś wybaczy. Przerazające dzieciństwo Charlesa jest w dużej mierze oparte na faktach z jego życia. Dlatego chciał pozostać anonimowy – zależało mu, aby nikomu nie sprawiać przykrości. Dziękuję zatem swojemu anonimowemu przyjacielowi za inspirującą opowieść o odkupieniu win. Wierzę, że Bóg już Ci wybaczył.